

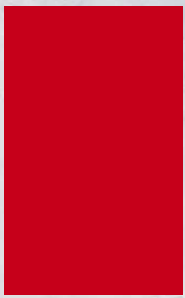
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Michał Kołodziejczak – nowy, lepszy Lepper?
- Rasista rządzi Izraelem
- Odwiedzamy rosyjskich jeńców • Niall Ferguson: Ukraińcy, lepiej negocjujcie



WYSOKIE OBCASY
Po 50. też
jesteśmy sexi
Szkoła bez ocen
i kartkówek



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Polacy idą w góry

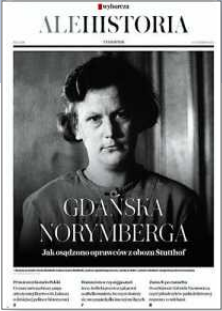
Ratownik TOPR opowiada, jak się nie zabić

FOT. MAREK PODIMOKLY / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Sukces ministra Glińskiego
Istnieją dobrzy
prawicowi malarze



Powieszeni dla naszego dobra
Strażnicy
ze Stutthofu

Krzyżacy nieznani
Na kamienie nerkowe
najlepszy jest seks

Wykończyć endeków
Tajny plan
piłsudczyków

Agnieszka
KublikPrawo jak garnitur
dla prezesa

Czy można jeszcze coś oryginalnego napisać o PiS i łamaniu prawa? Niby nie. Doskonale wiemy, że od lat naginali, łamali, patroszyli, wykręcali, wykreślali, dopisywali, podmieniali. Często nocą, po lebkach, na kolanie.

Ale czasem umyka, że również prawo prywatyzowali. Dosłownie. Dla korzyści nawet nie jakiejś grupy czy chorej idei, ale dla jednej osoby, dla załatwienia jednej sprawy. „Lex Kaczyński” to nie incydent. To dla PiS norma. Garść przykładów.

• „Lex Obajtek 2016” – przepis stworzony, by prokuratura mogła wycofać akt oskarżenia wobec Obajtka za współdziałanie z gangsterami. Sam Kaczyński przekonywał, że to niemożliwe, aby ów wziął łapówkę od szefa gangu, bo to bardzo dobry samorządowiec. Dzięki tej zmianie sprawę umorzono.

• „Lex TVN” – stworzone, by przejąć telewizję, która napsuła Kaczyńskiemu wiele krwi. Latem 2021 r. uchwalono prawo uderzające tylko w jedną spółkę – TVN. Amerykański właściciel miał sprzedać ponad połowę udziałów. PiS nawet nie ukrywał, że kupi je zaprzyjaźniony z obozem władzy inwestor. Nie udało się, bo Waszyngton okazał się ważniejszy od Nowogrodzkiej i prezydent

zawetował ustawę.

• „Lex bezkarność za wybory kopertowe” – stworzone, by nie karać samorządowców, którzy przekazali Poczcie Polskiej listy wyborców przed zdalnymi pandemicznymi wyborami prezydenckimi.

Piszą ustawy dla korzyści
jednej osoby, dla załatwienia
jednej sprawy

Jesienią 2022 PiS napisał ustawę, która nakazuje nie wszczynać postępowań, wszczęte umarzać, a wyroki skazujące zatrzeć.

• „Lex Obajtek 2022” – stworzone, by ratować Obajtka przed odpowiedzialnością za złe decyzje. W lutym 2022 r., przed zamknięciem transakcji sprzedaży Lotosu, PiS zmienił przepis Kodeksu spółek handlowych tak, by zarządy i członkowie rad nadzorczych nie ponosili konsekwencji za błędne decyzje. Autorami zmian byli członkowie rady nadzorczej Orlenu.

• „Lex Kaczyński” – stworzone, by Kaczyński nie musiał płacić za kłamstwo. Prezes PiS w 2016 r. zarzucił Radkowi Sikorskiemu, że po katastrofie smoleńskiej blokował notę o eksterytorialności miejsca, w którym rozbił się Tupolew. Orzekł, że to „zdrada dyplomatyczna”. Przegrał, sąd nakazał opublikowanie przeprosin w Onecie. Kaczyński wyroku nie wykonał, więc sąd przyznał Sikorskiemu 708 tys. zł. Kaczyński się użalał, że będzie musiał sprzedać dom. Sikorski zaproponował, by wpłacił 50 tys. na Siły Zbrojne Ukrainy. Wtedy Sejm uchwalił zmiany w kodeksie postępowania cywilnego. Oburzenie było tak wielkie, że nawet PiS musiał je uwzględnić (a Kaczyński przystał na propozycję Sikorskiego). Ale jeśliby zmiana weszła w życie, wszystko skończyłoby się grzywną do 15 tys. zł i przeprosinami nie w ogólnopolskich mediach, ale w Monitorze Sądowym i Gospodarczym.

Szyją prawo jak garnitur, na indywidualną miarę. Bo kto im zabroni? Ani Sąd Najwyższy. Ani Trybunał Konstytucyjny. Ani prezydent.

Ale po co tyle komplikacji. Nie wystarczy po prostu uchwalić, że jeśli coś się Kaczyńskiemu nie podoba, jest z automatu nielegalne? A jak podoba – legalne. ●

Peru

Dajcie nam głos



FOT. RODRIGO ABD/AP

Zwolennicy aresztowanego prezydenta Pedra Castillo blokują drogę w miejscowości Laramani. Protesty w Peru trwają od ponad miesiąca. Castillo, uważany za przedstawiciela rdzennej ludności i biedoty, próbował rozpętać parlament, wprowadzić stan wyjątkowy i ogłosić wybory. Tymczasowa prezydentka Dina Boluarte jest kojarzona z kreolską elitą. Nie uznaje jej 70 proc. Peruwiańczyków. **Więcej w tekstach Macieja Stasińskiego ► Wyborcza.pl/swiat**

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

AZ23LPA

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 4.02.2023 r. do 5.02.2023 r.

Ben Crump kontra mundurowi
Prawnik czarnej Ameryki

Wierzę w sprawiedliwość dla wszystkich, zwłaszcza tych bez głosu, którzy potrzebują naszej pomocy najbardziej” – to cytata ze strony 53-letniego adwokata z Florydy. Choć brzmi PR-owo, do Bena Crumpa pasuje jak ulał. Czarny chłopak jak z modelowej opowieści o awansie społecznym – z wielodzietnej rodziny, w zastępstwie imającej się wielu zajęć matki wychowywany przez babcię, który stał się jednym ze 100 najbardziej wpływowych ludzi świata „Time” – reprezentuje rodziny ofiar morderstw dokonanych przez policjantów.

Zaczął się w 2006 r., kiedy podjął sprawę, której nie chciał wziąć żaden biały adwokat: śmierci czarnego 14-latkę Martina Lee Andersona w ośrodku dla młodocianych. Później przyszły kolejne: Trayvona Martina, Michaela Browna, Breonna Taylor, Keenana Andersona... A także George’a Floyd’a, zabitego w 2020 r. przez policjan-



FOT. ALICIA DEVINE/TALLAHASSEE/AP

ta w biały dzień na ulicy, co wywołało największą falę protestów na tle rasowym w USA od 1968 r.

Crump reprezentował też ludzi, którym dostarczano skażoną ołowiem wodę we Flint w Michigan – jednym z najbiedniejszych miast USA – oraz tych oskarżających koncern Johnson & Johnson, że jego puder dla niemowląt powodował raka.

Teraz wziął się za kolejną historię, która wzburzyła Amerykę: skatowanego przez – byłych już – policjantów w Memphis Tyre’a Nichol’a. Wzywa, by Kongres wreszcie uchwalił reformę policji. ● **Maciej Czarnecki**

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Wie, że do Dantego nie
można podchodzić
jak XIX-wieczni
konserwatorzy
zabytków do Notre
Dame



PROF. PIOTR SALWA
o międzynarodowej nagrodzie
dla naszego autora Jarosława
Mikołajewskiego
Więcej ► Wyborcza.pl/magazyn

Sztuka dla wolnych ludzi



FOT. REMIURANT

TYS. ZŁ
kosztuje mie-
sięcznie utrzy-
manie jednego
Mirnego Domu
– Domu Pokoju,
czyli hostelu
dla uchodźców

z Ukrainy, Bia-
łorusi i Afgani-
stanu. Fundacja
Humanosh
prowadzi takie
cztery. Ponad
30 artystów
postanowiło

je wesprzeć.
Piękna Gallery
zliczytuje m.in.
dzieła malarza
i plakacisty Ra-
fała Olbińskiego,
założyciela słyn-
nej Grupy Pawła

Kowalewskiego,
aktywistki i arty-
ski Jany Shostak
oraz uznanych
i wschodzących
gwiazd ukraiń-
skiej i białoruskiej
sztuki, m.in. Igora
Tishina, Tatiany
Radsiwilko, Aliny
Sokolovej czy
Daniila Galkina.
Dzieła można
oglądać już teraz
w Piękna Gallery,
aukcja odbędzie
się w środę,
8 lutego.
**Więcej ►
Pieknagallery.pl**

Top 2
Najważniejsze wydarzenia

Niedziela

Kto naprawi Cypr

1 Cypryjczycy wybierają prezydenta. Kandydatów jest 14, liczy się jeden – 49-letni były minister spraw zagranicznych Nikos Christodoulides – ale najpewniej nie dobieje do 50 proc. i 12 lutego będzie druga tura. Christodoulides obiecuje „szeroką ponadpartyjną” administrację, by uporać się z cypryjskimi problemami. Najważniejsze to zamrożony dialog z Turcją i sprzątanie po aferze ze sprzedażą obywatelstw majątnym cudzoziemcom, głównie Rosjanom.



FOT. PETROS KARADJIAS/AP, SHUTTERSTOCK

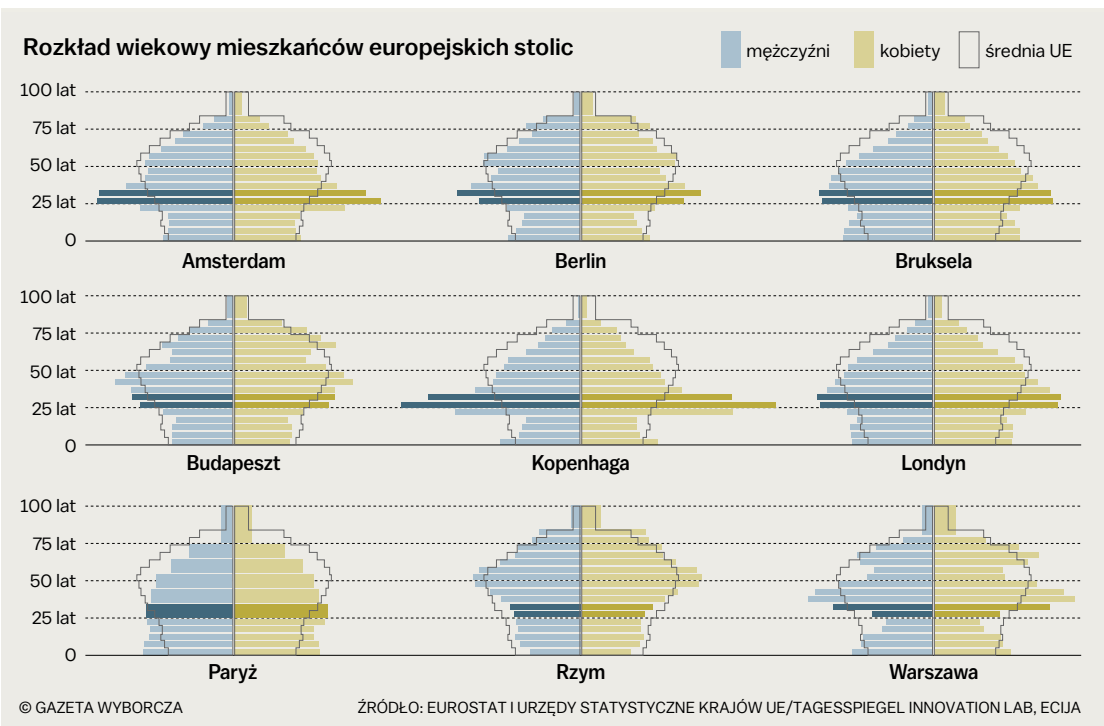
Czwartek

Kobiety na rowery

2 W Zjednoczonych Emiratach Arabskich rozpoczyna się Women UAE Tour – wyścig kolarski, który może istotnie zamieszać w świecie arabskim, gdzie powstają kilometry ścieżek rowerowych, ale prawie nikt nie jeździ na rowerach. Szejkwowie idą za zachodnimi trendami, gdzie wielkim wyścigom męskim – w tym Tour de France – towarzyszą ich kobiece odpowiedniki. I po raz pierwszy do rywalizacji zaprasza ją kolarci.



Wykres tygodnia
Jak odmłodzić stolicę



Jak wygląda struktura wieku największych miast Europy? Młodych przyciągają te z uniwersytetami i atrakcyjnym rynkiem pracy, jak Londyn czy Kopenhaga. Inne się starzeją. **Dlaczego już nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu ► czytaj na BIQdata.pl**

Jędraszewski, celebra i apostazje. Bilans nuncjusza

Franciszek podziękował arystokracie

Abp Salvatore Pennacchio wraca z Warszawy do Watykanu. Oficjalnie to awans

Skowrońska

Przy al. Szucha 12 w Warszawie zmieni się lokator. Pakuje się abp Salvatore Pennacchio, który od 2016 r. jest nuncjuszem apostolskim w Polsce. Oficjalnie to awans: „Nuncjatura Apostolska informuje, że Ojciec Święty Franciszek mianował abp. Salvatore Pennacchio rektorem Papieskiej Akademii Kościelnej w Rzymie”. Źródła kościelne mówią o „spokojnej emeryturze” dla 71-letniego Włocha, ale też o „niezadowoleniu Watykanu” z jego misji dyplomatycznej. – To duchowny starej daty, taka arystokracja kościelna, która od obcowania z ludem woli celebrytów dużych uroczystości. Nie będziemy tęsknić, bo arcybiskup był jak staroświecka broszka w damskim żakiecie. Niby świadczy o statusie, ale gryzie się z rzeczywistością – podsumowuje krakowski duchowny, który doktorat robił w Rzymie, a dziś pracuje na kilku katolickich i świeckich uczelniach w Polsce (chce pozostać anonimowy). A Ks. Tadeusz Iskowicz-Zaleski na swoim blogu napisał: „Dobrze, że nuncjusz odchodzi. Przemykał oko, chyba nie bezinteresownie, na wiele nieprawidłowości”.

Pennacchio jest 73. nuncjuszem w sięgającej XV wieku historii stosunków dyplomatycznych między naszym krajem a Stolicą Apostolską (pierwszym przedstawicielem nad Wisłą był od 1519 r. bp Zachariasz Ferreri, a pierwszym stałym nuncjuszem bp Alojzy Lippomano – otrzymał nominację od papieża Juliusza III w 1555 r.).

Za PRL-u Watykan nie miał placówki w Polsce. Zmieniło się to po przełomie w 1989 r., gdy nuncjuszem został abp Józef Kowalczyk. Precedensowa decyzja, wcześniej Watykan mianował na to stanowisko kogoś spoza kręgu krajowych biskupów. Ale Jan Paweł II uznał, że w jego ojczystym kraju nie sprawdzi

się nikt, kto nie jest Polakiem. Kowalczyk był nuncjuszem aż do 2010 r. i dziś krytycy Kościoła uznają jego politykę personalną i zaangażowanie w politykę tuszowania pedofilii za pogrążającą katolicyzm w Polsce. Na jego następcę Benedykt XVI mianował wytrawnego dyplomata Celestino Migliore. Uchodzący za konserwatystę, w Polsce podpadł prawicowym biskupom: na Jasnej Górze grzmiał, że sanktuarium to nie supermarket pocieszenia, a w sprawach politycznych zaangażowania księży zajmował mocne stanowisko. Po jego interwencji kilku hierarchów, m.in. bp Ignacy Dec, zostało stanowczo poproszonych o wycofanie się z komitetu honorowego Marszu w Obronie Demokracji i Wolności Mediów organizowanego przez PiS. Na prawicowych portalach można było przeczytać, że „zakazy nałożone na ks. Międlara [słynny ksiądz narodowiec] to sprawa nuncjusza”.

Jak na tle poprzedników wypada Pennacchio? Artur Nowak i Stanisław Obirek w „Gomorze”, książce o upadku Kościoła w Polsce, stawiają go w jednej linii z abp. Kowalczykiem. Przede wszystkim dlatego, że wpisał się w towarzyski układ w episkopacie i swoim autorytetem potwierdzał obraną przez hierarchów politykę zamykania pedofilskich przestępstw pod dywan.

Umieszczony w „Gomorze” opis, jak wygląda audyencja u nuncjusza Pennacchio to jak cofnięcie się do innej epoki: „Odźwierni, szatniarz, warta kukiel z halabardami przebranych w mundury gwardzistów szwajcarskich, żyrandole i marmur. W przestronnej sali na petenta czeka świta nuncjusza. Panuje podniosły nastrój, po czym wchodzi on sam. Ubrany odświętnie, uśmiechnięty, jednak jakby nieco pogubiony. Proponuje smaczną kawę i tłumaczy się, że niewiele może zrobić”.

Czy rzeczywiście funkcja nuncjusza jest czysto dekoracyjna? Wśród jego zadań są trzy kluczowe: przedkładanie papieżowi kandydatów na biskupów; informowanie papieża o życiu i działalności Kościoła partykularnego; oraz „dialog i współdziałanie z władzami świeckimi na rzecz obrony praw człowieka, poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności wyznania, sumienia i kultu, (...) obrony pokoju w życiu społecznym państwa”.

O tym, jaki układ pomiędzy państwem a Kościołem preferuje odchodzący nuncjusz, świadczą pierwsze decyzje personalne. Zaraz po objęciu nuncjatury Pennacchio musiał przedstawić trzy kandydatury na metropolitę krakowskiego. Został nim abp Marek Jędraszewski, który przez kilka lat na urzędzie zdążył nazwać środowiska LGBT „tęczową zarazą”, opowiedzieć się po stronie narodowej prawicy i wojować z ekologią i psychologią. Nie przeszkodziło to nuncjuszowi w towarzysztwie abp. Jędraszewskiego hucznie świętować w 2019 r. setnej rocznicy reaktywacji nuncjatury (imprezę urządził w Wieliczce metropolita krakowski – Nowak i Obirek podają, że kosztem nawet kilkuset tysięcy złotych”).

Cieniem na misji Włocha kładzie się też to, jak reagował na doniesienia o tu-

szowaniu pedofilii. W 2020 r. dopiero po zapowiedzi protestujących w sprawie abp. Leszka Głódzia (metropolie gdańskiemu zarzucano tuszowanie przestępstw pedofilskich, mobbing i czerpanie nieuprawnionych korzyści materialnych), że pojawiają się pod nuncjaturą, Pennacchio zdecydował się na spotkanie. Wydał potem lakoniczny komunikat, że „rolą nuncjusza nie jest osądzanie spraw, które za jego pośrednictwem przekazywane są do odpowiednich organów Kurii Rzymskiej”. Watykan uznał winy Głódzia, ale już po jego przejściu na emeryturę.

A jak wywiązywał się ze współdziałania z władzami świeckimi na rzecz obrony praw człowieka? Gdy w Kaliszu w 2021 r. sąd poprosił nuncjaturę o dowody zgromadzone przez Watykan w sprawie bp. Edwarda Jania, który chronił księdza pedofila (hierarchę Stolicę Apostolską skazała), dostał pouczenie, że pismo powinno przyjąć inną drogą. Sędzia ponowiła wezwanie, tym razem przez MSZ. Nic to nie dało, a sąd dokumentów nie dostał.

Obejmując nuncjaturę, Pennacchio zapewniał: „Jestem nowicjuszem, przybywam tutaj, aby poznać polski Kościół. Chcę słuchać, kochać i patrzeć”. Lekcję Kościoła obłożonej twierdzy, który za wszelką cenę broni skompromitowanej instytucji, nuncjusz odrobił.

Jeśli jednak oceniać jego misję statystykami odejść Polaków z Kościoła, jego następcą nie będzie miał łatwego zadania. Przyjdzie mu się mierzyć nie tylko z przyspieszającą laicyzacją (szczególnie widoczną wśród młodzieży) czy kolejnymi przypadkami pedofilii wśród księży, ale też z coraz głośniejszymi podnoszonymi hasłami, że podpisany w 1993 r. konkordat powinien być renegowany. W kategoriach dyplomacji to porażka. ● **Małgorzata Skowrońska**

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dawniej wypadkom ulegali
głównie taternicy,
dzisiaj to turyści,
którzy muszą koniecznie
wejść na Rysy

POLSKA KULTURA PRZEŻYCIA
NA SZCZYZYCE

RAFAŁEM MIKLEREM, ZAWODOWYM RATOWNIKIEM TATRZAŃSKIEGO OCHOTNICZEGO POGOTOWIA RATUNKOWEGO I MIĘDZYNARODOWYM PRZEWODNIKIEM WYSOKOGÓRSKIM, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Jak wygląda typowy dyżur ratownika TOPR?

– Mamy 12-godzinne dyżury, podczas których pełnimy różne funkcje. Jestem ratownikiem grupy szturmowej w centrali TOPR w Zakopanem albo ratownikiem śmigłowcowym i dyżuruję przy zakopiańskim szpitalu w pobliżu łądowskiego. Pełnię także dyżury w tatrzańskich schroniskach.

Przyjmijmy, że w odstępie kilku minut dwie osoby doznały poważnych złamań, ale jedna jest na Buli pod Rysami, a druga u szczytu Giewontu. Jak wygląda wtedy logistyka działań?

– Priorytetem są obrażenia, które bardziej zagrażają zdrowiu lub życiu, a potem warunki pogodowe i miejsce wypadku. Decyzję o kolejności działań podejmuje kierownik dyżuru, ale z reguły wyglądałoby to tak: gdy jeden z poszkodowanych znajduje się w bardzo oddalonym miejscu (Rysy), a piesza akcja potrwałaby na tyle długo, że jego stan mógłby się znacznie pogorszyć przez wychłodzenie, to przy lotnej pogodzie śmigłowiec najpierw poleci na Rysy, gdzie zostawi grupę ratowników przy poszkodowanym i wróci do Zakopanego. Tu będzie czekała grupa szturmowa, która zostanie przetransportowana na miejsce drugiego wypadku, w tym przypadku w okolicy Giewontu.

W takich momentach najważniejszy jest wywiad ratownika dyżurnego, który zbiera najistotniejsze informacje w trakcie zgłoszenia. Zasięg w górach często jest ograniczony i te rozmowy są rwane, więc gdy poznamy szczegóły wypadku, to możemy dobrać sprzęt i zaplanować akcję.

Co czuje zespół ratunkowy, gdy otrzyma zgłoszenie, ale ze względu na niekorzystne warunki albo zagrożenie lawinowe nie może rozpocząć akcji?

– Zawsze wychodzimy lub staramy się dotrzeć do miejsca wypadku. Jeżeli się okaże, że jest to zbyt niebezpiecznie, to piesza akcja zostaje wstrzymana. A co czujemy? Rozczarowanie.

Czy zdarzały się spory w grupie ratunkowej, gdy pomimo ryzykownych warunków kierownik powiedział, że spróbujemy, ale ktoś nie chciał, bo było zbyt niebezpiecznie?

– Raczej nie. Kierownik nie jest dyktatorem, a gdy idzie zespół, to decyzje podejmujemy wspólnie. Każdy może się wypowiedzieć.

Jak często wyruszenie śmigłowcem?

– Są dni, gdy stoi w bazie i w ogóle z niego nie korzystamy, a są takie, gdy uruchamiamy go pięć razy dziennie. Nie ma reguły, chociaż warunki plus pora roku mają na to ogromny wpływ. Paradoksalnie kłuczowe są tutaj ładna pogoda i twarde śniegi, bo możemy się spodziewać, że tego dnia będzie więcej wypadków. Bardzo niebezpieczny jest okres wiosenny i wczesnoletni, gdy w górach jest dużo płatów śniegu.

Zlokalizowaliście poszkodowanych, wyruszyliście i docieracie do nich. Co mówią i jak się zachowują wtedy turyści? Niedowierzanie, radość, a może wstyd i arogancja?

– Natychmiast polepsza się ich morale, czują się uratowani. Zdarzają się sytuacje i osoby roszczeniowe, które nie chciały wzywać pomocy, ale ktoś z ich grupy wezwał, a gdy do nich dotarliśmy, to słyszeliśmy, że marnujemy czas, bo poradziliby sobie sami. To sporadyczne sytuacje.

Częściej osoby uratowane wysyłają nam kartki i listy, w których dziękują za ratunek. Rzadko, ale zdarza się, że przychodzą do naszej centrali albo bazy śmigłowca podziękować osobiście. Pamiętam mężczyznę, którego uratowaliśmy, i kilka miesięcy później, po powrocie do zdrowia, przyjechał z dziesięcioosobową rodziną. Każdemu z ratowników wręczyli kosze ze słodyczkami. To był dość ciężki wypadek, posłizgnął się i upadł, a gdy do niego dotarliśmy, był nieprzytomny.

Pamiętam też wzruszającą historię z czerwca ub. roku, gdy dwie kobiety zgubiły szlak z Pięciu Stawów do Morskiego Oka i utknęły w trudnych do przebrnięcia połamanych drzewach. Gdy zadzwoniły po pomoc, okazało się, że jedna była Chinką słabo mówiącą po angielsku, a druga, starsza pani, była głuchoniema. Chodziliśmy dość długo, ale gdy w końcu do nich dotarliśmy, to wybuchnęły radością. Starsza pani zaczęła nas całować po rękach, a gdy zeszliśmy do ulicy, to ucałowała samochód (*śmiech*).

Czy dobrze zrozumiałem, że im lepsza pogoda, tym więcej wypadków?

– Ironia, prawda? Zimą nazywamy to szklanymi górami, czyli sytuacją, w której w wysokich partiach gór była odwilż, następnie roztopa zamarzyła i stworzyła twardą pokrywę lodową. Dla osób doświadczonych, które potrafią chodzić w rakach i posługiwać się czekaniem, to dobre warunki do trekkingu czy wspinaczki. Niestety, dla amatorów to pułapka. Podobnie jak nagle załamania pogody, które w Tatrach zdarzają się często. Najlepszym przykładem był początek tego roku. Słoneczna niedziela trwała do połowy dnia, aż przyszedł porywisty wiatr, a potem wał gęstej mgły. Skończyło się tak, że w jednej minucie mieliśmy trzy zgłoszenia. Nie były to poważne wypadki – ludzie zostali po prostu uwięzieni w górach przez nagłą zmianę pogody.

Dopóki szli ze słońcem, to było fajnie, wiedzieli, gdzie jest szlak i grań. Gdy mgła ograniczyła widoczność do mniej niż 10 metrów, to nie wiedzieli, czy idą zgodnie ze szlakiem, czy prosto w przepaść. A pozostanie w miejscu, czekanie na poprawę pogody grozi zimą szybkim wychłodzeniem, a w ekstremalnych przypadkach zamrożeniem. Niestety, takie sytuacje są wynikiem braku znajomości obsługi podstawowych urządzeń nawigacyjnych, chociażby w smartfonie.

Jak z tego korzystać?

– Przed wyjściem w góry sprawdzamy prognozy pogody. Potem należy wyznaczyć cel w obrębie własnych fizycznych i psychicznych możliwości. Trzeba się naładować, wziąć naładowany telefon i powerbank. Dobrze mieć aplikację Ratunek. Stworzono ją specjalnie dla turystów i ratowników. Po jej uruchomieniu i trzykrotnym kliknięciu w guzik w systemie TOPR wyświetla się dokładna lokalizacja wezwania pomocy. To bardzo ułatwia nam pracę, szczególnie gdy ludzie nie potrafią włączyć i używać GPS-u w telefonach. To wydaje się oczywiste, ale często podczas zgłoszenia, gdy np. pytamy się o koordynaty, to wiele osób nie ma pojęcia, co to i jak je znaleźć. A wystarczy tylko kliknąć na niebieską kropkę w mapach Google’a. Poza tym w każdym plecaku powinny się znaleźć latarka, apteczka, folia NRC oraz dobry ubiór.

Zimą ten pakiet podstawowy musi być powiększony o zestaw lawinowy, czyli detektor, sonda i łopata. Nie wystarczy pójść do sklepu, kupić raki, czekan i kask, a potem od razu na Rysy. To zawsze grozi wypadkiem. Ważna jest umiejętność posługiwania się nimi, co wbrew opiniom nie jest takie proste.

W górach jest jak na drodze, gdy wymusza się pierwszeństwo. Bo brakuje kodeksu dobrych obyczajów

Zimą konieczne jest sprawdzanie komunikatów lawinowych oraz znajomość numerów alarmowych, które powinny być na stałe wpisane do telefonu: 985 i 18 20 63 444, a także 601 100 300. Warto wiedzieć, że w przypadku wypadku lawinowego statystycznie największe szanse ratunku mają osoby uratowane przez swoich partnerów. Zanim służby dotrą na miejsce, może być za późno.

A koniecznie musi być markowa odzież? Czy najdroższe ciuchy dają gwarancję bezpieczeństwa?

– Na pewno ubrania, buty i sprzęt powinny być kupowane w specjalistycznych sklepach outdoorowych. Oczywiście nie znaczy to, że najdroższe są najlepsze. Oprócz ceny warto sprawdzić opinie i renomę producenta. Ale nie powinno się oszczędzać na sprzęcie, który oprócz zapewnienia wygody może nam ocalić życie.

Czy widząc głupotę i bezmyślność, ratownikom zdarza się wybuchnąć?

– Osoby, które znalazły się w sytuacji wymagającej pomocy, już przeżyły stres, więc pogłębianie go nikomu nie pomoże. Po zakończeniu działań przeprowadzamy pogadankę, analizujemy, jakie błędy popełniono. Przyjęło się, że turyści idą w góry w klapkach i chociaż to się zdarza, to jednak znacznie rzadziej, niż wskazuje na to obiegowa opinia. Przy dzisiejszych możliwościach przewidywania pogody ludzie na własne życzenie pchają się w niebezpieczne okoliczności i tym samym narażają ratowników.

Gdy powszechnie wiadomo, że od kilku dni zapowiadają mocne opady śniegu albo gdy ogłoszono wy-

soki stopień zagrożenia lawinowego, a turyści mimo to wychodzą np. na Rysy, to jest to nieodpowiedzialność granicząca z głupotą.

Kiedyś ludzie nie odważyliby się wyjść wyżej niż poziom schronisk, dzisiaj to nagminne. Mam wrażenie, że w obliczu rosnącej popularności gór zanika instynkt samozachowawczy. Powinno się latami zbierać doświadczenia, a nie tylko pochwalić się zdjęciami z zimowych gór w mediach społecznościowych.

Czy to oznacza, że kiedyś ludzie byli bardziej przestrożni i było mniej wypadków?

– Jest więcej osób, które chodzą zimą po górach, nieporównywalnie, niż dawniej i przez to wzrosła liczba wypadków. Przesunął się także środek ciężkości: turyści, którzy nie mają doświadczenia wspinaczkowego czy wysokogórskiego, nagle zabierają się za cele, które dawniej były zastrzeżone tylko dla taterników. Na przykład zimowe wejście na Rysy dla takich nie będzie wyzwaniem, ale dla turysty już tak. Tymczasem dzisiaj ratownik dyżurujący w schronisku obserwuje sznur ludzi próbujących osiągnąć wierzchołek. W ogóle uważam, że przez swoją atrakcyjność i popularność Rysy są aktualnie najniebezpieczniejszym szczytem w Tatrach. Jest to teren stromy i przepaścisty, a największym zagrożeniem są paradoksalnie ludzie.

Wchodzący zimą wyzwalają lawiny, które nierzadko zasypują osoby będące poniżej. Latem zagrożeniem są spadające kamienie. Rysy są idealnym przykładem miejsca, w którym czynnik ludzki jest bardziej niebezpieczny niż warunki pogodowe.

A co, kiedy warunki są tak złe, że śmigłowiec nie może wylecieć?

– W okresie zimowym akcje są przede wszystkim piesze, bo śmigłowiec jest wysyłany tylko do zmroku i gdy pogoda jest lotna. Gdy w górach robi się ciemno, około godz. 15, a zgłoszenia przychodzą po zachodzie słońca, bo ktoś za późno wyszedł w góry, to z centrali rusza tradycyjna, czyli piesza wyprawa. Kierownik dyżuru wyznacza, kto jest kierownikiem terenowym, i taka wieloosobowa grupa ratowników rozpoczyna akcję. Często jest tak, że wysła się szybki zespół czteroosobowy, który zabezpiecza poszkodowanego, a następnie rusza większa grupa ratowników do transportu. W zależności od terenu działania posługujemy się skuterami śnieżnymi bądź quadami. Taka wyprawa potrafi trwać całą noc.

Czy ratownik też się może zgubić?

– Raczej nie, ponieważ oprócz odpowiednich urządzeń nawigacyjnych mamy umiejętności, które cały czas doskonalimy. Podstawa to praca z mapą i kompasem. Urządzenia mogą zawodzić, więc tradycyjne metody są najlepsze. Dodatkowo każde radio ratownika zawiera nadajnik GPS, ale traktujemy to tylko jako dodatkowe zabezpieczenie.

Jak wyglądała pana najcięższa akcja ratunkowa?

– (*Chwila ciszy*) Na Hińczowej Przełęczy dotarliśmy do poszkodowanego wspinacza. Doszło wtedy do załamania pogody, oprócz silnego wiatru u góry było minus 25 stopni. Ekstremalne warunki oraz wyścig z czasem były dla mnie bardzo trudne psychicznie. Całkiem niedawno miałem też akcję w rejonie Gerlachu na prośbę słowackich ratowników, którzy nie byli w stanie dolecieć swoim śmigłowcem. Dotarliśmy od naszej, północnej strony i zastaliśmy poszkodowanych w tak złym stanie, że gdyby trwało to dłużej, to pewnie by nie przeżyli. Z powodu wychłodzenia byli na granicy świadomości. Po przywiezieniu do szpitala w Zakopanem zostali wprowadzeni w stan śpiączki. Na szczęście udało się ich uratować.

Przypadków skrajnego wychłodzenia, które zakończyły się śmiercią, na szczęście na razie nie miałem.

W ciągu pierwszych stu lat istnienia zorganizowanej służby ratowniczej zginęło w Tatrach około tysiąca osób. Oprócz tego, że Tatry są najwyższe w Polsce, to czy są także najniebezpieczniejsze?

– Tak, bo w Tatrach występuje wiele zagrożeń nieobecnych w innych polskich górach. Jest nas ponad 37 milionów, a obszar Tatr jest tak mały, że zagęszczenie przyjeżdżających tu ludzi jest niespotykane w skali Europy.

Naprawdę trudno znaleźć góry, które byłyby tak zafłoczone jak Tatry, co się przekłada na statystyki wypadków śmiertelnych. Inna sprawa, że Polska jest w większości krajem nizinnym i moim zdaniem brakuje nam tak zwanej kultury górskiej. Wszyscy kojarzą Wandę Rutkiewicz czy Jerzego Kukuczkę, ale nie wytworzyła się u nas górska kultura, jak np. w krajach alpejskich – Francji czy Włoszech.



Czyli górskie biwaki, Witkacy czy całe artystyczne międzywojnie w Zakopanem to za mało?

– To część, powiedzmy, artystyczna, jak choćby poezja młodopolska wpisana w Tatry. Mam na myśli większą świadomość niebezpieczeństw i wychowanie w szacunku do przyrody i jej nieprzewidywalności. Oczywiście we Francji i Włoszech również zdarzały się wypadki, a turyści mimo złych warunków wychodzą na szlak, ale – jak sądzę – pewien zestaw górskich tradycji i obyczajów jest tam częścią składową ogólnonarodowej kultury i tożsamości. To trochę jak z kulturą jazdy samochodem, która na Zachodzie, niestety, jest ciągle wyższa niż w Polsce.

Jak wprowadzić taką kulturę?

– Myślę, że każdy Polak słyszał o Giewoncie, Rysach, ale w przeciwieństwie do krajów alpejskich u nas nie ma wychowania od najmłodszych lat w duchu respektu wobec gór, który powinien towarzyszyć wycieczkom, jak chociażby wcześnie wyjście na szlak. Zdarza się, że turyści nadal chodzą po górach nieprzygotowani, ale ponieważ dopisała pogoda i nic się nie stało, to wracają z przeświadczeniem, że góry wcale nie są takie trudne, a zasady bezpieczeństwa to tylko czcze gadanie. Na szczęście na przestrzeni lat obserwujemy poprawę zachowań turystów i coraz lepsze ich przygotowanie. Pamiętam, gdy kiedyś wracałem ze wspinaczki w okolicach Mnicha i zobaczyłem w oddali zbliżającą się ciemną, ołowianą chmurę i usłyszałem pierwsze grzmoty. Chwilę później spotkałem idącą prosto na nią rodzinę: rodzice z dwójką dzieci, weseli, rozgadani, ale kompletnie nieprzygotowani. Zareagowałem i powiedziałem im, że lepiej zawrócić, bo zbliża się burza.

Mężczyzna spojrzał na mnie jak na wariata, więc mu powiedziałem, że jestem ratownikiem i radzę zawrócić, bo widzę, że są z dziećmi, a na dodatek nieprzygotowani. Nie odpowiedział ani słowa i poszedł dalej. Z tego, co wiem, to ich wycieczka nie skończyła się zgłoszeniem, ale to nie ze względu na ich „umiejętność”, tylko szczęście.

Czy to prawda, że Giewont jest popularnym miejscem dla samobójców?

– Niestety, tak. W ciągu ostatnich lat rzeczywiście zginęło tam kilkanaście osób. Co prawda Giewont nie jest tak pionowy, jakby się mogło wydawać, ale jest wystarczająco wysoki i stromy. Do tego dochodzi także symboliczny aspekt. Drugim takim popularnym miejscem jest szczyt Nosała. Każdego roku popełniają tam samobójstwo co najmniej dwie osoby. Do tego dochodzi wpływ halnego wiatru, który obrócił wieloma legendami i nie jest do końca wyjaśniony naukowo. Przypisuje się mu gwałtowne zmiany ciśnienia i jonizację powietrza, przez co osoby mniej stabilne bądź z jakimiś chorobami psychicznymi, jak to się mówi kolokwialnie, „łapią doła”. Co ciekawe, w 2022 roku halnego prawie nie było i chociaż nie prowadzę statystyk samobójstw, to nie przypominam sobie, aby TOPR otrzymał zgłoszenie, że znaleziono ciało.

Czy w Tatrach istnieją jakieś przesady albo legendy, że np. podczas pełni nie można wychodzić w góry?

– Istnieje stary taternicki przesąd, który się nazywa widmem Brockenu lub mamidłem górskim. To zjawisko optyczne polegające na tym, że cień człowieka pada na mgłę, która jest poniżej. Na tej mgłę powstaje wtedy postać otoczona świetlistym łukiem, który przypomina tęczę albo aureolę. Zgodnie z legendą tego, kto zobaczył widmo Brockenu, czeka rychła śmierć w górach.

Czy ten omen ma przełożenie w wypadkach, nie wiem, ale samo zjawisko wizualne jest rzadkie, ale prawdziwe.

Znane są niewyjaśnione historie, jak ta dotycząca wypadku Kaszniców w Dolinie Jaworowej z lat 20. ubiegłego wieku. Mąż z żoną i dzieckiem wędrowali po Tatrach. Gdy chcieli dojść na Lodową Przełęcz, pomógł im taternik Ryszard Wasserberger.

W drodze doszło do załamania pogody i cała trójka zaczęła słabnąć, popadać w apatię. Finalnie umarli wszyscy poza kobietą, którą potem posądzano o zabójstwo, chociaż do dzisiaj nie wyjaśniono, co się tam wydarzyło. Domysły wskazują, że w obliczu bardzo silnego wiatru wszyscy schowali się za kamieniem, gdzie stworzyła się próżnia powietrzna i się podusili. Sam doświadczyłem takiej próżni kilkakrotnie, gdy wiało ponad 120 km/h, ale były to raczej trudności ze złapaniem oddechu. Inna z teorii twierdzi, że kobieta, która miała przy sobie koniak, otruła całą trójkę, a potem udawała ofiarę, winą obarczając trudne warunki, wychłodzenie itp. Główna wątpliwość polega na tym, że taternik, który był najmocniejszy z nich i teoretycznie powinien przetrwać, także zmarł, a ona nie.

Czy sam pan widział coś, czego nie może zrozumieć?

– Kiedyś nocowałem w górach i gdy leżałem pod gołym niebem, to słyszałem dziwne odgłosy nieznanego pochodzenia. Do dzisiaj nie wiem, co to było, ale raczej spodziewam się, że był to wiatr oraz moja wyobraźnia (śmiech).

Co pana skłoniło do wstąpienia do TOPR?



FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Im lepsza pogoda, tym więcej ludzi ulega wypadkom.
Nazywamy to szklanymi górami*

– Urodziłem się i wychowałem w Zakopanem. To dość symboliczne, bo przyszedłem na świat dosłownie kilkaset metrów od centrali TOPR i całe życie miałem styczność z ratownikami. Mój starszy brat wcześniej zdecydował, aby zostać ratownikiem. Był też moim ratownikiem wprowadzającym w szeregi pogotowia. Od najmłodszych lat uprawiałem wspinaczkę i narciarstwo.

Zdecydowałem się dołączyć do TOPR, kiedy byłem ukształtowanym wspinaczem, posiadałem tyle doświadczenia, że czułem się pewnie w górach o każdej porze roku. Dzięki tym umiejętnościom i długiemu procesowi szkolenia zostałem międzynarodowym przewodnikiem wysokogórskim z licencją UIAGM/IVBV.

TOPR to praca, pasja czy misja?

– Myślę, że jednak misja, ale nie chcę brzmieć patetycznie. To przyszło do mnie naturalnie i w końcu uznałem, że moją wiedzę wspinaczkową i doświadczenie mógłbym wykorzystać przy pomaganiu. I taka moim zdaniem powinna być kolejność.

A jest aspekt gór, którego pan się boi?

– Każdy człowiek czasem się boi i dzięki temu jest uważny. Góry są nieprzewidywalne, a ryzyko jest wpisane w ten zawód, ale możemy je zniwelować poprzez szkolenia i dlatego właśnie cały czas się uczę i staram się podnosić swoje umiejętności.

Jak zostać ratownikiem TOPR?

– W TOPR większość ratowników to ochotnicy. Chcąc do nas przystąpić, należy złożyć podanie, zdać test kondycyjny oraz egzaminy z takich sprawności jak jazda na nartach, wspinaczka i topografia, a także mieć dwóch ratowników wprowadzających. Ratownik ochotnik musi odbyć społecznie 120 godzin dyżurów w roku. Warto zaznaczyć, że w naszych szeregach są osoby przeróżnych profesji: biznesmeni, nauczyciele, prawnicy czy informatycy.

Aby zostać ratownikiem zawodowym, trzeba mieć odpowiedni staż jako ratownik ochotnik i wykazywać się aktywnością i doświadczeniem. Ratowników zawodowych TOPR jest około 40.

Myślę, że jako drużyna jesteśmy zżyci, aczkolwiek jak wszędzie Asą osoby, które się mniej lub bardziej lubią. Na pewno wszystkich łączy góry i chęć pomagania ludziom. TOPR raczej nie jest zajęciem dla cyników, którzy nie lubią przyrody (śmiech).

Mówił pan o rosnącej popularności gór. Czy idzie ona w parze z szacunkiem do środowiska?

– Moim zdaniem ludzie są teraz mniej wrażliwi, gdzieś stracili więź z przyrodą w takim filozoficznym wymiarze. Często góry traktowane są jako boisko, a nie miejsce sacrum.

Jak przebiega dzisiaj rozwój ratownictwa? Czy TOPR w jakiś sposób wykorzystuje nowe zdobycze techniki w akcjach ratunkowych?

– Ratownictwo to przede wszystkim ludzie oraz ich umiejętności. Najnowocześniejsze śmigłowce czy skutery śnieżne, które – owszem – dokonały rewolucji w sposobie prowadzenia akcji ratunkowych, dalej muszą być zarządzane przez doświadczonych ludzi. Moim zdaniem żadna maszyna czy nawet sztuczna inteligencja nie będzie w stanie wykonać pracy przeszkolonego i doświadczonego ratownika, dlatego najważniejsze inwestycje powinno się podejmować w obszarze umiejętności.

Nowością w naszej pracy są akcje z użyciem dronów. Pomagają w ustaleniu lokalizacji poszkodowanych czy dostarczeniu im potrzebnych do przetrwania rzeczy. Choćby w minionym roku na Czerwonych Wierchach doszło do sytuacji, gdy dronami dostarczono pakiety grzewcze, ponieważ zagrożenie lawinowe było tak duże, że grupa ratowników nie mogła do nich dotrzeć.

Pomogły one przetrwać poszkodowanym noc.

A finansowanie TOPR? Proście o wsparcie, ale macie też dotację MSWiA.

– Finansowanie z ministerstwa w głównej mierze przeznaczone jest na płace dla ratowników zawodowych oraz na utrzymanie śmigłowca.

W internecie spotkałem się z opinią, aby ludzie, którzy spowodowali nieuzasadnioną akcję ratowniczą, płacili za nią. Co pan o tym sądzi?

– Z jednej strony nieuzasadnione wezwanie ratowników TOPR jest traktowane tak samo jak nieuzasadnione wezwanie karetki, a konsekwencje tego mogą być tragiczne dla kogoś, kto naprawdę w danym momencie tej pomocy potrzebuje. Jednocześnie trudno jest udowodnić, że ktoś symulował wypadek czy chorobę. A ratownictwo w Polsce, na drogach, nad morzem, także jest bezpłatne.

W tym miesiącu podano informację, że ratownicy szukali mężczyzny, który był pijany i dla żartu zadzwonił po pomoc. Czy tacy ludzie nie powinni ponieść chociaż konsekwencji finansowych?

– Ale kto to ma ocenić? To musi być wyrok sądu, bo nie leży to w kompetencji TOPR.

Zdarzały się sytuacje, w których wezwanie śmigłowca okazało się bezpodstawne, gdy zdrowie bądź życie nie było zagrożone, ale to naprawdę pojedyncze przypadki. Zgłaszamy wtedy takie sytuacje na policję, że doszło do nadużycia, ponieważ TOPR nie ma mocy prawnej, aby wystawiać mandaty czy kary. Z tego, co się orientuję, to niektórzy mandaty rzeczywiście dostali, ale część spraw była jednak umarzana.

Na jednym z tatrzańskich forów natknąłem się na opinię, że ratownicy tylko czekają, żeby komuś pomóc, ponieważ od tego są. Jakaś osoba pytała o warunki na jednym ze szczytów, a inna napisała: „Spoko, w razie czego TOPR ci pomoże”. I nieważne, że np. obowiązuje trzeci stopień zagrożenia lawinowego. Pamiętajmy, że ratownicy to też ludzie mający rodziny i bliskich, i nie prowokujmy niebezpiecznych sytuacji.

Ofiarami trudnych warunków pogodowych lub losowych wypadków mogą paść nawet najlepsi. Najgorsze są jednak zgłoszenia, którym można było całkowicie zapobiec, poprzez choćby dobranie odpowiedniego stroju, sprzętu, sprawdzenie pogody czy wreszcie dzięki zdroworozsądkowej ocenie własnych możliwości wobec zamiarów. Dlatego myślę, że w imieniu swoim i całego TOPR mogę zaapelować o nieustanną edukację i więcej wyobraźni. ●

Aby wesprzeć ratownictwo górskie w Tatrach, można przekazać 1,5 proc. podatku na Fundację Ratownictwa Tatrzańskiego TOPR. Numer KRS 0000030706

Tautogram

Każdy Polak i każda Polka obudzeni w środku nocy i spytani, kto powiedział: „Bieda, Biedronka, Bundestag”, odpowiedzą bez wahania: Patryk Jaki.

Michał Rusinek*



Po pierwsze, Patryk Jaki jest jak ten rosyjski „Boh”, który „trojcu l’jubit”. Zamieścił bowiem na Twitterze nagranie, w którym wyjaśnia swoim followersom, na czym opiera się program Platformy Obywatelskiej: „To trzy razy B: Bieda, Biedronka i Bundestag”. Po drugie, Patryk Jaki jest jak ten niemiecki cesarz Wilhelm II, który wymyślił slogan opisujący tradycyjną rolę kobiety w społeczeństwie i rodzinie: „Kinder, Küche, Kirche” (czyli „dzieci, kuchnia, kościół”, choć można też znaleźć zgrabniejszy, acz zmieniający kolejność wyrazów przekład: „kościół, kuchnia, kołyska”). Po trzecie, Patryk Jaki jest jak ten Gajusz Juliusz Cezar, który przecież poinformował rzymski senat o swoim błyskawicznym zwycięstwie w bitwie pod Zelą słowami: „veni, vidi, vici”.

Nie ma się co dziwić Patrykowi Jakiemu. Układy trójelementowe są eleganckie, łatwe do wyobrażenia i zapamiętania. Nawet Platon uważał trójkąt za najprostsze i najpiękniejsze zarazem figury geometryczne. Teoria, która daje się zawrzeć w trzech punktach, nie tylko wydaje się zwięzła, a więc i warta opanowania, ale także zdaje się jakoś uprawomocniona i uświęcona tą liczbą: będącą symbolem Boga, sacrum, harmonii, siły czy Słońca. A jeśli jeszcze do trójki dodamy aliterację (wszystkie wyrazy rozpoczynają się przecież na tę samą literę), to magiczna siła tak zbudowanego zdania wzrośnie wielokrotnie. Przekazywane ono będzie z ust do ust, powtarzać je będą dęby dębom, bukom buki, ale zanim stanie się skrzydlatym słowem — unieśmier-

telni swojego autora, który po wsze czasy kojarzony z nim będzie. Każdy Polak i każda Polka, obudzeni w środku nocy i spytani, kto powiedział: „Bieda, Biedronka, Bundestag”, odpowiedzą bez wahania: Patryk Jaki. I odwrócą się na drugi bok.

Taka aliteracja nosi nazwę tautogramu. Występuje w połączeniach imion i nazwisk, jak Pier Paolo Pasolini czy Anna Andriejwna Achmatowa. Tautogramy znaleźć można w tytułach dzieł literackich jak „Sen srebrny Salomei” czy „Serc starania stracone” (to przekład autorstwa Macieja Słomczyńskiego, tytułu komedii Szekspira „Love’s Labour’s Lost”). Stanisław Barańczak stworzył tautogram aż sześciowyrzowy, tytułując swoją książkę: „Zwierzęca zjadłość. Z zapisków zniechęconego zoologa”. Tautogramy pojawiają się w nazwach instytucji, jak Warecka Wytwórnia Win czy Zamojskie Zakłady Zbożowe, a także w powiedzeniach — które przecież muszą być prawdziwe, bo są magicznie potrójne i aliteracyjne — jak „Pracuj, Polaku, powoli” czy (studenckie): „Zakuć. Zdać. Zapomnieć.”. Jako pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego — nie polecam.

Wróćmy do Patryka Jakiego. Jego tautogram jest bowiem dość specyficzny i nawet on sam zdawał sobie sprawę, że powinien każdy z elementów swej triady wyjaśnić. „Trzeba być naiwnym, sądząc, że będzie inaczej, niż było, jak Tusk był premierem. Ich naczelne hasło brzmiało: »pieniędzy nie ma i nie będzie«” — wyjaśnił w dość zagmatwany gramatycznie sposób słowo „bieda”. „Biedronkę” objaśnił następująco: „Wróci złodziejstwo, wypływy z VAT-u. Dochody z VAT są większe niż dochody całego państwa za Tuska. Od czasów PO w Polsce znacząco wzrosło poczucie bezpieczeństwa, spadła przestępczość, a konfiskata majątku z przestępstw zaczęła realnie działać”. I ostatnie hasło, „Bundestag”, właściwie wyjaśnienia nie wymagało, ale Patryk Jaki się nie powstrzymał: „W Polsce znów będą rządzić Niemcy” — wieszczyl. — „Jak to ujął sam Lewandowski na pytanie, dlaczego zgadzali się na likwidację polskich stoczni, skoro niemieckie mogły istnieć, odpowiedział, że im wolno więcej. Do tego reset z Rosją, umorzenie długów Gazpromowi, bo pewnie Niemcy tak chcieli”. Tu przyszedł czas na podsumowanie: „Nie ma idealnych rządów. Najgorsze są jednak te z zewnętrznym suwerenem. A powinniśmy nauczyć inne państwa, że to my sami decydujemy o tym, kto tutaj rządzi” — powiedział Patryk Jaki,

wskazując wymownie na siebie i patrząc nam głęboko w oczy.

To jasne, że przed wyborami mówi się, że nasi przeciwnicy polityczni są gorsi od nas, zwłaszcza tacy, którzy już rządili. Będzie bieda i będzie podporządkowywanie się Bundestagowi — to główny przekaz Patryka Jakiego. Mimo jego wyjaśnień opinii publicznej zdumiała „Biedronka”. Skąd taki wybór? Raczej nie chodziło mu o wyrażenie swojej entomofobii: lęku przed owadami uskrzydłonymi zwanymi jakże swojsko bożymi krówkami (po łacinie *Coccinella septempunctata*). Jeśli chodziło mu o sieć sklepów należących do portugalskiej spółki Jerónimo Martins, to nie bardzo wiadomo, czy był to cios akurat w tę firmę, którą oskarża Jaki o unikanie płacenia podatku VAT, czy też była ona metonimią wielu tego typu sieci handlowych. Być może to jakieś echo wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego z 2011 roku, który twierdził, że „Biedronka to sklepy dla najuboższych”. Sam Jaki tłumaczył potem, że chodziło mu o na-
wiązanie do „torby z Biedronki”, w której jeden z bohaterów „afery taśmowej” miał wręczyć synowi byłego premiera 600 tys. zł. W październiku zeszłego roku działacze Forum Młodych PiS rozwieszali takie torby na klamkach biur polityków PO. Michał Moskal, szef owej młodzieżówki, tłumaczył wówczas na Twitterze (tocząc nierówną walkę z gramatyką i składnią), że „torby z Biedronki są doskonałym symbolem dla biedy i bezrobocia, z którym każdy musiał się mierzyć” za czasów rządów Platformy.

W sumie nie wiadomo więc, co symbolizuje „Biedronka”. Ośmielam się postawić tezę, że została ona umieszczona w tautogramie Jakiego głównie z powodów estetycznych. „Biedę” i „Biedronkę” łączy bowiem nie tylko aliteracja, ale i pozorna figura etymologiczna: wydaje nam się, że te wyrazy mają wspólne pochodzenie, ale tak nie jest („bieda” pochodzi od prasłowiań-

skiego wyrazu oznaczającego nieszczęście i zmuszanie do czegoś; „biedronka” — albo od wyrazu oznaczającego „biodra”, albo od słowa „wiodro” oznaczającego upał, albo od czeskiego „baranka”, w tym przypadku „baranka Marii Panny”, od którego już blisko do „bożej krówki”). Łączy je zaś bez wątpienia ciąg aż czterech pierwszych liter, co sprawia, że to już nie zwykła aliteracja, lecz nieomal anafora. Wyobrażam sobie, że Patryk Jaki, człowiek wrażliwy na urodę stylu, płacze rzewnymi łzami, bo nazwa niemieckiego parlamentu zaledwie zaczyna się na literę „b”. O ileż piękniej by było, gdyby triada Jakiego mogła na przykład brzmieć: „bieda, Biedronka, Biedermeier”. I nawet mogę sobie wyobrazić, że umiałby on wyjaśnić związek ze znienawidzonymi Niemcami tego stylu w architekturze wnętrz, który rozwinął się przecież głównie w krajach niemieckojęzycznych. Tak tylko podpowiadam na przyszłość.

Nie chciałbym, żeby umknęło nam jeszcze jedno zdanie Patryka Jakiego. Otóż cały twitterowy wywód rozpoczyna on zdaniem skierowanym do swoich followersów: „Pytacie o program Platformy Obywatelskiej”. Być może jest to zabieg retoryczny typu: „pytacie mnie w listach”, który stosujemy, gdy chcemy coś powiedzieć niepytani. Załóżmy jednak, że tak nie jest i że rzeczywiście followersi Jakiego pytają go o ów program. Oczywiście nie wiemy, jakich poglądów są to ludzie, ale zapewne w większości zwolennicy Solidarnej Polski lub Zjednoczonej Prawicy. Jeśli pytają o program partii opozycyjnej, to powinno się Jakiemu zaświecić czerwone światelko. Może być nawet czerwone w czarne kropki.

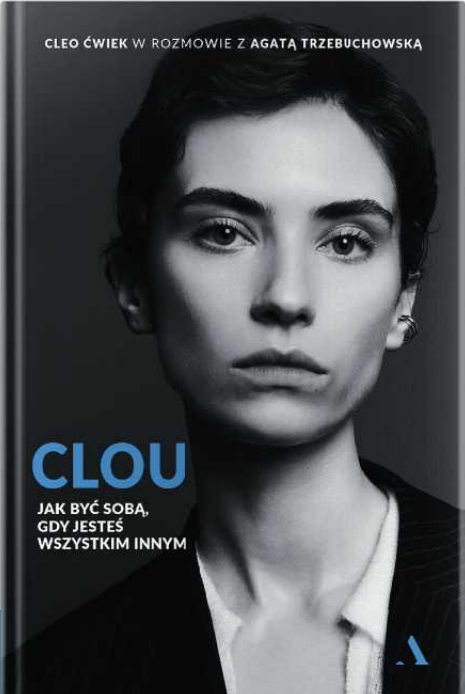
***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00, E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielniński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





CLEO ĆWIEK W ROZMOWIE Z AGATĄ TRZEBUCHOWSKĄ

CLOU

JAK BYĆ SOBĄ,
GDY JESTEŚ
WSZYSTKIM INNYM

AGATA TRZEBUCHOWSKA:

I wtedy pojawia się depresja...

CLEO ĆWIEK:

Niestety jest ona
konsekwencją każdej manii

BEZ AUTOCENZURY O DOŚWIADCZENIU
CHOROBY PSYCHICZNEJ,
ŻYCIU W SPEKTRUM, TERAPII, LEKACH,
A TAKŻE O MIŁOŚCI, ŚWIATOWEJ KARIERZE,
PODĄŻANIU ZA PASJĄ I MIŁOŚCI.

PREMIERA 8 LUTEGO



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA

K KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl

Wydawnictwo
Agora

NASZ WSZECHŚWIAT MA JAKIŚ POCZĄTEK

Fizyka potrafi skutecznie udowodnić, że czegoś nie ma, jeśli tego naprawdę nie ma. Nieistnienia Boga nie dowiodła

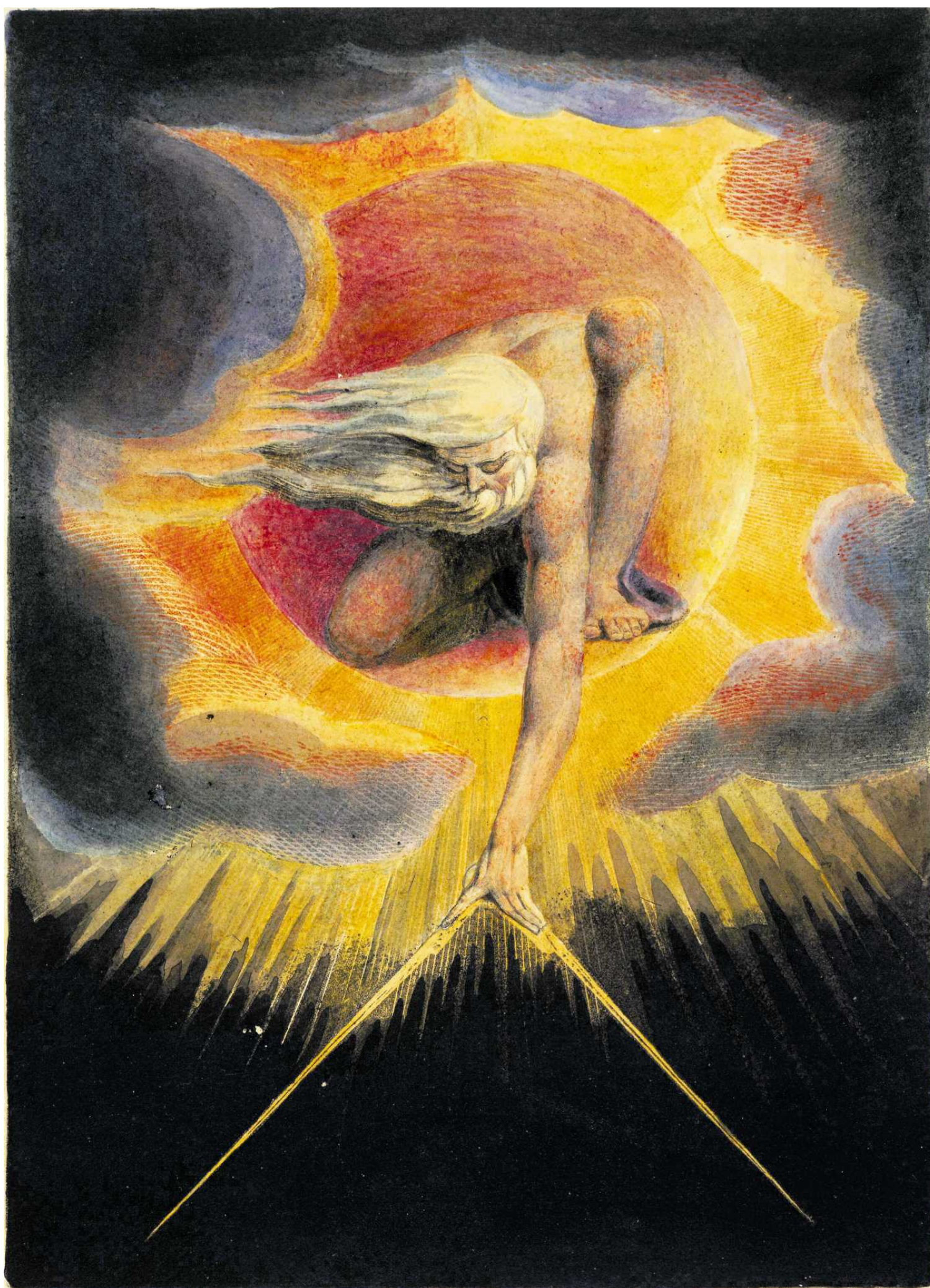
Marek Abramowicz*

Nój artykuł „56 głosów za Bogiem” w świątecznym numerze „Wyborczej” wywołał zdumiewającą reakcję: ponad tysiąc komentarzy w internetowym wydaniu oraz kilka listów do redakcji omawianych przez następne setki komentatorów. Im wszystkim bez wyjątku szczerze dziękuję za, jak miemam, szlachetne w zamysle intencje.

Przede wszystkim dziękuję za częste pouczanie, czym może, a czym się nie może zajmować fizyka. Tu pozostanę jednak przy swoim zdaniu: fizyka powinna się zajmować wszystkim – bez żadnych ograniczeń ideologicznej cenzury. Wszystkim to znaczy wszystkim w zakresie swych kompetencji, czyli empirycznym odkrywaniem i teoretycznym wyjaśnianiem prawdziwej natury fizycznego świata w całości (podkreślam: całości!) jego realności i złożoności, niezależnie od tego, czy odkrywana natura świata jest zgodna z aktualnie panującymi nakazami politycznej poprawności.

Obecnie w wielu środowiskach, także akademickich, politycznie poprawny jest światopogląd ateistyczny. Ale ateizm nie jest prawem natury. Jest wymyślonym przez filozofów pewnym poglądem na świat. Przyznaję, że poglądem solidnym, poważnym, logicznie dopuszczalnym i godnym szacunku. Jednak niejedynym możliwym. Nie da się racjonalnie uzasadnić żądania, że fizycy, prowadząc profesjonalne badania, nie mogą szukać intelektualnych inspiracji w innych niż ateizm poglądach filozoficznych.

Oczywistym przejawem nacisku środowiskowej politycznej poprawności jest absurdałne wymaganie, aby wierzący w Boga fizycy nigdy nie głosili publicznie, że właśnie jako fizycy doszli do wniosku, że Bóg musi być aktywnym elementem fizycznej rzeczywistości. Wielu temu naciskowi ulega, bowiem dość często można usłyszeć lub przeczytać taką rutynową deklarację: „jako fizyk wyraźnie dostrzegam w naturze świata aspekty transcendentálne, niematerialne, ale publicznie mówię o ich obecności nie jako fizyk, lecz wyłącznie jako wierząca w Boga osoba prywatna”. Ta szlachetna ostrożność mnie zasmuca, bowiem (może niesłusznie) nasuwa analogię z czasami, gdy wypa-



• „Stworzenie świata” (znane też jako „Urizen stwarzający świat”), William Blake, 1824 FOT. DOMENA PUBLICZNA

dało umieścić rutynową wzmiankę o książce Włodzimierza Lenina „Materializm a empiriokrytycyzm: krytyczne uwagi o pewnej reakcyjnej filozofii” we wstępie do pracy dyplomowej na dowolny temat.

Odrzucenie z góry jednej tylko z dwóch uprawnionych logicznie hipotez (Bóg istnieje, Bóg nie istnieje) przeczy oświeceniowej metodzie uprawiania nauki, która nakazuje, aby wątpić w jakiekolwiek ideologiczne założenia, czyli nie kierować się swym lub innych widzimisię, lecz wszystko oceniać racjonalnie, na podstawie bezstronnej analizy sprawdzalnych faktów. A sprawdzalne fakty są takie:

Po pierwsze, fizyka nigdy, żadnym swym działaniem lub odkryciem, nie udowodniła, że Boga nie ma: nie wykluczyła ani możliwości Bożej egzystencji, ani możliwości jego sprawczej roli w kształtowaniu fizycznej rzeczywistości świata. Dodam, że wbrew zupełnie fałszywemu mniemaniu wielu komentatorów, fizyka potrafi rozstrzygająco udowodnić, że czegoś nie ma, jeśli tego naprawdę nie ma: dowody na nieistnienie są standardową metodą fizyki. Szczególna teoria względności Einsteina wyrosła z empirycznego dowodu na nieistnienie eteru, podobnie jak kinetyczna teoria gazów Ludwiga Boltzmanna zgodna jest z empirycznymi przesłankami na nieistnienie ciepłika.

Po drugie, wcale niemała liczba współczesnych fizyków sądzi, iż fizyka jest dziś o wiele bliżej, niż była w wieku XIX, do uznania istnienia duchowej transcendencji (Boga?) jako ważnego elementu obiektywnej rzeczywistości.

To są fakty. Natomiast przekonanie, iż „fizyka już dawno odrzuciła bajeczki o Bogu” jest nieracjonalnym przesądem, zabobonem, takim jak przekonanie o skuteczności horoskopów, magiczny kult relikwii, egzorcyzmy, jak zakazywanie szczepień, antykoncepcji, procedury in vitro i bezpiecznej aborcji. Ponieważ to głównie fizyka kształtuje racjonalny światopogląd każdego pokolenia, rzetelni fizycy, niezależnie czy wierzą w Boga, czy nie, powinni publicznie demaskować zabobony, które dotyczą zakresu ich profesjonalnych kompetencji: także zabobon, iż „fizyka już dawno odrzuciła bajeczki o Bogu”.

Proszę mnie krytykować za to, co napisałem, nie za to, czego nie napisałem. Napisałem, iż nie ma żadnych dowodów na nieistnienie Boga, a rozpowszechniony pogląd „fizyka już dawno odrzuciła bajeczki o Bogu” jest fałszywą bzdurą. Napisałem ponadto, że fizycy coraz częściej mówią o transcencji, czyli o wyraźnie dostrzeganej możliwości, iż pewne aspekty rzeczywistości są duchowe, niematerialne. Tym samym współczesna fizyka jest bliżej Boga niż była w wieku XIX. Nie napisałem natomiast, że znam dowody na istnienie Boga. Nie! Nie znam takich dowodów, bo (jak przecież napisałem) takich dowodów nie ma.

Odniosę się do tych zarzutów pod adresem mego artykułu, które w sposób oczywisty wynikają z niepełnej wiedzy lub z ideologicznych uprzedzeń. Zacznę od przypomnienia, że antropocentryczność wszechświata nie jest „hipotetyczną spekulacją”, ale faktem stwierdzonym na podstawie

dokładnych obserwacji, nie tylko astronomicznych. Prawa i stałe fizyki są antropicznie wyregulowane: gdyby były inne, gatunek *Homo sapiens* nie mógłby powstać. Tego nie sposób negować. Na przykład gdyby wartość stosunku siły elektrostatycznej do grawitacyjnej była nieco większa, niż jest, we wnętrzach gwiazd nie mógłby powstać węgiel niezbędny do ziemskiego życia. Każda ewolucja podobna do darwinowskiej, to znaczy oparta na przypadkowych mutacjach genów, potrzebuje odpowiedniego czasu: na Ziemi to były ponad 4 miliardy lat. Złożone organizmy wymagają także skomplikowanej chemii. Pierwiastki chemiczne powstają podczas ewolucji gwiazd. Tempo ewolucji gwiazd (a także galaktyk) musi być dokładnie skorelowane z wymaganymi przez darwinowską ewolucję skalami czasowymi – choćby dlatego, że jasność macierzystej gwiazdy nie może wtedy ulegać wielkim wahaniom.

Niektórzy błędnie sądzą, że ponieważ w każdym wszechświecie, wyregulowanym lub nie, istnieją „miliardy miliardów” planet, więc na niektórych rozwinie się życie, bo „życie się zawsze przystosowuje do warunków otoczenia”. Nie! We wszechświecie antropicznie niewyregulowanym złożone życie nie powstanie na żadnej z tych miliardów planet – nawet jeśli w ogóle powstaną tam jakieś planety. Na tym polega problem: w żadnym niewyregulowanym wszechświecie „bezduszną” ewolucja nie wytworzy organizmów, których struktury będą dostatecznie złożone, aby mogły doprowadzić do powstania inteligencji podobnej do naszej.

Oczywiście, jak zauważył Brandon Carter, inteligentne organizmy mogą istnieć tylko w wyregulowanych wszechświatach, więc nigdy nie mogą stwierdzić niewyregulowania, bo w niewyregulowanych wszechświatach ich po prostu nie ma. Ta oczywistość nie tłumaczy jednak ani trochę przyczyny wyregulowania naszego Wszechświata. Dlaczego prawa fizyki nim rządzące są takie, jakie są, i dlaczego wartości stałych fizyki są takie, jakie są – a więc dokładnie takie, jak trzeba, by mógł powstać gatunek *Homo sapiens*? Pytanie o to nie jest przejawem antropocentryzmu, to pytanie dotyczące rzetelnego rozumienia natury wszechświata.

Co najmniej kilku kompetentnych fizyków próbuje osłabić fundamentalne dla nauki znaczenie faktu antropicznego wyregulowania praw i stałych fizyki. To mnie nie dziwi, gdyż pamiętam, że nawet jeszcze pod koniec XX wieku kilku bardzo dobrych, lecz ideologicznie motywowanych fizyków próbowało bagatelizować obserwacyjne dowody na Wielki Wybuch, uparcie optując za teorią Stanu Stacjonarnego. Prawdziwość tej teorii wykluczałaby bowiem możliwość aktu Bożej kreacji: zgodnie z teorią Stanu Stacjonarnego Wszechświat nie ma ani początku, ani końca w czasie. Dziś wszyscy fizycy akceptują realność Wielkiego Wybuchu, która bezsprzecznie dowodzi, że wbrew temu, co twierdzili przez tysiące lat materialiści, nasz wszechświat nie jest wieczny, gdyż niewątpliwie miał początek.

W tym kontekście zupełnie nie potrafię pojąć, skąd się bierze upór rzeczywistość, z jaką powraca fałszywa mantra, jakoby postęp wiedzy zawsze zmniejszał obszar zjawisk, w którym dopatrywać się moż-

Odrzucenie z góry jednej tylko z dwóch uprawnionych logicznie hipotez (Bóg istnieje, Bóg nie istnieje) przeczy oświeceniowej metodzie uprawiania nauki

Autorzy Starego Testamentu nie byli prymitywnymi pasterzami kóz. Rozumieli świat równie subtelnie i głęboko (choć inaczej), jak Grecy. Wiele z zasadniczych myśli starotestamentowej mądrości i dziś zachowało aktualność – podobnie jak myśli Pitagorasa, Platona i Arystotelesa

Odkrycie Wielkiego Wybuchu, antropicznego wyregulowania oraz możliwej roli świadomości w kwantowych pomiarach, sugerują splątanie fizyki z metafizyką

na Bożego działania. Tak rzeczywiście było jeszcze przed Grekami, gdy wiedza przyrodnicza dopiero powstawała. Ale tak na pewno nie jest dzisiaj, w XXI wieku. Chyba bowiem nie twierdzicie na serio, Andrzej, Jurku i Ludwiku, że jedno z największych odkryć w dziejach, mianowicie, iż nasz Wszechświat nie istniał wiecznie, ale powstał w Wielkim Wybuchu 13,8 miliardów lat temu, oznacza tryumf materializmu i wykluczenie możliwej roli Boga jako stwórcy Wszechświata? Chyba nie jest to przykład, jak postęp wiedzy zmniejsza możliwy obszar Bożego działania.

Inne fundamentalne osiągnięcia współczesnej fizyki także poważnie zwiększyły, a nie jak twierdzicie zmniejszyły, obszar przyrodniczej wiedzy, w którym trzeba się zastanawiać nad transcendencją jako istotnym, a w każdym razie całkiem możliwym, elementem rzeczywistości. Na przykład wyniki badań nad kwantowym splątaniem każą najwybitniejszym ekspertom, takim jak Anton Zeilinger, noblista z roku 2022, snuć rozważania nad rolą świadomości oraz wolnej woli obserwatora w kształtowaniu wyników po-

miarów, a nawet w wydobywaniu realności aktualnej z potencjalnej. Pogląd, iż postęp nauki zawsze zmniejszał obszar zjawisk, w którym można się było dopatrywać Bożego działania, jest fałszywy.

Dlatego wielu najwybitniejszych uczonych głosiło (i głosi) pogląd dokładnie przeciwny. Dobrze znana jest, na przykład, maksyma (przypisywana Ludwikowi Pasteurowi), która istotę sprawy tak podsumowuje: „Trochę wiedzy oddala od Boga, dużo wiedzy sprowadza do Niego z powrotem”.

W licznych komentarzach powracał zarzut, że w europejskim kręgu kulturowym wiara w Boga oparta jest na Biblii, której autorami byli przecież „niewykształceni bliskowschodni pasterze” dysponujący bardzo ograniczoną, wręcz prymitywną, wiedzą o świecie. Odpowiem pośrednio, cytując fragment Księgi Mądrości napisanej przez wszechstronnie wykształconego Hebrajczyka, dwa wieki przed narodzeniem Jezusa. Napisanej po grecku, czyli w języku ówczesnych elit, w multikulturalnie wyrafinowanej Aleksandrii:

Glupi z natury są wszyscy ludzie, którzy nie poznali Boga: z dóbr działanych nie zdołali poznać Tego, który jest. Patrząc na dzieła, nie poznali Twórcy, lecz ogień, wiatr, powietrze chyż, gwiazdy dokoła, wodę burzliwą lub światła niebieskie uznali za bóstwa, które rządzą światem. Jeśli urzeczeni ich pięknem wzięli je za bóstwa, winni byli poznać, o ile wspanialszy jest ich Władca – stworzył je bowiem Twórca piękności; a jeśli ich moc i działanie wprawiły ich w podziw – winni byli z nich poznać, o ile jest potężniejszy Ten, kto je uczynił. Bo z wielkości i piękna stworzeń poznaje się przez podobieństwo ich Stwórcę. Ci jednak na mniejszą zasługują nagane, bo wprowadzie błędą, ale Boga szukają i pragną Go znaleźć. Obracają się wśród Jego dzieł, badają, i ulegają pozorom, bo piękne to, na co patrzą. Ale i oni nie są bez winy: jeśli się bowiem zdobyli na tyle wiedzy, by móc ogarnąć wszechświat – jakże nie mogli rychlej znaleźć jego Pana? [Mdr 13, 1-9].

Niektórzy twierdzą, że ta myśl przedstawia na pewno fałszywy obraz rzeczywistego świata, ale nie potrafią podać dowodów na to kategoryczne „na pewno”. Sądzę, że jeśli mieliby choć odrobinę odwagi, by nie ulegać środowiskowym wymogom politycznej poprawności lub nieco herbertowskiego poczucia smaku, nigdy by nie głosili, że ta myśl, powtarzana od ponad dwóch tysięcy lat, dziś jest już zupełnie niewarta głębokiej refleksji.

Nie, autorzy Starego Testamentu nie byli prymitywnymi pasterzami kóz. Rozumieli świat równie subtelnie i głęboko (choć inaczej) jak Grecy. Wiele z zasadniczych myśli starotestamentowej mądrości zachowało aktualność – podobnie jak myśli Pitagorasa, Platona i Arystotelesa. W szczególności, w kontekście mojego artykułu istotny jest domysł Platona, współcześnie zwykle rozważany w sformułowaniu Karla Poppera, że w swej najgłębszej istocie rzeczywistość jest splotem trzech światów: świata materii, świata umysłu oraz „platońskiego”, niematerialnego świata idei. Świat platoński zawiera, wśród idei takich jak piękno, godność, sprawiedliwość, niezmiennie idee praw matema-

tycznych oraz archetypy idealnych praw fizyki. Odkrywamy te idee, ale ich nie tworzymy: twierdzenie Pitagorasa i równania Einsteina istnieją w platońskim świecie wiecznie, niezależnie od naszych działań. O tej platońskiej idealności praw fizyki opowiada choćby Krzysztof Meissner, ostatnio w „Tygodniku Powszechnym”.

Trzy światy są autonomiczne, ale się wzajemnie implikują. To dlatego należąca do idealnego świata matematyka jest tak „niepójcie skuteczna” w opisie świata fizycznego, a nasz umysł potrafi do praw matematycznych dotrzeć bez pośrednictwa świata obiektów fizycznych. Od opisu myśli o trzech światach noblista z fizyki Roger Penrose rozpoczął swą „Drogę do rzeczywistości” będącą wyczerpującym przewodnikiem po prawach rządzących Wszechświatem. To jedna z najważniejszych książek napisanych w naszych czasach.

Z Ireną Cieślińską zorganizowałem w 2015 r. w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie pogłębione studiowanie książki Penrose’a: trwający siedem tygodni cykl czternastu wykładów, po których następowały długie publiczne dyskusje. Ostatniego dnia wykładali wspólnie Maria Dzielska, światowej sławy ekspertka dziejów późnego antyku oraz sam sir Roger Penrose. Ona mówiła o hierarchiach anielskich w opisie Pseudo-Dionizego Areopagity, on o swym modelu cyklicznego wszechświata.

Rzetelni fizycy powinni się zajmować wszystkim, co dotyczy fizycznej natury Wszechświata we wszystkich jej aspektach. Wszystkich, bez jakichkolwiek ograniczeń ideologicznej cenzury - a więc także transcendencją widoczną w możliwych splątaniach fizyki z metafizyką - bo przecież niemała liczba fizyków uważa, iż dokonane w XX i XXI wieku odkrycia Wielkiego Wybuchu, antropicznego wyregulowania oraz możliwej roli świadomości w kwantowych pomiarach, takie splątania wyraźnie sugerują.

Dlatego rzetelni fizycy nie powinni się lękać przekraczania mostów między fizyką a metafizyką, choćby nawet wielu ich profesjonalnych kolegów twierdziło, opierając się na swym subiektywnie wybranym ateistycznym światopoglądzie, że mosty są zbyt kruche i zbyt odległe. Rzetelni fizycy nigdy nie powinni godzić się na ideologicznie motywowane ograniczanie wolności w głoszeniu swych rzeczowych poglądów dotyczących fizyki, a zwłaszcza nigdy, przenigdy, nie ulegać terrorowi politycznej poprawności. ●



***Prof. Marek Abramowicz**

• Wydział fizyki Uniwersytetu w Göteborgu; Centrum Astronomiczne im. M. Kopernika PAN w Warszawie, Uniwersytet Śląski w Opawie.

Jak się żyje w ukraińskiej niewoli

Ty kaciapię!

NIE OBRAŻAM SIĘ

ZDJĘCIA POCHODZĄ
Z FOTOREPORTAŻU ROSYJSKIEGO
WOLNEGO PORTALU „MEDUZA”.
FOTOGRAFOWAŁ
MYCHAJŁO PALINCZAK



Mam roczną córkę. Co miałbym jej powiedzieć po latach? Że napadłem na sąsiedni kraj, że zabijałem ludzi? No to się poddałem



WIKTORIA BIELIASZYN

„Jeden: odepnij magazynek i zawieś broń na lewym ramieniu z opuszczoną lufą. Dwa: podnieś ręce, pokaż, że są puste. Trzy: unieś białą tkaninę. Cztery: jak najgłośniejszy krzyk: >>poddaję się<<. Pięć: podchodź powoli, stosując się do poleceń. Sześć: wypełniaj rozkazy Ukraińców”. To jedna z podstawowych instrukcji dla rosyjskich żołnierzy na froncie, którzy nie chcą walczyć.

Ilu jeńców jest w Ukrainie? Dokładnej odpowiedzi nie zna nikt, łącznie z rosyjskimi i ukraińskimi władzami. Informator niezależnej „Nowej Gazety” mówi o kilku tysiącach. Do niewoli brani są nie tylko zawodowi żołnierze, ale także mężczyźni z mobilizacji, funkcjonariusze Gwardii Narodowej i FSB, bojówkarze czy milicjanci separatystycznych republik, najemnicy Grupy Wagnera oraz kadyrowcy. „Ukraińskim dowódcom nakazano traktować jeńców tak humanitarnie, jak to tylko możliwe. To działa. Rosjanie coraz częściej szukają sposobów, by się poddać, będąc jeszcze na terytorium Rosji”, usłyszeli dziennikarze „Nowej”.

Plan, jak krok po kroku i maksymalnie bezpiecznie trafić do ukraińskiej niewoli, znajdują w internecie. Rozpowszechniają go nie tylko ukraińskie władze i rosyjscy aktywiści, ale nawet niektóre ukraińskie biura podróży. Poddać się można pojedynczo lub w grupie, ze sprzętem albo bez, a każdy z wariantów nieznacznie się różni.



Ale nie wystrzelili. „Krzyczeli, ubliżali, wyzywali od okupantów i kacapów. Nie dziwię się. Przeprosiłem ich, że przyszedłem na ich ziemię. Powiedziałem, że na ulotce była informacja o możliwości wstąpienia do Wolnej Rosji i że chcę to zrobić, by walczyć przeciwko Putinowi”. Osadzili go w obozie, przez miesiąc przesłuchiwali i weryfikowali. „Długo mi nie ufali. Z czasem, mam wrażenie, przekonali się, że mam dobre intencje”.

•

Większość Rosjan rozważa niewolę nie po to, by walczyć z Putinem, ale by uniknąć walki. „Dzień dobry. Jak mam się poddać? Czy mogę trafić do niewoli od razu, w ogóle nie walcząc? Czy jeńcom coś grozi z waszej strony? Czy później dla wszystkich jasne będzie, że nikogo nie zabijałem? Nie chcę tego robić, nie chcę z tym wszystkim mieć nic wspólnego”.

• „Dzień dobry. Jak mam się poddać? Czy mogę trafić do niewoli od razu, w ogóle nie walcząc?”



To fragment jednej z tysięcy rozmów, które od września przeprowadzili wolontariusze ukraińskiego rządowego projektu „Chcę żyć”.

Twierdzą, że każdego dnia odbierają około 70-100 telefonów od obywateli Federacji Rosyjskiej, którzy albo już zostali zmobilizowani, albo się tego spodziewają. W odpowiedzi Rosjanie słyszą, że ich bezpieczeństwo gwarantuje konwencja genewska, zgodnie z którą „powinni być trzymeni we właściwych warunkach, sądzeni zgodnie z prawem, otrzymywać opiekę medyczną oraz mieć prawo do wolności wyznania”.

Pracownicy „Chcę żyć” przyjmują najpierw za pośrednictwem chat bota wniosek – deklarację, że dana osoba nie chce walczyć przeciwko Ukrainie, a następnie osobiście omawiają przebieg poddania się. Jak to się odbywa? „Każdy przypadek jest indywidualny; ze względów bezpieczeństwa nie mogę ujawnić szczegółów. Zagrożeni są i Rosjanie, którzy się poddają, i nasi ludzie uczestniczący w operacji wyprowadzania ich z linii frontu” – tłumaczy Ukrainiec.



• „Pojechałem na wojnę pod wpływem uczuć patriotycznych, żeby walczyć z nazizmem. Raczej mi się to nie udało, nie widziałem tutaj nazizmu. Mam nadzieję, że pomogłem jakoś ludziom Donbasu, bo odbiliśmy jedną z wiosek. Gdyby to nie było właściwe, chyba by nas tutaj nie przysłali, prawda?”

Rosjanie, którzy są już na froncie i nie mają dostępu do sieci, wszystkiego dowiedzieć się mogą z ulotek w tzw. propagandowych pociskach Sił Zbrojnych Ukrainy. „To jeden ze sposobów pracy z wrogiem na obszarze, w którym nie ma internetu. Nasi obrońcy przekazują w ten sposób pozdrowienia rosyjskim okupantom i dają ostatnią szansę” – wyjaśniała wiceministra obrony Anna Maliar.

O tych ulotkach opowiada mi dezter, który dzisiaj służy w walczącym po stronie Ukrainy legionie Wolna Rosja. „Po jednym z kolejnych ostrzałów cały obóz był nimi zasypany”. Mężczyzna, jak wielu innych wojskowych w pierwszych dniach inwazji, nie był świadomy planów rosyjskich władz. „O tym, że przekroczyliśmy granicę z Ukrainą, dowiedziałem się dzięki roamingowi. Przyszły SMS-y o treści: >>Witamy w Ukrainie<<. Poczulem, że dzieje się coś złego, w czym na pewno nie chcę maczać palców” – twierdzi 26-letni Rosjanin, pseudonim „Arnold”. Poddął się na polu walki, przy jednej z pierwszych okazji. „Nie chciałem uczestniczyć w zbrodni: czej wojnie. Mam roczną córkę. Co miałbym jej powiedzieć po latach? Że napadłem na sąsiedni kraj, że zabijałem ludzi, którzy go bronili?”, mówi. Dlatego podczas jednego z ostrzałów, zamiast ukryć się lub zając pozycję, odrzucił broń. „Szedłem w ich kierunku bardzo wolno z wysoko podniesionymi rękoma, prosząc, by nie strzelali. Przed oczami miałem mgłę. Mogą mnie zastrzelić i ‘nasi’, i oni. Ukraińcy cały czas trzymali mnie na muszce”.



• „Dużo nieprawdy mówią nam w rosyjskiej telewizji. Ta wojna jest niepotrzebna. Nie ma tu żadnego faszystwu i nazizmu”



Nie chciałem jechać na wojnę, ale powiedziano mi, że trafię do więzienia. Mówili, że ci, którzy odmówią, będą siedzieć pięć lat. Dzisiaj myślę, że lepiej już siedzieć, niż walczyć w tej wojnie



„Od połowy września do grudnia liczba wniosków przekroczyła 4,5 tysiąca. Naszą stronę wyświetlono 1,2 mln razy, przy czym 70 proc. wejść było z terytorium Rosji, mimo że wymaga to zainstalowania VPN” – opowiadają. „Dzwonią młodzi i starzy, z miast i wsi. Tacy, którzy od początku sprzeciwiają się wojnie, i tacy, którzy po prostu chcą przeżyć. Większość nie ma jak wyjechać z kraju. Czują, że znaleźli się w potrzasku. Mogą albo ukrywać się w Rosji, albo przygotować do poddania się, jeśli zostaną zmobilizowani”, opowiadał mi jesienią Witalij Matwijenko, jeden z przedstawicieli projektu.

Dzisiaj, po kilku miesiącach pracy, wiadomo już, że dobrowolnie najczęściej poddają się Rosjanie w wieku 25-40 lat, mający rodzinę, zawód, stosunkowo stabilną sytuację materialną i plany na przyszłość. „Niektórzy dzwonią i płaczą. Mówią, że nie chcą walczyć, są przeciwko wojnie, ale nie ma wolności. Trzeba robić, co każe reżim”.

Zgodnie z nowymi przepisami Rosjaninowi za „dobrowolne poddanie się” oficjalnie grozi do dziesięciu lat więzienia, a nieoficjalnie – choć Jewgienij Prigożyn, założyciel Grupy Wagnera, nie ma oporów, by o tym mówić – kara śmierci. Brutalne egzekucje spotykają przede wszystkim zwerbowanych więźniów, którzy usiłowali się poddać albo którym się udało i zostali odesłani do Rosji. Redakcja BBC przypomina przypadek Jewgienija Nużyna, więźnia z Grupy Wagnera. Najemnik po dobrowolnym poddaniu się i serii wywiadów, w których deklarował chęć walki po stronie Ukrainy, mimo obietnic najwyższych przedstawicieli ukraińskich władz został wydany Rosji. Do sieci trafiło nagranie, na którym najemnicy zabijają go młotem kowalskim jako „zdrajcę narodu”.

Zdaniem obrończyni praw człowieka Olgi Romanowej egzekucje wagnerowców, którzy są podejrzewani o chęć poddania się, są czymś powszechnym. Wielu stosuje się więc do określonych przez Prigożyna zasad. Najważniejsza głosi: „Nie poddawaj się wrogowi, nie daj się wziąć żywym w niewolę, zabierz ze sobą na tamten świat tyłu, ilu zdołasz”. Z kolei wśród żołnierzy regularnej armii krążą mające zniechęcić do poddawania się plotki, np. o praktykach kastracji jeńców przez Ukraińców.

Nie brakuje też jeńców, którzy początkowo zamierzali wypełniać rozkazy lub walczyć z faszyzmem, ale w trakcie działań wojennych „przejrzeli na oczy” lub „rozczarowali się rosyjską armią” i poddali się – oraz jeńców tak po prostu, pojmanych w boju. Doradca szefa Lwowskiej Obwodowej Administracji Wojskowej Lubomir Ferens zwraca uwagę, że Rosjanie wzięci do niewoli przechodzą kilka etapów strachu. Najpierw boją się „ukraińskich nazistów i faszystów”, o których mówiła im kremlowska propaganda, później „amerykańskich najemników”, rzekomo walczących w Ukrainie, a następnie... powrotu do Rosji. „Większość żołnierzy zawodowych mówi, że nie wrócą na wojnę i mogą mieć przez to problemy. Opowiadają, że ci, którzy byli w niewoli, są uważani w kraju za niewiarygodnych, więc martwią się, co z nimi zrobi FSB”.

Jednym z takich żołnierzy był 23-letni Andriej, bohater reportażu niezależnej redakcji „Current Time”, który do niewoli dostał się tak, jak to zwykle bywa: w boju. Ukraińcy wręcz podkreślają, że tacy jeńcy traktowani są inaczej niż ci, którzy od początku deklarowali chęć poddania się i sprzeciw wobec wojny. „Ci wzięci w boju nie mogą mieć dodatkowych uprawnień. Nie ujawniamy jakich, ale ich sytuacja jest inna. Owszem, są w cieple, mają zapewnione jedzenie i opiekę medyczną, ale to inna historia”, tłumaczy Matwijenko.

Oddział Andrieja został rozgromiony w obwodzie czernihowskim. Ciężko rannemu życie uratował ukraiński żołnierz. „Chcesz żyć? To pelzaj”. Chłopak stracił przytomność. Ocknął się w szpitalu. „Obudziłem się z bólem w ja-

• „Nie zasta-
nawiałem
się, czy to, co
robimy, jest
słuszne. Nie
interesowałem
się nigdy po-
lityką, jestem
maksymalnie
apolityczny.
Wiedziałem
o 2014 roku
i Donbasie,
ale nie docie-
kałem, o co
chodzi”

• „W telewizji mówili nam, że Ukraińcy żyją biedniej od nas. Nieprawda, wielu żyje tak samo albo i lepiej. Klapki opadły mi z oczu”

kiejś piwnicy. Balem się, zacząłem krzyczeć, żeby nie odcinali mi nogi. W ciemności zobaczyłem dwie pielęgniarki. Powiedziały, że zmieniają opatrunek” – opowiadał, wciąż nieco zaskoczony, że personel medyczny odnosił się do niego bardzo poprawnie i uprzejmie.

Po kilkunastu dniach znalazł się w areszcie. A tam – na co w relacjach dziennikarzy niezależnej Meduzy zwracają uwagę też inni jeńcy, którzy wrócili do Rosji w ramach wymiany – „nie było tak słodko”.

„W Kijowie są trzy tymczasowe areszty dla jeńców. Najgorzej jest w tym, który nazywają ‘Siłownią’, bo tam biją. A najlepiej w ‘Kijowskim’, pokazowym, do którego prowadzą dziennikarzy, działaczy Czerwonego Krzyża”, opowiadał Andriej. „W ‘Siłowni’ jeńcy leżeli na podłodze z zawiązanymi oczami, a przed przesłuchaniami byli bici. I tam karmili najgorzej, kilka łyżek kaszy dziennie i tyle”, relacjonował. Inna rzecz, że po powrocie do Rosji – a reporterzy podkreślają, że nie są w stanie ani potwierdzić, ani zdementować jego opowieści.

•

O torturach Ukraińców w rosyjskiej niewoli mówi się dużo, o złym traktowaniu Rosjan w Ukrainie – niewiele. Po pierwsze, zauważają dziennikarze Meduzy, naturalne jest, że empatię i współczucie okazujemy ofiarom, nie agresorom. Po drugie, jak podkreśla niezależna rosyjska adwokatka Nina Boer, gromadząca dowody zbrodni popełnianych przez obie strony, rosyjskie władze, w przeciwieństwie do ukraińskich, nie starają się wywiązywać z umów międzynarodowych.

To nie znaczy, że rosyjscy jeńcy nie doświadczają tortur. „Nowaja Gazieta” opisywała, że wiosną, po ujawnieniu informacji o tragedii w Buczy, przez areszty przeszła fala agresji i przemocy. Kilku jeńców zginęło, kilkudziesięciu zostało skatowanych. „Gwałtowny wzrost naruszeń ukraińskich i międzynarodowych praw chroniących prawa jeńców nastąpił po publika-

cjach o Buczy, Irpiniu, Hostomlu i innych miastach” – przekazał anonimowy przedstawiciel ukraińskiego ministerstwa obrony. Urzędnik nie wykluczał, że głośnie wówczas doniesienia o zbrodni, jakiej wobec grupy Buriatów mieli dopuścić się ukraińscy dowódcy – ponoć czterech wykastrowano – mogą okazać się prawdziwe. „Przemoc wobec jeńców jest niedopuszczalna. W takich przypadkach wszczynamy dochodzenie” – zapewnia Jegor Czerniew, poseł i szef stałej delegacji Ukrainy do Zgromadzenia Parlamentarne-go NATO.

15 listopada Biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Praw Człowieka opublikowało raport o warunkach przetrzymywania jeńców obu stron. Eksperci specjalnej misji obserwacyjnej przeprowadzali poufne wywiady z jeńcami wojennymi, ich rodzinami i świadkami. Z raportu wynika, że jedni i drudzy byli torturowani. Jednak w rosyjskiej niewoli tortury są systemowe, w Ukrainie wykrywa się indywidualne przypadki. Eksperci ONZ udokumentowali m.in. rażenia paralizatorem. Zwracają przy tym uwagę, że władze Ukrainy wszczęły postępowania karne w związku z wykrytymi przypadkami tortur, a Rosja nie dopuściła misji ONZ do ukraińskich jeńców. I nic nie wiadomo o jakichkolwiek sprawach karnych wszczętych w Rosji.

Dziennikarze mogą odwiedzać obóz jeniecki na zachodniej Ukrainie. Z medialnych relacji – np. Meduzy – wynika, że przypomina wzorcową kolonię karną: trzy posiłki dziennie, możliwość pójścia do więziennej cerkwi, opieka medyczna, świetlica, zakład pracy. Ci jeńcy, którzy zgodzili się porozmawiać z reporterami, przed pojmaniem mieli najczęściej niską lub żadną zdolność do refleksji. Na pytania dziennikarki Radia Swoboda Rosjanie najczęściej odpowiadali: „Nie interesowałem się polityką”, „wykonywałem rozkazy”, „nie myślałem”, „nie chciałem zabijać”, „jestem przeciwny wojnie, ale nie chciałem trafić do więzienia”, „wierzę, że pomagam ludziom”. Nierzadko te same osoby



• „Wypełniałem rozkazy. W armii najpierw się wypełnia rozkazy, a dopiero później zastanawia, tego nas uczą”

Putina listy otwarte, podpisywane przez setki sygnatariuszy żądających pomocy w odnalezieniu ich bliskich w najlepszym razie są ignorowane, w najgorszym – służą za powód do rozpoczęcia prześladowań.

Żołnierze zabici lub wzięci do niewoli najczęściej traktowani są jako „osoby zaginione”. Krewni dowiadują się o ich losach nie od rosyjskich władz, ale z ukraińskich kanałów informacyjnych lub od kolegów swoich synów, ojców, mężów z armii. Ministerstwo obrony, jednostki wojskowe oraz biura poborowe nabierają wody w usta.

Komitet matek żołnierzy podaje, że władze preferują lakoniczną formułkę „zaginął bez śladu”. Nie dlatego, żeby uniknąć przykrych sytuacji albo nie odbierać nadziei. Po prostu to pozwala nie wypłacać rodzinom obiecanych odszkodowań. Z kolei ci, którzy dostaną informację „poległ”, ale bez zobaczenia ciała nie są w stanie uwierzyć, że ich bliski rzeczywiście zginął, albo żądają ekshumacji i badań genetycznych, słyszą: „Bierzcie pieniądze, póki dają, nie znęcajcie się nad trupem”.

„Jeśli matki nie będą walczyć o swoich synów, całe społeczeństwo można uznać za stracone”. Takie i podobne słowa słyszałam w ostatnich miesiącach wielokrotnie, zarówno z ust Polaków, jak i ukraińskich działaczy w reakcji na ogłoszoną we wrześniu tzw. częściową mobilizację. Innych słów, nie mniej krytycznych, a bardziej dosadnych, używali rosyjscy opozycjoniści, przyglądający się kobietom – „pokornie”, a może i „bezrefleksyjnie odprowadzającym synów na rzeź”.

Ale czy uwzględniają nie tylko stężenie kremlo-wskiej propagandy, ale skalę panujących represji? Czy biorą pod uwagę naturalną, jak podkreśla znany rosyjski socjolog Grigorij Judin, skłonność człowieka – każdego, nie tylko Rosjanina – do racjonalizacji w autokratyczno-totalitarnej rzeczywistości tego, co w innych warunkach absolutnie jej nie podlega?

Ci, którzy – jeszcze – nie skonfrontowali się z obojętną, bezduszną biurokracją, czerpią wiedzę o wojnie z państwowych mediów. A tam rodziny zarówno zawodowych żołnierzy, jak i świeżo zwerbowanych cywilów najpierw przeliczają, ile na wojnie zarobią ich bliscy, w razie ich śmierci po pogrzebie z honorami spokojnie i z wdzięcznością przyjmują odszkodowania. Propagandowe relacje pokazują, jak Rosjanie kupują za tzw. grobowe pieniądze samochody, by „uczcić pamięć o synu”, remontują domy, kupują elektronikę.

„To społeczeństwo jest całkowicie zdemoralizowane”, oburzają się w mediach społecznościowych polscy eksperci od lat zajmujący się Europą Wschodnią. Wielu zamieszcza na dowód fragmenty materiałów prokremlo-wskich mediów.

A Judin zadaje mi prowokacyjne pytanie: „Proszę wyobrazić sobie, że ma pani syna, który został zabrany na front i zginął. Z czym będzie pani łatwiej żyć? Ze świadomością, że dla spełnienia widzimisię Putina pojechał i zdechł jako okupant na terytorium obcego państwa czy że zginął jako bohater, broniąc swojej ojczyzny?”. Odpowiedź wydała mi się równie bolesna, co oczywista.

•

Irina Czystjakowa, mama zaginionego dwudziesto-letniego Kirilla, przez ponad pół roku odbijała się od wszelkich możliwych ścian. Urzędnicy najpierw reagowali śmiechem, później lekceważeniem, a na koniec groźbami. „Moje życie jest w niebezpieczeństwie, zagraża mi rosyjskie wojsko. Jeden pułkownik powiedział mi: >>wojskowi to szaleńcy, rozpoczęła pani wojnę z niewłaściwą strukturą<<. Powiedziałam mu, że to mój syn i strasznie mnie śmiercią jest głupie. Pułkownik odpowiedział, że nie strasz, tylko ostrzeża”, opowiadała w niezależnym kanale „Opo-wiedz Gordiejewej”.

Wtedy jeszcze Czystjakowa występowała nie tylko przeciwko wojnie, ile przeciwko udziałowi w niej nieprzygotowanych poborowych. „Jak mogą równać się dorosłymi specnazowcami, szkolonymi w Ameryce”, powtarzała w maju za kremlo-wską propagandą. Po siedmiu miesiącach poszukiwań, bezowocnych utarczek z urzędnikami oraz pokonaniu 25 tysięcy kilometrów jej poglądy zupełnie się zmieniły.

„Szukałam go wszędzie. Byłam w Donbasie, w Makiejewce, w Mariupolu. Każdy powinien to zobaczyć i zrozumieć, czym jest wojna. Nie dziwię się Ukraińcom. Gdyby do mnie przyszedł człowiek i próbował zabić mnie albo moją córkę, zabiłabym go bez drżenia rąk. Rozumiem Ukraińców. Jeśli mielibyśmy się bronić i ginąć, to na swojej ziemi. Nasi mężczyźni muszą być tutaj, bronić nas od biurokracji i od tych władz” – mówiła w grudniu. ●

Podpisy do zdjęć to wybrane głosy rosyjskich jeńców z rosyjskich i ukraińskich reportaży o obozach jenieckich.

FOT. ODED BALILTY/AP

Ben-Gewir jest bystry – okrzyk „śmierć Arabom” zamienił na „śmierć terrorystom”. By nie brzmieć w Knesecie jak fanatyk i szaleńiec

Paweł Smoleński

Nie tak dawno temu Itamar Ben-Gewir z Kiriat Arba pod Hebronem wyprowadził ze swojego gabinetu wiszące nad biurkiem zdjęcie Barucha Goldsteina, o którym opowiadano mi w osiedlach na Zachodnim Brzegu już po tym, co zrobił, że był wrażliwym człowiekiem, dobrym lekarzem, pomagał chorym Żydom i Arabom, zwłaszcza dzieciom. W 1994 r. Baruch Goldstein, odpowiednio przebrany, zastrzelił 29 Arabów modlących się w muzułmańskiej części hebronńskiej Groty Patriarchów, a ponad 120 ranił. Został zlinczowany na miejscu, a jego czyn potępiony przez całą ówczesną izraelską elitę.

Zważny – gdy doktor Baruch mordował bezbronnych, Ben-Gewir miał 18 lat. Nastolatki mają pstro w głowie. Być może czyn Goldsteina był najważniejszym znakiem jego nastoletniego życia, choć mówi, że porzucił świeckość i stał się radykałem podczas pierwszej palestyńskiej intifady, powstania kamieni, którego finał to porozumienia pokojowe w Oslo.

Jakby nie było, portret Goldsteina już nie wisi w gabinecie Itamara. Pozbył się fotografii, bo poszedł do polityki. Dzisiaj to szanowany w osiedlach lider partii Żydowska Siła Otzma Yehudit. Lubiany sąsiad, którym można się pochwalić, przykładowy ojciec pięciorga. Jest ministrem w najnowszym rządzie Beniamina Netanjahu.

W miejskim parku w Kiriat Arba Goldstein ma grób zasypyany kamkami, jak nakazuje judaizm. Goldstein był wyznawcą rabina Meira Kahane.

Kilka dni temu uczestniczyłem w rozmowie kilkorga izraelskich działaczy praw człowieka. Trwały już masowe demonstracje przeciwko planom nowego rządu (120 tys. tylko na ulicach Tel Awiwu to tak, jak w Warszawie protestowało pół miliona z hakiem), planowano następne. Aktywiści mieli miny stanowczo nietęgę, a powodem ich zmartwień był również Itamar Ben-Gewir. Nazywali go gubernatorem Zachodniego Brzegu, ze względu na ogromną władzę, choć w Izraelu nie ma takiego stanowiska.

Martwilo ich, że Izrael chce budować nowe osiedla (w najbliższych planach prawie 20 tys. mieszkań i domów) i legalizować wiele stanic. Mają powstać nowe drogi, które wbrew naturalnej funkcji drogi oddalają od Izraela arabskie miasta. Przerażała ich największa liczba zabitych Palestyńczyków od czasu drugiej intifady. Jeszcze premier Netanjahu



JAK PODPALAĆ ARABSKIE DOMY

nie zdążył rozdać wszystkich ministerialnych teczek, znane były tylko wyniki wyborów, a już zmienilo się zachowanie osadników i części funkcjonariuszy wobec Arabów, łatwiej sięgają po przemoc. Podobnie jak Palestyńczycy czują się przedstawiciele mniejszości: Arabów – obywateli Izraela, społeczności LGBTQ.

Usłyszałem, że Izraelem rządzi gabinet niezwykle, złożony z polityków najbardziej prawicowych i skrajnych, a po ludzku – najbardziej bezczelnych, kompletnie bezwstydnym i zepsutych. Oras że to, co jeszcze kilka miesięcy temu było w zasadzie nie do pomyślenia, dzisiaj jest nie tylko do pomyślenia, ale wkroczyło na polityczne salony.

W politycznej drodze Itamara Ben-Gewira – pyzata twarz, stosowny brzusek, na głowie biała kipa i wiecznie spocone czoło – ważnych jest kilka dat, kilka osób, a także miejsce, gdzie mieszka. Bowiem Kiriat Arba to osiedle szczególne, twarde – jak o takich miejscach mówi się w Erec Israel – a może nawet najtwardsze. Gdyby nie płoty, szlabany i zasieki, byłoby naturalną częścią rosnącego Hebronu, miasta świętego prawie tak jak Jerozolima, a to z racji na grobowiec Abrahama (Ibrahima), praojca trzech wielkich monoteistycznych religii oraz jego żony Sary i synów Jakuba i Izaaka.

Hebron – jak mówili mi kombataneci izraelskiej armii walczący z Palestyńczykami w drugiej intifadzie – to naznaczone przez wojnę i terror gniazdo szerszeni. Jest od 1994 r. pod formalną władzą Autonomii Palestyńskiej (osobne porozumienie hebronkie podpisał Bibi Netanjahu), lecz tak naprawdę rządzi nim radykałowie z rozmaitych, najczęściej islamistycznych bojówek. Na 3 proc. powierzchni mieszkają Żydzi.

Hebronkie stare miasto to kraina duchów, wyludnione niemal do cna, jeśli nie liczyć około tysiąca żydowskich osadników (na ponad 200 tys. Arabów w całym mieście). Ich osiedla to pojedyncze domy strzeżone przez ochroniarzy i wojsko. Stałe i ruchome punkty kontrolne, śmieci, kurz, pustka, dojmująca cisza, zabite okna, zetłale półruiny zamieszkałe przez garść Palestyńczyków (Arabów wysiedlono ze starego miasta krótko po masakrze Barucha Goldsteina, z obawy przed żydowskimi zamieszkanymi) otaczają kraty i stalowe klatki. Jak trzaśnie jakaś rura, uliczkami płynie woda lub ścieki. Miejski targ był kiedyś równie tłumny jak Mahane Jeduda lub Karmel w Jerozolimie i w Tel Awiwie, a teraz tylko hula po nim wiatr. Zdjęcie widniejące na murze: żydowska para zamordowana w terrorystycznym ataku. Witryny arabskich jatek zamurowane; ale za ślepyimi murami buzuje życie; tam wpychają się osadnicy.

Majestatyczna Grota Patriarchów, wspólna dla Arabów i Żydów, lecz wewnątrz rozdzielona kulooodporną przegrodą. Od strony arabskiej dostęp do Groty reguluje wojsko.

Na zdrowy rozum Hebron jest potrzebny Izraelowi jak ropiejący wrzód. Z emocjonalnego i religijnego punktu widzenia wielu Żydów bez Hebronu zwyczajnie nie ma Izraela.

Zaś Kiriat Arba to niejako wschodnie wrota Hebronu. Ponad 7 tys. mieszkańców, szeregowie domki, kilka ulic, magistrat, miejski park imienia Kahane, ubity piasek, poźółkła trawa, spore iglaki, tamaryszki. Doktor Goldstein miał tu coś na kształt pomnika – łuku triumfalnego zburzonego przez izraelską armię. Przy drodze wiodącej z osiedla do Hebronu (kwadrans spacerem) stoi nielegalna, namiotowa synagoga, przez 15 lat częściej niż raz do roku niszczone przez żołnierzy. Itamar Ben-Gewir bardzo lubi się w niej modlić.

Opowieści z Kiriat Arby są najczęściej pełne lez i pragnienia zemsty. Choćby ta (dalece niejedyna) o losie Natiego Ozeri, studenta Meira Kahane i zwolennika Barucha Goldsteina, ojca pięciorga. Mieszkał za płotem osiedla, w dolinie Baka. Nie uzbroid karawanu w osłony kulooodporne. Pewnego szabat usłyszał za drzwiami hebrajskie pytanie zadane z francuskim akcentem. Otworzył, dostał kulę. Zabójcą był palestyński 15-latek. Pogrzeb odbył się w Hebronie.

Policja nie dopuściła do uroczystości najbardziej krewkich i politycznie radykalnych przyjaciół Natiego, by nie skończyło się bijatyką z policją i z Arabami.

W 1990 r. egipski terrorysta, prowadzony przez Al Kaide, zastrzelił w Nowym Jorku rabina Meira Kahane; ta wojna ma naprawdę światowy kontekst. Itamar Ben-Gewir miał 14 lat, gdy zabito jego idola. Na Zachodnim Brzegu do polityki dorasta się bardzo szybko.

W Ameryce Kahane założył Żydowską Ligę Samoobrony (kilkanaście tysięcy członków) przeciwko antysemityzmowi i za żydowską emigracją z Sowietów do Erec Israel. Zresztą uważał, że wszyscy Żydzi winni jechać do domu, bo gdzie indziej, nawet w USA, czeka ich drugi Holocaust. Był radykalnym antykomunistą, ale przy okazji płatnym informatorem FBI donoszącym na antykomunistyczne organizacje. Wdał się w płomienny romans z nie-Żydówką, choć głosił, że związki, w tym erotyczne Żydów z nie-Żydami, winny być zakazane prawem i karane.

Przyjechał do Izraela w latach 70. Powołał partię Kach, później zdelegalizowaną za rasizm, wyzywanie do przemocy i terroryzmu. Postulował, by Arabów wyrzucić z Erec Israel i rozszerzyć granice żydowskiego państwa o kawał Libanu, Syrii, Synaju, a na wschodzie aż do rzeki Tygrys. W 1984 r. dostał

się do Knesetu. Zazwyczaj przemawiał do pustej sali; inni posłowie, również z prawicy, wychodzili w ramach protestu. Kach miała ok. 10 proc. poparcia.

Kahanego objął sądowy zakaz kandydowania do Knesetu z racji skrajnych poglądów. Lecz zawsze znalazł się co najmniej jeden poseł, który chwalił się inspiracją rabinem.

Meir Kahane: szpakowaty brodac, łagodna twarz jak u Osamy ben Ladena, był bardzo miły, bezpośredni i serdeczny w osobistych relacjach. Zostawił w spadku dwie organizacje: Kach i Kahane Chai. Departament Stanu wpisał je na listę organizacji terrorystycznych, podobnie jak Hamas, ISIS czy Islamski Dżihad. Obie są w Izraelu nielegalne. Właśnie w nich odszukał się nastoletni Itamar Ben-Gewir. Oceniono go jako zaangażowanego z serca „bardzo zdolnego dziecka”.

Do dziś Ben-Gewir uważa, że Kahane jest bożym człowiekiem, bohaterem i świętym. Lecz nie uważa się za następcę rabina. Jesli coś go łączy z rebe Meirem, to „wielka miłość”, jaką objął kierowała się w swoim dziele.

Gdy Meir Kahane uzyskał mandat w Knesecie, gdzieś w osiedlach, wówczas jeszcze nielicznych, tworzyła się organizacja „Żydowskie podziemie”, HaMakhteret HaYehudit, kilkadziesięciu radykałów przeciwnych rozmowom w Camp David i pokojowi z Egiptem oraz mglistym planom powstania palestyńskiej autonomii lub państwa. Mówili, że są najbardziej przemocową żydowską organizacją od początku państwa Izrael. Podpalali samochody burmistrzów arabskich miast, mordowali palestyńskich polityków. Zaatakowali islamską szkołę w Hebronie, zabijając trzech, a raniąc 30 studentów. Planowali wysadzić Kopulę na Skale, muzeum sanktuarium górujące nad krajobrazem Jerozolimy, by przygotować miejsce pod budowę Trzeciej Świątyni; nie ma ekspertów, którzy pokusiliby się o ocenę skutków regionalnych i międzynarodowych takiego zamachu. Złapano ich tuż przed podłożeniem uzbrojonej bomby pod autobus w Jerozolimie.

Członków HaMakhteret HaYehudit skazano na więzienie, w tym na dożywocie. Wyszli po kilku latach. Dla Izraela byli zbrodniarzami, dla radykałów – bohaterami. Trudno przypuszczać, by Itamar nie miał o nich swojego zdania.

W 1994 r. Ben-Gewir, ledwie osiemnastolatek, dał się sfotografować izraelskiej telewizji na demonstracji przeciwko porozumieniom z Oslo. Ścisną w dłoń ozdobę maski samochodu premiera Itzhaka Rabina i wrzeszczy: „dopadliśmy twój samochód, dopadniemy i ciebie”. Kilka tygodni później premier Rabin został zamordowany przez Igala Amira, radykała posłusznego naukom Meira Kahane. Amir odsiaduje dożywocie, doszłusował do pantonu radykałów.

Itamar studiuje prawo i znika z obiektywów do 1998 r. W polityce trwa rywalizacja Bibiego Netanjahu i generała Arika Szarona. Szaron – na tamte pieniądze – był radykalnym nacjonalistą, „Rzeźnikiem Bejrutu” z racji na masakry palestyńskich uchodźców w obo-

zach Sabra i Szatila dokonanych przez maronitów – libańskich chrześcijan – przy całkowitej obojętności izraelskiego wojska.

Bibi – ten sam, ale kompletnie inny niż dzisiaj – stał w wyborach na przegranej pozycji. Stracił wielu radykalnych wyborców, bo podpisał porozumienie dotyczące Hebronu. Zawarł ugodę w amerykańskim Wye River Plantation w sprawie zwrotu Palestyńczykom kolejnych fragmentów Zachodniego Brzegu. Zwolnił z więzień ponad 700 arabskich bojowników. Generał postanowił zadać mu sztych śmiertelny. Przemówił wprost do radykalnej młodzieży z osiedli: „Každy z was musi się ruszyć, biec przed siebie, by zabrać jak największe wzgórz, poszerzać nasze terytorium. Co uchwycicie, będzie w naszych rękach. Czego nie weźmiecie, będzie ich”. Młodzież posłuchała generała, choć minie kilka lat i obwoła Szarona zdrajcą oraz wcieleniem szatana za zwrot Palestyńczykom Strefy Gazy.

Nazywają się Noaw ha – Gwaot, Młodzieżą ze Wzniesień. Jest ich pewnie kilkuset, choć sympatyków liczą w tysiące, również między radykalnymi kibolami jerozolimskiego klubu piłkarskiego Beitar. Gdy się organizowali, byli wczesnymi dwudziestolatkami, choć wielu już żonatych i dzieciatych.

Mieszkają na Zachodnim Brzegu. W osiedlach, ale też w nielegalnych stanicach zwanych Mahaz, które od czasu do czasu likwiduje izraelska armia zgodnie z sądowymi wyrokami. Noszą długie włosy, długie pejsy i rzadkie brody, bo gęściejsze nie zdążyły wyrosnąć. Ubrani w podkoszulki lub kraciate koszule, szorty i ciężkie, zabłoczone buty stosowne do wędrówek po skalistych terenach Judei i Samarii. Na głowach kolorowe, dziergane kipy, przy boku broń. Są między nimi znakomici rolnicy; znaczna część organicznej żywności w Izraelu to produkty farm zarządzanych przez Noaw ha – Gwaot. Nie mają sztywnej struktury, za to moźnych protektorów. Jednym z liderów był przez lata Meir Etinger, wnuk rabina Kahane. Za swoją działalność siedział w więzieniu.

Bez wątpienia to fanatycy. Amos Oz i wielu znaczących izraelskich intelektualistów nazywali ich „żydowskimi neonazystami”. Inni porównywali Młodzież do wojowników Państwa Islamskiego, a to ze względu na umieszczane w sieci filmy: twarze zakryte palestyńskimi kufijami, w dłoniach długie noże, wrzaski: „Śmierć Arabom” i „Kahane miał rację”. Stoi za tym ideologia tag mechir, czyli „polityka zapłaty”.

Tag mechir to chamstwo, okrucieństwo, czysty szowinizm i rasizm. Ideologiczne przyzwolenie na bezpodstawne nękanie, wandalizm, terror wobec Arabów, chrześcijan, działaczy organizacji pokojowych, ale i wojska. W imię tag mechir można niszczyć samochody, zarzynać i kamienować zwierzęta, karczować i palić gaje oliwne, tratować pola, bezceścić meczety i kościoły, zabijać ludzi. Spod pióra Młodzieży wyszła internetowa instrukcja, jak podpalać arabskie domy: „miej pod ręką kokałtajl Molotowa, najlepiej półtora litra, zapalniczkę, rękawice, maskę, metalowy łom lub młot, no i torbę, byś mógł to wszystko spakować (...). Wejdz do wsi, znajdź dom z otwartymi oknami albo drzwiami; pamiętaj, że kraty mogą prze-

szkodzić. Podpal bombę i wrzuć. Dobrze jest nie zostawić nikomu z domowników drogi ucieczki. Podpalenie opon u wejścia do domu to znakomity pomysł, by nikt nie wy dostał się na zewnątrz”.

Dokładnie wedle tej instrukcji w miejscowości Duma spalono rodzinę Dawabsze. Zostawiono napisy „Zemsta”, „Niech żyje Mesjasz Król” i graffiti z koroną i gwiazdą Dawida. Zginął półtoraroczny Ali i jego rodzice Riham i Said. Uratowano starsze dziecko.

Sprawców złapano i wytoczono im proces. Bronił Itamar Ben-Gewir. Nic osobliwego, bo zawsze pojawiał się w sądach na tego rodzaju procesach; ma ich w karierze kilkadziesiąt.

Jakiś czas po procesie w sieci pojawił się film z pewnego wesela w Jerozolimie: goście przebijali nożami zdjęcie Alego Dawabsze. Trafili pod sąd. Kibicujący im osadnicy płci obojga, którzy zebrałi się pod sądem, śpiewali po arabsku: „Gdzie jest Ali? Nie ma Alego, Ali jest spalony. Ali jest w ogniu. Na ruszcie. Szkoda, że nie spaliliśmy Ahmeda, brata Alego”.

No i kto ujął się za tymi bydlakami? Ben-Gewir.

Itamar bronił Benziego Gopsteina z Kiriat Arby, współpracownika rebe Kahane, założyciela organizacji Lehawa, oskarżanej o rasizm. Lehawa sprzeciwia się wszystkiemu, co ma w sobie nieżydowski pierwiastek: mieszanym małżeństwom, wspólnym biznesom, zatrudnianiu Arabów, asymilacji Żydów, a finalnie – obecności nie-Żydów w Erec Israel. Gopstein był oskarżony o nakłanianie do przemocy. Ogłosił, że zgodę na podpalanie meczetów i kościołów wywiódł z nauk Maimonidesa.

Internet winien być gilotyną dla polityków za wypowiedane słowa, które kompromitują. Ale nie jest. Istnieje relacja występu Ben-Gewira z mityngu celebrującego 28 rocznicę śmierci Kahane. Itamar nazywa rabina „przywódcą Izraela” oraz stawia żądanie zniesienia delegalizacji partii Kach, bo „Kahane miał rację”. Mówił,

że różnica między nim a rabinem Meirem polega na tym, że kiedyś takim ludziom jak oni wyłączano mikrofony, a teraz on ma tyle mikrofonów, tyle narzędzi i sposobów dotarcia do ludzi, ile zechce. „Po tylu latach od delegalizacji okazało się, że to nic nie znaczyło, państwo nie osiągnęło swoich celów. Pies szczeka, karawana idzie dalej”.

A jednak delegalizacja Kach przydała się o tyle, że zabroniono startowania w wyborach dwóm prominentnym przedstawicielom ruchu i liderom powstałej na podglebiu kahanizmu partii Żydowska Siła, Otzma Yehudit: Baruchowi Marzelowi, doradcy i najbliższemu współpracownikowi rabina Meiera, wielokrotnie aresztowanemu mieszkańcowi osiedla Tel Rumeida w Hebronie oraz Michaelowi Ben Ariemu (nie otrzymał wizy wjazdowej do USA z powodu związków z terroryzmem), przywódcy Żydowskiej Siły przed Ben-Gewirem.

Itamar musiał się trochę powściągnąć w słowach, żeby nie zaliczyć dyskwalifikacji przed wyborami. Dostał się do Knesetu w 2021 r. i na samym początku wszczął awanturę na sali obrad z Ajmanem Odehem, arabskim, nacjonalistycznym posłem z Hajfy; nagranie wideo nie rozstrzyga, który z panów pierwszy użył fizycznej przemocy.

Do mediów wyciekł film z podziemi jednego z centrów handlowych w Jerozolimie. Ben-Gewir grozi bronią arabskim ochroniarzom za to, że poprosili go o przedstawienie źle zaparkowanego samochodu. Ochroniarze byli nieuzbrojeni.

Podczas tumultów w jerozolimskiej mieszanej dzielnicy Szejk Dżarah w maju '21 Itamar również pomagał sobie bronią. Na jego zwolennikach zrobiło to bardzo dobre wrażenie; jest twardy, stanowczy, będzie nas bronić. Zamieszki w Szejk Dżarrah sprowokowały rakiętowe ataki Hamasu na Izrael; interwencja armii w Strefie Gazy trwała 11 dni. Wielu politycznych konkurentów Ben-Gewira oskarżało szefa Otzma

Yehudit, że państwo żydowskie właśnie jemu zawdzięcza tę małą wojenkę, gdzie jednak ginęli ludzie. Itamar wzruszał ramionami.

Wobecnym Knesecie Otzma Yehudit ma 6 foteli; jest trzecią co do wielkości partią. Ben-Gewir dowodzi narodowym bezpieczeństwem w zamian za poparcie Bibiego Netanjahu, który zamierza drastycznie odgraniczyć niezależność sądów, w tym najwyższego (Bibi ma otwarte sprawy za korupcję). Itamar już zdążył odbyć prowokacyjny spacer po Wzgórzu Świątynnym, wściekł muzułmanów całego świata (podobny spacer Ariela Szarona był pretekstem drugiej intifady). Według niektórych rabinów Żydzi w ogóle nie powinni wchodzić na Wzgórze Świątynne, bo nie wiadomo dokładnie, gdzie w czasach Pierwszej i Drugiej Świątyni znajdowało się miejsce dostępne tylko dla kapłanów.

Ben-Gewir nie jest w Knesecie jedynym przedstawicielem skrajnej prawicy. Jego bardziej religijne wydanie Bezael Smotrich ma fotel ministra finansów i zawiaduje administracją Zachodniego Brzegu. Choć też nie powinno go być w polityce. Ogłosił, że może „być radykalnie prawicowy, homofobiczny, może być rasistą i faszystą, ale jego słowa są jego zobowiązaniem”. Dodał, że nie zamierza kamienować homoseksualistów, podobnie jak nikt nie namówi go do jedzenia niekoszernych krewetek, ale też, że jego poglądy raczej napędzają mu wyborców, niż odstręczają.

– Czy ktoś sądzi, że tradycyjny sefardyjski Żyd zajmuje sobie głowę gejami? – pytał nadzwyczaj pewien odpowiedzi. – Tym bardziej nie obchodzi go, że jestem przeciwko homoseksualistom.

Ben-Gewir jest bystrzejszy niż Kahane. Okrzyk „śmierć Arabom” zamienił na „śmierć terrorystom”. Nie może brzmieć jak fanatyk i człowiek dotknięty szaleństwem. Jest politykiem antysystemowym, ale w końcu działa w legalnych instytucjach.

Radzi sobie bez wsparcia kombatanłów od Meira Kahane. Wie, że może je mieć na skinienie palcem. Tymczasem oni nazywają go „dobrym chłopakiem”. Modlą się, by „Itamar pozostał dawnym Itamarem”.

Wśród wyborców ma radykalną młodzież, religijnych mesjanistów, świeckich i wierzących rasistów podobnych do zakapturzonych członków amerykańskiego Ku Klux Klanu (Itamar bywa porównywany do szefa KKK Davida Duke’a), biedniejszych Żydów orientalnych – Mizrachim. Uznaje dziedzictwo po Kahanem bardziej jako wezwanie do etnicznej wspólnoty niż konstrukcję opartą przede wszystkim na religii; od tego ma Bezalela Smotricha (ojciec Ben-Gewira nie nosił kipy, a przecieź – zapewnia Itamar – jest dobrym człowiekiem i szczerym Żydem). Wprawdzie Itamar mówi, że nie jest za wyrzuceniem Arabów, bo nie ma z nimi problemu, jednak ci skazani przez izraelskie sądy powinni po odsiedzeniu wyroku żyć gdzieś daleko od Izraela. Chyba że dostaną wyrok śmierci. Ben-Gewir postuluje przywrócenie kary głównej za terroryzm. Ostatnim straconym w Izraelu był Adolf Eichmann. Wyrok wykonano w 1962 r. ●

Nowy minister bezpieczeństwa wewnętrznego już zdążył odbyć prowokacyjny spacer po Wzgórzu Świątynnym, wściekł muzułmanów całego świata (podobny spacer Ariela Szarona był pretekstem drugiej intifady)

ZASŁUGUJEMY NA MIESZCZAŃSKI KRAJ

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL



***Włodzimierz Cimoszewicz** – premier (1996-97), minister sprawiedliwości (1993-95), minister spraw zagranicznych (2001-05), wicemarszałek i marszałek Sejmu (1995-96, 2005).

****Ryszard Schnepf** – dyplomata, ambasador w Urugwaju (1991-96), w Kostaryce (2001-2005, akredytowany też w innych krajach Ameryki Łacińskiej), w Hiszpanii (2008-12) i w USA (2012-16), sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (2005-06).

Kwestie polskiej praworządności, tolerancji, traktowania kobiet czy środowisk LGBTQ nie są w Stanach zapomniane

Z WŁODZIMIERZEM CIMOSZEWICZEM* I RYSZARDEM SCHNEPFEM**
W KLUBIE „WYBORCZEJ” ROZMAWIA
ROMAN IMIELSKI

Będziemy zastanawiać się, jak przywrócić Polskę do Europy. A tymczasem przedstawiciele władzy mówią, że nigdzie nie trzeba nas przywracać, wszyscy narzekają, że jesteśmy pariasami, a tu proszę, okazujemy się strategicznym partnerem Stanów Zjednoczonych, to nas się słucha w Europie, mówi się, że to my mieliśmy rację. WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ: Formalnie tak. Ale to nie jest zasługa rządu, tylko, niestety, Putina. Oraz położenia geograficznego. To nie PiS sprawił, że jesteśmy sąsiadem zaatakowanego kraju i dostawy muszą jechać przez nasze terytorium.

Tak naprawdę lata po 2015 r. to katastrofa międzynarodowa, począwszy od deklaracji ministra Waszczykowskiego, który w pierwszym exposé po powstaniu rządu PiS zaczął od stwierdzenia, że najważniejszym partnerem Polski od tej pory będzie Wielka Brytania. A referendum w sprawie brexitu miało być raptem kilka miesięcy później.

Po czym zaczęła się polityka nieustannych konfliktów niemalże ze wszystkimi, a zwłaszcza z bardzo ważnymi partnerami jak Niemcy czy Francuzi. Zerwanie kontraktu na Caracale...

...kosztowało nas 75 mln zł.

– Drobiazg w porównaniu z tym, co straciliśmy z niedoszłymi francuskimi inwestycjami w przemysł lotniczy i kosmiczny, którego w ogóle w Polsce nie mamy.

I to można ciągnąć. Pamiętamy problemy ze Stanami Zjednoczonymi – próba przejęcia TVN, mająca zamknąć usta historykom ustawa o IPN, wspieranie Trumpa, kiedy negował sens istnienia NATO. Plus jeszcze polityka ciągłego sporu z naszym najważniejszym środowiskiem międzynarodowym, czyli UE.

Ale relacje z innymi państwami łatwiej będzie naprawić niż samą dyplomację. Tam dokonała się totalna destrukcja. Gdybym dzisiaj miał znowu zostać ministrem spraw zagranicznych, nie miałbym poważniejszych problemów z wymyśleniem, co trzeba zrobić w relacjach międzynarodowych. Ale nie wiedziałbym, z kim to robić.

Mówimy nie tylko o czystkach wśród dyplomatów, ale też o zmianach prawa, które drastycznie obniżyły wymagania wobec kandydatów.

– Przeszło dwie dekady temu w ustawie o służbie zagranicznej wprowadziliśmy dosyć ambitnie zdefiniowane wymagania. Teraz obniżono je, żeby można było wprowadzać kolegów. Oczywiście w przeszłości też zdarzały się liczne zmiany personalne, ale w ogromnej większości ludzie powoływani do dyplomacji reprezentowali pewną klasę, pewien poziom zawodowy lub przychodzili ze środowiska akademickiego, dużo wiedzieli i można było się porozumieć.

Może nasze problemy wynikają nie tylko z celowej polityki PiS, ale też z tego, że nie mamy ludzi do jej realizacji?

– Wystarczą dwa przykłady. Ambasador w Pradze, który publicznie laje czeski rząd, oraz poprzedni ambasador w Berlinie, mąż pani Przylębskiej, który podpisywał się ciąglem sztorcowaniem władz niemieckich i tylko niezwykłej cierpliwości Niemców zawdzięczał to, że nie został wyrzucony.

RYSZARD SCHNEPF: Od lat 90. ścieżka awansu dyplomaty była określona, np. żeby zostać ambasadorem tytularnym, musiałem wcześniej być dwukrotnie ambasadorem, znać co najmniej dwa języki obce, potwier-

dzić to egzaminami i tak dalej. Nie był możliwy nagły awans trzeciego sekretarza.

To wszystko nie przeszkadza rządowi chwalić się, że jesteśmy strategicznym partnerem Waszyngtonu.

– Powtórzę to, co powiedział Włodzimierz Cimoszewicz. Ten sukces zawdzięczamy także geografii, tzn. miejscu, w którym się znajdujemy i które było przez wieki naszym przekleństwem, a teraz zamiast jednego ostrza nożyc mamy sojusznika, i to potężnego, bo nie tylko Niemcy, ale też całą Unię i strukturę NATO. A my po prostu wypełniamy pewne oczywiste zobowiązania.

Geografia jest tym ciekawsza, że na wschodniej flance NATO mamy kraje bałtyckie, które jako baza, nawet przerzutowa, są ważne, ale ryzykowne. Bo małe kraje mogą łatwo paść. A jednocześnie są Węgry, które długo odmawiały przepuszczania jakiegokolwiek pomocy Ukrainie przez swoje terytorium.

– Z punktu widzenia strategicznego drugim obok Polski najważniejszym krajem jest Rumunia i NATO zainwestowało bardzo wiele w jej wzmocnienie.

Rzecz w tym, że o ile kurs naszej polityki określa miejsce, w którym się znajdujemy, o tyle metoda jej realizacji jest błędna. W dyplomacji najpierw szuka się porozumienia, prezentuje argumenty, jeśli to nie zadziała, próbuje się przekonywać innych, budować koalicje i dopiero na końcu sięga po szantaż. U nas jest odwrotnie, najpierw próbuje się zdobyć coś bojem, jest awantura, a później obniża się własne oczekiwania. Tak było z migami – aferą na potrzeby wewnętrzne.

Domagaliśmy się, żeby to Amerykanie wysłali je Ukraincom. My damy migi Amerykanom, a oni niech je oficjalnie przekażą.

– Na co usłyszeliśmy, że Stany w ogóle nie rozważają przekazywania żadnych samolotów. A jeszcze jest ta historia z patriotami od Niemców, które chcieliśmy, nie chcieli-

śmy, znowu chcieliśmy... Polityka zagraniczna jest zorientowana na wyborców Zjednoczonej Prawicy. Mniej chodzi o osiągnięcie czegoś w relacjach zagranicznych, bardziej o usatysfakcjonowanie elektoratu, że gramy na nosie Niemcom. A Amerykanie za każdym razem podkreślają jedność wspólnoty zachodniej i NATO.

Kiedy Biden ogłosił przekazanie abramów Ukrainie, dzwonił do kilku europejskich stolic, ale nie do Warszawy.

– To pokazuje, że nie jesteśmy partnerem, tylko wykonawcą i dogodną lokalizacją.

W.C: – Administracja amerykańska doskonale zna sytuację w Polsce. Jesteśmy krajem, który z roku na rok osuwa się coraz niżej choćby w rankingach wolności prasy. Gdyby nie wojna, to nadal kwestie praworządności, wolności mediów, standardów demokratycznych określałyby politykę tej administracji wobec Polski.

R.S: – Mogę powiedzieć, że kwestie praworządności, tolerancji, traktowania kobiet czy środowisk LGBTQ nie są w Stanach zapomniane. Nawet jeżeli wojna skłania Białą Dom do polityki przychylności wobec Polski, to one obciążają bilans. Znam wiele z osób, które zajmują kierownicze stanowiska w administracji Bidena i to są ludzie zaangażowani w prawa człowieka, w kwestie praworządności nie od wczoraj, tylko od dwóch, trzech dekad, znani z bardzo pryncypialnego stosunku do tych problemów.

A co z Brukselą? Czy tam nie mówi się: mamy wojnę, jakiej nie widzieliśmy po 1945 roku, może już odpuścimy trochę tej Polsce z praworządnością i Krajowym Planem Odbudowy.

W.C: – W Brukseli o wielu tematach mówi się chwilowo mniej, bo wyparł je skandal korupcyjny w Parlamencie Europejskim. Ale do europarlamentu i do tych komisji, które zajmują się praworządnością czy prawami człowieka, ciągle docierają sygnały z Polski o tym, że kolejnego wyroku się nie wykonuje czy kolejnego sędziego nie dopuszcza się do

orzekania. Nie wyczuwa się w Parlamencie Europejskim skłonności do oportunistycznego podejścia i przymknienia oka.

A czy można realizować skuteczną politykę, kiedy mamy dwa ośrodki – MSZ, czyli machinę zawodowych dyplomatów oraz taki urząd jak minister ds. europejskich w kancelarii premiera?

R.S: – Nie można, jeżeli placówki albo nie wypełniają żadnych zadań, bo ambasadorowie wolą nic nie robić, niż ryzykować, robiąc coś, co może się nie spodobać Warszawie, albo skupiają się na propagandzie w rodzaju projekcji filmu o Smoleńsku obliczonej na decydentów w kraju. No i wypełniają polecenia typu „zażądajcie tego i tamtego”, „powiedzcie, że tak nie może być i kropka”.

Jeśli mowa o polityce europejskiej, musimy zdawać sobie sprawę, że w Unii jest znaczące grono krajów, które przywiązują ogromną wagę do praw człowieka i wypełniania zobowiązań wobec własnych obywateli, są pryncypialne niezależnie od racji stanu. Proszę spojrzeć na Szwecję. W jej interesie byłoby ukrócić środowiska kurdyjskie, zaspokoić Turcję i spokojnie wstąpić do NATO, ale Szwedzi uznają, że prawa obywatelskie są fundamentem. I to ten trend będzie brał górę, bo populizm, który do niedawna zdawał się być na fali, odbija się od ścian. Od Brazylii po Czechy wahadło wraca ku otwartym, liberalnym demokracjom.

A w naszym obozie władzy widzicie panowie jakąkolwiek refleksję, że coś może jednak zrobiliśmy źle?

W.C: – Jestem świadkiem wystąpień pisowskich polityków w Parlamencie Europejskim i to są niezmiennie niezwykle butne, buńczuczne wystąpienia krytykujące wszystkich dookoła, instytucje europejskie, państwa członkowskie i samą Unię. Agresję, butę i ignorancję prezentują – co bardzo wymowne – na dobrą sprawę wszyscy reprezentanci tej władzy, włącznie z byłymi ministrami. **R.S:** – To, że władza wycofała się z niektórych szalonych pomysłów takich jak przejęcie TVN, należy zaliczyć na plus, ale nie zrobiła tego wskutek refleksji, tylko przymuszona okolicznościami. Filozofia zdobywania terenu międzynarodowego bojem wciąż dominuje. Weźmy spór z Czechami o kopalnię w Turowie. Czy trzeba było aż tak trudnego procesu dochodzenia do wspólnego zdania? Zwłaszcza że tak naprawdę mieliśmy zbieżne interesy? Ale górę wzięły ambicje.

Zwracam uwagę na mowę ciała i zauważyłem, że przedstawiciele resortu zawsze mówią, jeśli nie na granicy ryzyku, to tonem sporu. Nie ma spokojnego tonu wyjaśniającego, w czym rzecz, jest zagrzewanie do walki, jeśli nie tonem głosu, to werbalnie – nie pozwolimy, nigdy się nie zgodzimy.

Ale jakichś ustępstw taktycznych możemy się spodziewać. Jest rok wyborczy, a polskie społeczeństwo jest ciągle najbardziej proeuropejskim w całej UE.

W.C: – PiS zabrnął tak daleko, że byłoby im bardzo trudno własnym wyborcom wyjaśnić zwrot. Za dużo było powtarzania, że w Unii są równi i równiejsi, i ci równiejsi naruszają prawo europejskie bezkarnie, a nas się czepiają, żeby teraz nagle mogli stwierdzić publicznie: a nie, wiecie, to jednak ważna dla nas wspólnota międzynarodowa.

Jako ktoś, kto odpowiadał za zakończenie negocjacji akcesyjnych, mogę powiedzieć, że dzisiaj Polska nie zostałaby przyjęta do UE. Bo nie spełniamy kryteriów kopenhaskich w zakresie standardów demokratycznych, praworządności, ba, nawet praw mniejszości narodowych. Co zrobił rząd PiS kilkanaście miesięcy temu z mniejszością niemiecką? Obcięto wydatki budżetowe na naukę języka dla obywateli pochodzenia niemieckiego. Uderzono w polskich obywateli! Po to, żeby dokuczyć niemieckim władzom, twierdząc, że Niemcy za mało dają na naukę języka polskiego w swoich szkołach.

A czy oni nie są po prostu zakładnikiem tej bardzo małej partycji, jaką jest Solidarna Polska Ziobry?

R.S: – PiS ma ten problem, że jedyny obszar polityczny, na którym może jeszcze łowić, to jest skrajna prawica. Rozmawianie z UE, a jednocześnie schlebianie skrajnym nacjonalistom to chybotliwy rozkrok i rząd nie jest wiarygodny ani dla jednych, ani dla drugich. A Unia wyczuwa, że za każdą obietnicą będzie szedł zamysł, jak ją ominąć. Np. środki z KPO na projekty proekologiczne rozdać swoim fundacjom. Już zaplanowano, kto się pożywi na tych środkach, które wcześniej czy później mają spłynąć z UE.

Wyobraźmy sobie, że jest jesienny wieczór, niedziela, opozycja właśnie wygrała wybory. Co powinniśmy zrobić w pierwszej kolejności, żeby znowu być wiarygodnym partnerem?

W.C: – Jeśli chodzi o państwa Unii, to jest dosyć proste. Jeżeli wygra opozycja, to nasi demokratyczni przyjaciele będą zadowoleni tak po prostu. I wystarczy kilkanaście wizyt premiera oraz nowego ministra spraw zagranicznych w kilkunastu stolicach, żeby poprawić wizerunek Polski. Ale żeby go utrwalić i uwiarygodnić, trzeba będzie szybko przeprowadzić zmiany instytucjonalne i legislacyjne, głównie w wymiarze sprawiedliwości. Co nie będzie łatwe, bo z góry można się spodziewać oporu pana Dudy.

Chyba że opozycja będzie miała większość 276 głosów do odrzucenia weta. – To jest dosyć realistyczny cel, ale rozwiązanie problemu TK będzie wymagało większości konstytucyjnej. Czyli 307 głosów. To jest



Cimoszewicz: Gdybym dzisiaj miał zostać ministrem spraw zagranicznych, nie miałbym problemów z wymyśleniem, co trzeba zrobić w relacjach międzynarodowych.

Ale nie wiedziałbym, z kim to robić. Destrukcja w dyplomacji jest totalna

bardzo trudne, ale możliwe. A tu pan Hołownia oświadcza, że mówienie o wspólnej liście to jest sprzedawanie kitu ludziom. No to chyba jednoznacznie mówi, że jednej listy nie będzie. Więc premii z systemu D’Hondta także nie będzie.

Mimo to chyba już dzisiaj powinniśmy mieć przygotowany program naprawy państwa. Konkretne, co w jakiej dziedzinie zrobimy.

– Tak, przy czym potrzebne są dwie wersje, prostsza do komunikowania opinii publicznej – tu złożymy wizyty, o tym porozmawiamy, zmienimy w kraju to i to – oraz szczegółowy plan rozmaitych działań. Kiedy zabiegaliśmy w USA o ratyfikację przystąpienia do NATO, wszystko było rozpisane bardzo precyzyjnie, jak gra na fortepianie, co do klawisza. Już powinniśmy mieć wybrane grono ludzi do przebudowy dyplomacji.

Jak powinna wyglądać ta reaktywacja, że nawiążę do książki zatroskanych byłych ambasadorów, w tym pana Schnepfa „Polska w świetle, reaktywacja”?

R.S: – Ci ambasadorzy zaczęli pod różnymi rządami. Ja mam nominację ambadorskie podpisane przez prezydenta Wałęsę, prezydenta Kwaśniewskiego, prezydenta Komorowskiego i prezydenta Kaczyńskiego. Jedynie od prezydenta Dudy mam akt odwołania. Moi koledzy mają podobne doświadczenia. Ale pod żadnym z tych rządów, mimo wahań, zmian kursu w różnych kwestiach, zmian personalnych, nie było odchodzenia od zasadniczych celów, niszczenia struktur i zasad postępowania.

Polityka zagraniczna jest tym obszarem, w którym różnice między partiami opozycji są najmniejsze. Zgadzamy się we wszystkich ugrupowaniach i we wszystkich środowiskach, że służba zagraniczna powinna być służbą państwową podlegającą odpowiedniej ochronie – i że wpiery musi przejść głę-

bokie sprawdzenie pod względem profesjonalizmu, znajomości języków, ale też osobistych predyspozycji, umiejętności rozumienia innych kultur, porozumiewania się z ludźmi. Chodzi o gatunek człowieka, który nie tylko wie, jak pije się szampana, ale też umie bardziej słuchać, niż samemu mówić. Czyli jeżeli rozmawiam z kimś z Malezji, z odległego kraju, reprezentującym inną kulturę i punkt widzenia, to staram się zrozumieć, dlaczego dla niego to jest ważne. Nie patrzę wyłącznie z perspektywy gabinetu w alei Szucha, w Warszawie, nad Wisłą. To wymaga wiedzy i panoramy świata.

No i jest dużo osób, które w ciągu tych ośmiu lat zachowały się niegodnie, wykorzystały sytuację, używając pomówień, oskarżeń, donosów, by przyspieszyć karierę.

W.C: – Opozycja, kiedy już porozumie się między sobą, o przyszłości Europy i Polski musi porozmawiać także ze społeczeństwem. Bo w samej Unii narasta wewnętrzne napięcie między tymi, którzy nie chcą zmian, i tymi, co rozumieją to, że ta instytucja nie może być skostniała. Ostatnio Scholtz z Macronem wspólnym głosem mówili o potrzebie coraz szerszego odchodzenia od zasady jednomyślności przy podejmowaniu decyzji dotyczących polityki zagranicznej.

Nawet z punktu widzenia obecnej Polski, dla której jednomyślność to narzędzie szantażu, jej brak byłby korzystny w wielu przypadkach.

– Na przykład Cypr, Węgry czy inne państwo, które nie ma tych doświadczeń z Rosją, co



Cimoszewicz: Gdybym dzisiaj miał zostać ministrem spraw zagranicznych, nie miałbym problemów z wymyśleniem, co trzeba zrobić w relacjach międzynarodowych.

Ale nie wiedziałbym, z kim to robić. Destrukcja w dyplomacji jest totalna



my, nie mogłoby blokować słusznych posunięć w polityce zagranicznej Wspólnoty.

R.S: – Jednym z zarzutów, jakie systemy populistyczne stawiają demokracji liberalnej, jest brak skuteczności w działaniu. Paradoksalnie jednomyślność, której chce nasz rząd, to właśnie ten przypadek – UE jest praktycznie ubezwłasnowolniona w polityce zagranicznej, ponieważ nie jest w stanie szybko reagować na zachodzące zjawiska.

W.C: – Nie ma wątpliwości, że pozytywnie o zmianach, także traktatowych, będą mówiły coraz liczniejsze kraje członkowskie. Żeby Polska nie tylko poprawiła klimat wokół siebie, ale rzeczywiście przyłączyła się do państw decydujących o Europie, musi włączyć się nie tylko politycznie, ale też intelektualnie. A to wiąże się z kwestią euro.

Chorwacja pokazuje, że można bardzo szybko wejść do strefy euro, jeśli się chce.

– Wystarczy spełniać kryteria finansowe i gospodarcze. My ich nie spełniamy. Ale przede wszystkim musimy zrozumieć, że przystąpienie do strefy euro to przystąpienie nie tylko do unii monetarnej, ale do rosnącej grupy państw, które będą decydowały o losie całej UE. A do tego trzeba poważnej rozmowy z dużą częścią społeczeństwa.

Spotykamy się za pięć lat. O czym rozmawiamy? Czy Polska jest już w strefie euro, czy Europa jest federalistyczna i ma własną armię? Czy raczej roztrząsamy to, że te procesy decydują się w Berlinie, Paryżu, Hadze, Rzymie?

– W optymistycznym scenariuszu zbliżamy się do decyzji o przystąpieniu do unii monetarnej – bo nie wierzę, żebyśmy nawet przy najlepszej woli nowego rządu byli w stanie tę drogę pokonać szybciej. Toczy się międzyrządowa konferencja w sprawie zmian traktatów – bo nie wierzę, że te traktaty ulegną zmianie szybkości, nawet gdyby stał się cud i konferencja rozpoczęła się w przyszłym ro-

ku, to potrwałaby ze dwa lata, a potem zaczęłyby się ratyfikacje, których nie można przyspieszać bez przygotowania opinii publicznej, żeby nie zdarzyło się to, co we Francji i Holandii z traktatem ustanawiającym konstytucję dla Europy.

Ale jeżeli Europa nie posunie się w tym kierunku, to te państwa, które odczuwają konieczność pogłębienia współpracy, zrobią to w mniejszym gronie.

Powstanie Stanów Zjednoczonych Europy to dla Amerykanów problem?

R.S: – Amerykanie, generalnie rzecz biorąc, Unii Europejskiej nie rozumieją. Traktują ją jako nieudaną próbę powołania Stanów Zjednoczonych.

Słynne złośliwe pytanie o numer telefonu do konkretnego kogoś, z kim można porozmawiać w imieniu całej Europy.

– Też, ale przede wszystkim Amerykanie nie rozumieją tych mechanizmów, które jakoś w UE funkcjonują. Oni woleliby mieć bardziej skonsolidowany podmiot, bardziej partnerski. Niemniej prezydent Biden i jego administracja postawili na filary Unii, na Niemcy, Francję. I na Wielką Brytanię – żeby nie odjechała od Europy, jak chciał Trump.

Jednocześnie już dziś, mimo wojny, Biden mówi, jaka będzie polityka amerykańska wobec Ukrainy, co też określi kierunek, w jakim pójdzie Unia. Prezydent chce, by Ukraina była wyposażona tak, aby mogła się sama bronić, i stawia na rozwój jej gospodarki. Innymi słowy stawia na jej samodzielność. A to oznacza, że w amerykańskich i unijnych projektach związanych z odbudową nie będzie limitów.

W.C: – No i jeszcze jest 300 mld rosyjskich dolarów zamrożonych w krajach, które nałożyły sankcje na Rosję. Obawiam się, że po wojnie pojawią się głosy, że to jednak pieniądze państwa rosyjskiego, że jest immunitet państwa, że trzeba zwrócić je Rosji. Ukraina powinna powoływać się na art. 51 Karty Narodów Zjednoczonych o prawie do samoobrony indywidualnej i kolektywnej. Ten artykuł upoważnia wszystkie państwa chcące pomóc ofierze agresji do przeciwstawienia się jej w każdy sposób. Jeśli prawo do kolektywnej samoobrony pozwala nałożyć sankcje czy zbroić Ukrainę, to tym bardziej pozwala skonfiskować rosyjskie pieniądze.

R.S: – Moralnie się zgadzam, natomiast praktycznie przypuszczam, że za wstrzymanie złością Stanów w tej kwestii stoją szersze, złożone, ogólnowiatowe interesy i kiedy przyjdzie do negocjacji w sprawie tych pieniędzy, to na zasadzie „a może trochę dać, a może trochę odjąć”.

A co do Unii, to jeżeli Ukraina zostanie podporą Zachodu na wschodniej flance, nasze położenie się zmieni i Polska będzie musiała zadbać o dobre sąsiedztwo. Jesteśmy sojusznikami, ale rząd PiS wywoływał wiele awantur, choćby w materii historycznej. Będziemy musieli zostawić to historykom i skupić się na pragmatycznych celach. Na przykład na tym, żebyśmy, mając silnego i przyjacielskiego europejskiego sąsiada na wschodzie, przestali być mentalnie Europą Wschodnią, a zaczęli być Środkową. Czyli myśleć o sobie i o państwie tak, żeby Polska stała się zamożnym, mieszczańskim krajem, żeby ludzie odpoczęli od konfliktów, które wokół nas toczą się od stuleci.

Zaslugujemy na to, żeby przestać się martwić o bezpieczeństwo, a zacząć się martwić, co chcemy nowego, jak chcemy żyć. Jak Francuzi czy Niemcy, jako jeden z krajów, które decydują o Unii. ●

W Klubie „Wyborczej” gościliśmy już m.in.: Światlanę Cichanouską, Anne Applebaum, Timothy’ego Snydera, Donalda Tuska, Adama Bodnara, Adama Wajraka, Jacka Dukaja, himalaistę Nimsdaia Purję, a także opozycjonistów rosyjskich. Wszystkie spotkania można obejrzeć lub przeczytać na **Wyborcza.pl/klub**.

Jeśli chcecie państwo czytać wszystkie teksty „Wyborczej” i brać udział w takich spotkaniach, zapraszamy do zakupu pakietu klubowego prenumeraty cyfrowej Wyborcza.pl.

N A S Z A E U R O P A

Niall Ferguson:

UKRAINA JAK KOREA POŁUDNIOWA?
NIE ODRZUCALBYM
TEJ OPCJI

– Nie radzę Ukraińcom polegać bez reszty na wsparciu Ameryki. Radzę przestudiować strategię Wietnamu Północnego w latach 70.
– mówi słynny szkocki historyk i autor bestsellerowych monografii Niall Ferguson.

WELT

W przeszłości często ostro krytykował pan kanclerz Angelę Merkel. Czy jej następcę Olafa Scholza ocenia pan równie źle?

– Istnieje dziś tendencja do krytykowania Olafa Scholza za rzeczy, za które nie jest osobiście odpowiedzialny. Ale jeśli wziąć pod uwagę, co Niemcy myśleli o świecie 24 lutego ubiegłego roku, to nie można powiedzieć, że idzie mu fatalnie. Przynajmniej z punktu widzenia gospodarki wszystko idzie lepiej, niż się wtedy spodziewano. Problem polega raczej na tym, że Scholz nie jest podmiotem geopolityki. To, co dzieje się w Niemczech i w Europie, zależy od decyzji podejmowanych w Waszyngtonie, Moskwie i Pekinie. Dlatego dziś jeszcze trudniej jest być kanclerzem.

Czy słabość Niemiec i Europy to rzeczywiście nowe zjawisko?

– Niemiecka gospodarka była bardzo dobrze dopasowana do XX w., ale w XXI uwiadaczniają się jej słabości. Tyle że jeszcze do wybuchu wojny w Ukrainie Niemcy tkwili w przekonaniu, że Mutti zapewniała im trwałą stabilizację. I nagle okazało się jasne dla wszystkich, że model niemiecki zależy od rosyjskiego gazu, od eksportu do Chin i od amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa. Dziedzictwo Merkel polega na tym, że Niemcy powrócili do własnego XIX-wiecznego autostereotypu „Michela” sprzed epoki Bismarcka – naiwnego, biernego poczwiny w szlafmicy na głowie.

Jak Niemcy mogą przejść od pasywności z powrotem do sprawczości?

– To będzie trudne. Po pierwsze, potrzebne są znaczący potencjał militarny i innowacyjność czołowych firm. Ponadto utrzymanie niemiecko-chińskich stosunków gospodarczych w obecnej formie będzie coraz trudniejsze, jeśli relacje między USA a Chinami będą się nadal pogarszać. Niemcy nie będą miały innego wyjścia, jak stanąć po stronie Ameryki, bo są zdecydowanie za słabe, by być samodzielnym graczem.

Ale Niemcy nie są same, mają obok siebie Europę.

– Tak, w Europie mówi się ciągle o „strategicznej autonomii”. Ale gwarantem wolności i demokracji w Ukrainie i wszędzie indziej są Stany Zjednoczone, podczas gdy Eu-

ropejczycy są systematycznie marginalizowani i pozostają niezdolni do działania bez Ameryki. W tej chwili to nie szkodzi, ale wyobraźmy sobie, że Trump lub ktoś jemu podobny znów zostaje prezydentem...

Ale w tej chwili na to się nie zanosi.

– Wcale nie jest nieprawdopodobne, że Republikanie znów postawią na Trumpa. O wyniku wyborów prezydenckich w USA w 2024 r. przesądzi minimalna liczba głosów w zaledwie kilku stanach. A ewentualny powrót Trumpa oznaczałby prawdopodobnie koniec NATO.

Na razie z różnych powodów to raczej Ron DeSantis ma większe szanse na nominację Republikanów – z nim w Białym Domu byłoby inaczej?

– To także raczej nie byłaby dobra wiadomość dla Europy: trumpizm, tylko bardziej kompetentny i lepiej zorganizowany niż wersja oryginalna.

Czyli cała nadzieja Europy w drugiej kadencji Joego Bidena?

– Europa nie potrafi prowadzić polityki z Bidenem. Wycofał się z Afganistanu bez konsultacji i działał niedostatecznie odstraszająco, by powstrzymać Putina przed inwazją na Ukrainę, która uderzyła gospodarczo w Europę znacznie mocniej niż w USA. Pogódźmy się z tym: w USA nie ma i nie będzie proeuropejskiego kandydata na prezydenta.

Dlaczego tak jest?

– W Waszyngtonie panuje konsensus: Chiny to rywal nr 1, region Indo-Pacyfiku ma rosnące znaczenie, a Europa to muzeum. W tej kwestii uderza, jak mało jest różnic między Demokratami a Republikanami.

Europa – muzeum. Naprawdę?

– Doceniam, że UE zmierza w kierunku państwa federalnego; bez Brytyjczyków łatwiej jest głębiej integrować Unię. Nawiasem mówiąc, uważam, że brexit to także konsekwencja niemieckiego błędu: Merkel i Wolfgang Schäuble z pewnością znacznie bardziej wsparliby Davida Camerona, gdyby zupełnie nie zbagatelizowali ryzyka brexitu.

Jednak niezależnie od wszystkiego obowiązujący schemat trwa bez zmian: jeśli jesteś młody i masz dobry pomysł, to jedź do Kalifornii. Zgadza się, że niemiecka gospodarka zareagowała w imponujący sposób na wysokie koszty energii, ale Ameryka zachowuje przewagę konkurencyjną dla kapitału ludzkiego. I wreszcie: globalizacja



• **Zniszczony rosyjski czołg z grafiką przedstawiającą gołębicę z gałązką oliwną autorstwa artysty ulicznego TvBoya, wieś Dmytrivka pod Kijowem, 30 stycznia 2023**

FOT. EFREM LUKASKY/AP

wprawdzie nie umarła, ale handel przenosi się z towarów na usługi, zwłaszcza internetowe, a tu Europa jest po prostu w tyle.

Napisał pan niedawno, że druga zimna wojna z 2022 r. może przerodzić się w trzecią wojnę światową już w 2023 r. Może czy już musi?

– Kiedy mówię dziś o wojnie światowej, mam na myśli różne konflikty, które toczą się pozornie niezależnie w tym samym czasie. I wybuchów kolejnych takich wojen można się spodziewać. Na przykład Iran kontynuuje ataki na Arabię Saudyjską, a Izrael będzie za wszelką cenę zapobiegał temu, by Iran rzeczywiście stał się potęgą nuklearną. Wojna na Bliskim Wschodzie w tym lub przyszłym roku wydaje mi się dość prawdopodobnym scenariuszem.

Chiny z kolei nie zamierzają odpuścić zajęcia Tajwanu, na co Ameryka nie może pozwolić, ponadto Demokraci i Republikanie

rywalizują o miano największych jastrzębi i żadna ze stron nie ma dobrego planu na wojnę z Chinami.

Jak wyglądałaby taka wojna?

– Myślę, że najbardziej prawdopodobny scenariusz to blokada, która w zasadzie technicznie jest aktem wojny. Podobnie jak w przypadku pierwszej zimnej wojny, która osiągnęła apogeum podczas kryzysu kubańskiego. Skutki byłyby jednak poważniejsze niż w latach 60., bo świat jest uzależniony od tajwańskich chipów. Chińczycy odciliby więc Tajwan od świata zewnętrznego, Amerykanie wysłaliby lotniskowce, ale wynik tego konfliktu nie jest oczywisty. Najbardziej prawdopodobne byłoby wycofanie się USA. Ale oznaczałoby to, że Amerykanie w chwili prawdy tracą wiarygodność, a Japończycy i wszyscy inni sąsiedzi w regionie słusznie uznają, że to koniec pax Americana. Bo jeszcze zanim padłby jakikolwiek strzał, mielibyśmy kryzys półprzewodników na Tajwanie – a to prawdopodobnie wywołałoby potężny kryzys globalny. Zarówno zachodni przemysł, jak i chiński system finansowy przeszłyby w swobodny spadek bez dna.

Więc kto ma akcje tajwańskich fabryk półprzewodników, powinien je już sprzedawać?

– Kiedyś zapytałem założyciela TSMC, globalnego potentata w branży, co by się stało w przypadku chińskiej inwazji, a on odpowiedział, że Chińczycy nic na wyspie nie znajdują. Tylko wielką kupę gruzu. Oni wolą wysadzić fabryki w powietrze, niż pozwolić partii komunistycznej przejąć nad nimi kontrolę.

A co z inwestowaniem w Chinach?

– Po nagłym zakończeniu polityki „zero COVID” sytuacja nieco się unormowała i w tym roku właściciele chińskich akcji pewnie sporo zarobią. Ale czy zainwestowałbym w Chinach na dłuższy czas?

Niall Ferguson

• Urodzony w 1964 r., jeden z najbardziej wpływowych historyków na świecie. Wykładowca na Uniwersytecie Stanforda i Harvardzie, autor książek o polityce zagranicznej, historii gospodarki oraz imperializmie brytyjskim i amerykańskim (m.in. „Imperium. Jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat”, „Cywilizacja. Zachód i reszta świata”). Ma konserwatywne poglądy, był doradcą w prezydenckiej kampanii wyborczej senatora Johna McCaina

NASZA EUROPA

Absolutnie nie. Szybkie wycofanie kapitału w alarmowej sytuacji – to w Chinach nie jest łatwe.

Wiele zależy od wyborów na Tajwanie w styczniu 2024 r., a jeszcze więcej od trendów w polityce amerykańskiej. Może Amerykanie zdają sobie sprawę, do jakiej niebezpiecznej sytuacji zacierają, i Biden i Xi poprawią stosunki. Ja zalecałbym taką politykę détente. Ale w tej chwili Waszyngton zmierza do konfliktu. Mam wrażenie, że teraz to Chińczycy bardziej chcieliby tego uniknąć. No ale tu rysuje się dwupartyjna zgoda w USA.

Która jest zawsze postrzegana jako coś pożądanego...
– Ja nie lubię, gdy Republikanie i Demokraci się zgadzają. Wolę polaryzację.

A co może zrobić Xi Jinping?
– Nie zrezygnuje ze swojego celu, jakim jest chiński Tajwan, tylko dlatego, że Stany zaczynają silniej zbierać Tajpej, zwłaszcza że wie, iż tu ma za sobą poparcie narodu, mimo ciosu, jaki w jego autorytet zadała błędna polityka antypandemiczna. Istnieją więc solidne powody, dla których Chiny mogą zdecydować się na wojnę. Oprócz ogólnego nacjonalizmu jest coś jeszcze. Jeśli Xi poczeka kilka lat, to wzmocni Tajwan. A zarazem w najbliższych latach sytuacja w Chinach będzie się pogarszać. Demografia to bomba zegarowa, PKB już nigdy nie będzie rosło o pięć procent rocznie. Własna strukturalna słabość plus krzepnący Tajwan – to każe myśleć, że Xi nie będzie długo czekać.

A co z sytuacją w Ukrainie?
– Ostatnio dwoje moich przełożonych z think tanku Hoover Institution, Condoleezza Rice i Bob Gates, stwierdziło zgodnie, że czas gra na korzyść Rosji. Gdy rozmawiam z Ukraińcami, widzę, że wydaje im się, że czas jest po ich stronie. I dlatego wojna trwa.

Oczywiście można sobie wyobrazić, że w najbliższych miesiącach Rosjanie poniosą kolejne porażki militarne, a nawet że Putin zostanie odsunięty od władzy. Ale to nie jest mój pierwszy scenariusz. Ja raczej zakładalbym, że Rosjanie sformują kolejną,

nie dużo władzy wariatom, a oni zdecydowanie nie są za Ukrainą.

Czyli Ukraińcy powinni dążyć do dyplomatycznego rozwiązania?
– Jestem wielkim przyjacielem Ukrainy, od dziesięciu lat co roku jestem w Kijowie. We wrześniu rozmawiałem tam z ludźmi z rządu, mówiłem im: nie chcecie być Wietnamem Południowym.

Jak mogłyby wyglądać negocjacje Kijowa z Moskwą?
– Dopóki Kijów obstaje, że nie będzie negocjować z Putinem, tylko z jego następcą, że warunek wstępny to reparacje, procesy za zbrodnie wojenne i zwrot Krymu – dopóty nie będzie żadnych negocjacji.

W wojnie wietnamskiej taktyka polegająca na prowadzeniu walki podczas negocjacji pokojowych zadziałała genialnie na korzyść Wietnamu Północnego. Po rozpoczęciu negocjacji Nixonowi bardzo trudno było eskalować sytuację, a w praktyce musiał nawet deeskalować. Jeśli więc Putin zostanie wciągnięty w negocjacje, to myślę, że trudno będzie mu eskalować. Ale negocjacje nie wykluczają dalszej walki Ukraińców.

Oczywiście u nich teraz w grę wchodzi niesamowicie silne emocje. Ale nie radziłbym Kijowowi całkowicie uzależnić się od amerykańskiej pomocy. Bo rośnie ryzyko, że w pewnym momencie to wsparcie się skurczy. Wyobraźmy sobie, że za dwa-następnym miesiącem nadal trwa ta wojna – będzie to wyglądało jak wojna koreańska, dwa lata walki na wyniszczenie. W przypadku Korei śmierć Stalina w zasadzie pozwoliła na remis. Wyznaczono granicę, podzielono kraj – z jednej strony to kulawe rozwiązanie, z drugiej otworzyłoby Ukrainie drogę do stania się drugą Koreą Południową. To pomyśl Henry’ego Kissingera, który mógł zrozumieć.

Ale czy Kissinger właśnie nie zmienił zdania? Po latach opowiadania się za neutralną Ukrainą teraz zaleca jej przyłączenie do NATO.

– Łatwo jest odrzucać Kissingera jako kogoś, kto chce udobruchać Putina. Ale należało go posłuchać w 2014 r. I jeśli teraz uważa, że miejsce Ukrainy jest w NATO, to powinniśmy potraktować to poważnie.

Myślę, że Kissinger jako dyplomata robi wszystko, aby ludzie zrozumie-li, że musi być jakiś stan docelowy, że – niezależnie od tego, jak odległy i nierealistyczny jest to cel – nie można pozwolić na implozję Rosji. Bo wtedy Rosja całkowicie uzależniłaby się od Chin.

To wszystko są ponure perspektywy.

– Istnieje realna szansa, że druga zimna wojna, która jest faktem, może nie zamienić się w gorącą. Taki też powinien być cel polityki Zachodu – utrzymać chłód przez jakieś dziesięć lat. Strukturalnie słabości Chin zaczną dawać o sobie znać. Wkrótce dla wszystkich stanie się absolutnie jasne, że Chiny wkraczają w okres upadku.

Dla analogii: lata 70., po pokonaniu wietnamskim, były świetnym i sprytnym sposobem na kupienie sobie czasu, by słabości Związku Radzieckiego mogły same się obnażyć. ●

Bernard-Henri Lévy:

Zelenski prosi o samoloty? Dajmy je

Słynny francuski intelektualista przygotowuje premierę „Slava Ukraini”, dokumentu o rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Marc Bassets

EL PAÍS

W e Francji nazwisko 74-letniego Bernarda-Henriego Lévy’ego wywołuje niezmiennie skojarzenia: nieprzeciętna elokwencja, obowiązkowa biała koszula jako znak rozpoznawczy i niewyczerpana motywacja, która wciąż każe mu jeździć w miejsca konfliktów, piętnować nikczemność i próbować zmieniać świat na lepsze. Ten filozof, publicysta, współtwórca Nouvelle Philosophie mającej zbliżyć filozofię ku problemom codzienności zasłynął krytyką francuskiego zapatrzenia w komunizm i opisem podskórnego faszystwu. Teraz od miesiący skupia się na opowiadaniu Europie o Ukrainie.

Co sprawia, że wciąż jeździ pan na fronty kolejnych wojen? Nie czuje się pan zmęczony obserwowaniem okrucieństwa?

– Ani nie jestem zmęczony, ani tym bardziej zniechęcony. Uważam, że prawidłowo można myśleć tylko o tych sprawach, które się osobiście obserwuje lub ich doświadcza. Ponadto ja mam dostęp i możliwości robienia rzeczy, których inni nie mają w takim stopniu – i wstydem byłoby z tego nie korzystać.

Napisał pan też kiedyś, że żywi „upodobanie do dalekich przygód”.

– W tym sensie, że lubię nieznaną ładę, wychodzenie ze swojej strefy komfortu, oddychanie innym powietrzem. Może to dlatego, że nie uważam za zbyt ciekawe zadowalanie się byciem tylko tym, kim się jest z tytułu urodzenia w danym miejscu. Ciekawiej jest stawać się kimś innym. Jednym ze sposobów na bycie kimś innym jest czytanie książek. Innym jest podróż.

Co znalazł pan podczas podróży do Ukrainy?

– Niesamowitą odwagę. W zimnie, w ciemności, pod bombami. Godność tych kobiet i mężczyzn. Ich zdolność do stawiania oporu. Ja widziałem to już u Kurdów czy u Bośniaków w Sarajewie. To zupełnie niezwykle osiągnięcie: mieć przed sobą drugą co do wielkości armię na świecie i mimo to być od niej silniejszym. Wymaga to niebywałych i godnych podziwu cnót moralnych, i wojskowych też.

Co ta odwaga mówi Europejczykom w Berlinie, Paryżu czy Madrycie?

– Że nie mamy racji, gdy jesteśmy zmęczeni Europą. Ukraińcy nie są. Oni dowodzą, że Europa to idea,

która jest wciąż żywa i że można dla niej żyć i ryzykować śmierć. Dla nas Europa to już często abstrakcyjna, niemal martwa idea. Oni tymczasem, broniąc ojczyznę, zarazem walczą o nas i za nas.

Czy zastanawiał się pan, co my, zachodni Europejczycy, zrobilibyśmy dziś, gdybyśmy stanęli w obliczu ataku drugiej co do wielkości armii na świecie?

– Zadaję sobie to pytanie codziennie. Nie wiem.

Ale zna pan dobrze Francuzów.

– Wydaje mi się, że Francja raczej wyciągnęła wnioski z 1940 r. Ówczesna głupota, tchórzostwo, konformizm zostały przez Francję przemyślane, więc mam nadzieję, że teraz zachowamy się właściwie. Wiadzę jednak, że we Francji, na skrajnej prawicy i na skrajnej lewicy, istnieje coś, co można nazwać partią putinowską, która pozostaje bardzo silna.

Powtarza pan, że Ukraina zwycięży. Wierzy pan w to czy jest tego pewien?

– Od pierwszego dnia. Jest takie prawo historii: gdy po jednej stronie jest naród, który wie, po co walczy, a po drugiej stronie jest armia, która nie rozumie, o co walczy, to wygrywa ten pierwszy. Walka za szlachetną sprawę, w imię słusznej idei daje przewagę nad wrogiem, gdy ten zdaje sobie sprawę, że jest mięsem armatnim dla tyrana, który wysyła na śmierć dla kaprysu lub mrzonki.

Co jest jeszcze do zrobienia dziś dla Ukrainy?

– Nie tylko dla Ukrainy, ale do szybkiego zakończenia wojny, czyli dla nas wszystkich. Na razie zapewniamy względne zrównoważenie siły rażenia, ale to nie wystarczy. Jeśli chcemy, by wojna się skończyła, jedna z walczących stron musi być wyraźnie silniejsza od drugiej. Dlatego należy dostarczyć jeszcze więcej, znacznie więcej broni.

Ale jak daleko powinniśmy się posunąć w dozbrajaniu Ukrainy? Nie ma tu pełnej zgody nawet w NATO.

– Nie ma tu miejsca na żadne debaty. Mamy do czynienia z wojną totalną rozpętaną przez odrażającego agresora, więc jedynym sposobem na jej zatrzymanie jest jego kapitulacja. Od czasu wojen napoleońskich, przez dwie wojny światowe – jedynym sposobem ich zakończenia był nie kompromis przy stole, ale kapitulacja jednej strony. Bez tego pozostawimy warunki do bardzo szybkiego wznowienia agresji. Wniosek jest taki, że potrzebne są czołgi Leopard, Abrams i Leclerc. A jeśli prezydent Zelenski prosi o samoloty, to musimy mu je dostarczyć.

Napisał pan dawno temu, analizując podskórny faszizm we francuskim społeczeństwie: „Hitler nie umarł w Berlinie, a w pewnym sensie nawet wygrał”. Nadal pan tak myśli?

– Trochę to było prowokacyjne, ale w każdym razie faszystw nie umarł, to pewne, a czasem wręcz bywa bliski zwycięstwa. We Francji na pewno było blisko. To, że po całym XX w. faszystw nadal istnieje, jest niewiarygodne. Gdybyśmy wyciągali wnioski z historii, ludzie zdradzający faszystowskie poglądy powinni okryć się hańbą i do końca swoich dni się usprawiedliwiać. Ale nie: oni noszą podniesione głowy, oni triumfują. ●

● Bernard-Henri Lévy
FOT. FRANÇOIS MORI/AP

LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER — ALLIANCE

KOSMICZNI ZWIADOWCY

Za cztery lata nad Ziemią zawisną „polskie oczy”. Dzięki dwóm satelitom obserwacyjnym będziemy mogli śledzić to, co dzieje się za naszą wschodnią granicą, a także zapobiegać klęskom żywiołowym. Nie ukryje się przed nimi nic, co ma rozmiar większy niż 30 cm.

tekst **Piotr Cieśliński** infografika **Wawrzyniec Świącicki**

Pod koniec grudnia polska Agencja Uzbrojenia zawarła z francuskim koncernem Airbus Defence & Space umowę na dostawę dwóch satelitów obserwacyjnych wraz ze stacją odbiorczą w Polsce. Będzie to nas kosztowało aż 575 mln euro.

Satelity mają być wyniesione w kosmos do roku 2027, ale zgodnie z umową już od teraz polskie wojsko otrzyma dostęp do obrazów z już funkcjonującej francuskiej konstelacji satelitów Pléiades Neo. Tworzą ją dwa satelity starszej generacji, które zostały wyniesione ponad dekadę temu, a także dwa nowsze satelity, okrążające Ziemię od 2021 r. Miała do nich teraz dołączyć jeszcze trzecia para, ale tydzień przed podpisaniem umowy z polskim wojskiem nie powiódł się start francuskiej rakiety Vega-C, która wynosiła je w kosmos.

Nie jest jasne, czy te wynoszone w połowie grudnia satelity miały być sprzedane Polsce, czy też mieliśmy otrzymać dwa kolejne egzemplarze. Jedno jest pewne: zbudowane dla nas satelity mają być tego samego typu, co najnowsze Pléiades Neo.

Nasze siły zbrojne już wcześniej korzystały z danych satelitarnych pozyskiwanych z włoskiej konstelacji COSMO SkyMed, ale „własne oczy” na orbicie są dużo bardziej praktyczne. Przede wszystkim będziemy mogli kierować kamery na dowolnie wybrany obszar i dostać jego zdjęcia już po ledwie 30-40 minutach. Pozwoli to m.in. w pełni skorzystać z możliwości zakupionych myśliwców F-16, które dysponują pociskami o zasięgu kilkuset kilometrów, ale bez satelitarnego zwiadu nie jesteśmy w stanie wytyczać im tak odległych celów w warunkach bojowych.

Kamery Pléiades Neo mają przy tym rekordową rozdzielczość, rozróżniają szcze-

gół o rozmiarze 30 cm. Dotychczas takie możliwości oferowały jedynie satelity amerykańskiej spółki Maxar, której zdjęcia są bardzo często wykorzystywane przez ekspertów analizujących działania wojenne w Ukrainie. Szef francuskiego resortu obrony sugerował, że polska para satelitów będzie pracować w połączeniu z istniejącą konstelacją francuską, co ma jeszcze zwiększyć ich możliwości.

Co więcej, z rozpoznania satelitarnego skorzysta nie tylko wojsko. Satelity obserwacyjne przydadzą się m.in. w zarządzaniu kryzysowym, np. podczas katastrof naturalnych, kiedy trzeba na bieżąco monitorować duże obszary kraju. Mogą zyskać także kartografia, badania hydrograficzne czy rolnictwo, gdzie satelity pomagają w kontroli upraw czy rozliczaniu dopłat.

Tym samym Polska znajdzie się w grupie państw, które dysponują zaawansowaną technologią satelitarną.

Dotychczas raczkowaliśmy w tej dziedzinie. Pierwszą polską fotografię Ziemi zrobioną z orbity (ręcznym aparatem!) wykonał kosmonauta Mirosław Hermaszewski w 1978 r. podczas pobytu w radzieckiej stacji Salut-6. Druga polska fotografia powstała cztery dekady później, kiedy w roku 2018 na orbicie znalazł się nanosatelita PW-Sat2, skonstruowany przez studentów Politechniki Warszawskiej. Ale to wszystko było rodzajem zabawy, Polska pozostawała poza głównym nurtem technologii kosmicznych.

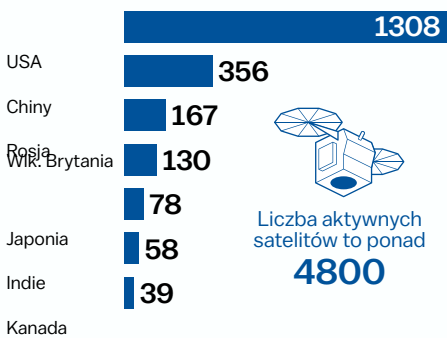
Nasze wojsko oprócz satelitów obrazowania optycznego chce w przyszłości pozyskać także tzw. satelity SATCOM (do szyfrowanej łączności satelitarnej) oraz SIGINT (rozpoznania elektromagnetycznego – które namierzają sygnały telekomunikacyjne i radarowe).

Era satelitów

Szacuje się, że od czasu wystrzelenia Sputnika w 1957 r. na orbitach okołoziemskich umieszczono **12 170 satelitów**, z czego 7630 nadal tam jest. Oprócz satelitów cywilnych: meteorologicznych, telekomunikacyjnych, nawigacyjnych, obserwacyjnych czy badawczych dużą grupę stanowią satelity rozpoznawcze (szpiegowskie) mające zastosowanie przede wszystkim wojskowe. Zalicza się do tej grupy m.in. satelity rozpoznania obrazowego – **optoelektroniczne i radarowe**.

Kto ma najwięcej satelitów*

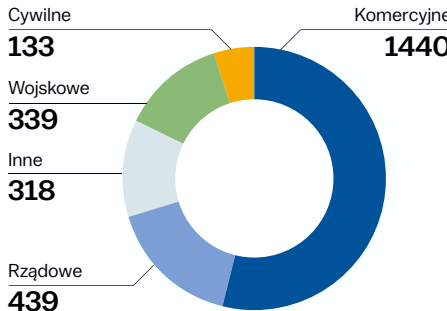
Liczba aktywnych satelitów w 2020 r.



*kraje będące właścicielami lub operatorami

W jakich celach są wykorzystywane

Liczba aktywnych satelitów w 2020 r.

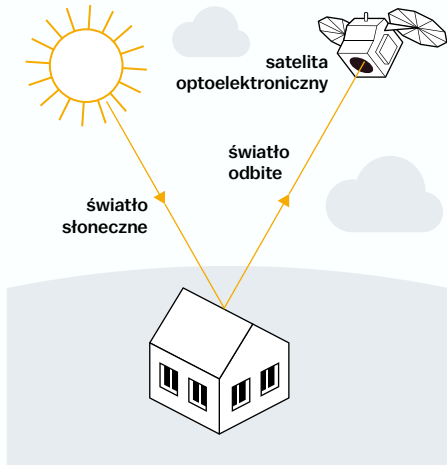


ŹRÓDŁO: STATISTA 2020

Rodzaje satelitów rozpoznawczych

Satelity optoelektroniczne

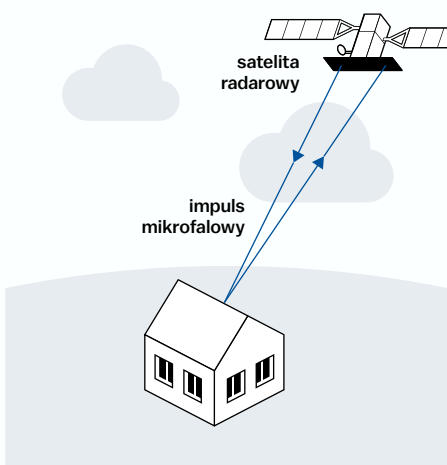
Jest to **system teledetekcji pasywnej** polegający na rejestrowaniu promieniowania słonecznego odbitego od obiektów. Powierzchnia Ziemi jest obserwowana w różnych zakresach promieniowania elektromagnetycznego, w tym światła widzialnego oraz bliskiej i dalekiej podczerwieni. Wykorzystuje się przy tym fakt, że część światła słonecznego **nie jest absorbowana** na powierzchni planety, **odbija się i wraca** w kosmos.



- ▲ **Zobrazowania optyczne są łatwiejsze do interpretacji i analizy.**
- ▲ **Bardzo wysoka rozdzielczość optyczna** poniżej 0,3 m na piksel.
- ▼ **Możliwość prowadzenia obserwacji tylko przy dobrym oświetleniu i w sprzyjających warunkach atmosferycznych.**
- ▼ **Stosunkowo niska rozdzielczość czasowa** wynikająca z niewielkiej liczby satelitów optycznych tworzących konstelacje, są to bowiem urządzenia duże i kosztowne.

Satelity radarowe

To system **teledetekcji aktywnej** polegający na emitowaniu przez satelitę impulsu energii (np. mikrofal) w kierunku Ziemi, który po odbiciu od obiektu wraca w postaci echa i jest rejestrowany przez antenę satelity. Odległość między anteną a punktem odbicia na powierzchni Ziemi jest mierzona i przetwarzana na obraz czytelny zarówno dla człowieka, jak i dla systemów opartych o sztuczną inteligencję.



- ▲ **Możliwość obserwacji w trybie ciągłym również w nocy i przy złej pogodzie.** Z tego względu satelity radarowe nadają się doskonale do monitorowania zmian.
- ▲ **Możliwość obrazowania dużych obszarów w krótkim czasie** (np. zobrazowanie terenu o wymiarach 100 x 50 km przy pomocy radaru zajmuje około pół minuty).
- ▼ **Relatywnie niska rozdzielczość przekraczająca 1 m.** Wystarcza do większości zastosowań cywilnych, jednak nie spełnia wymagań militarnych.

Rozdzielczość przestrzenna

W przypadku optoelektronicznych systemów satelitarnych bardzo istotnym parametrem jest rozdzielczość optyczna, która wyrażana jest **wielkością najmniejszego obiektu, który może być zarejestrowany** przez pojedynczy element sensora i odwzorowany na zdjęciu w postaci pojedynczego piksela.

Z tego względu systemy satelitarne dzielimy na:

niskorozdzielcze (piksel > 100 m) do badania atmosfery, monitorowania pogody, oceanów i pokrywy lodowej

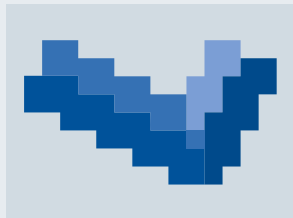
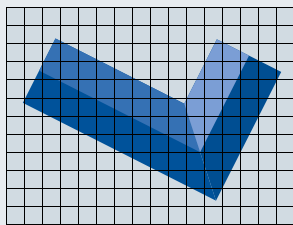
średniorozdzielcze (piksel 10-100 m) do monitoringu pól w rolnictwie, ochrony środowiska, analizy rozwoju metropolii itp.

wysokorozdzielcze (piksel 1-5 m) do map topograficznych i tematycznych (np. użytkowania terenu, typów roślinności, stanu upraw, planów przestrzennych itd.)

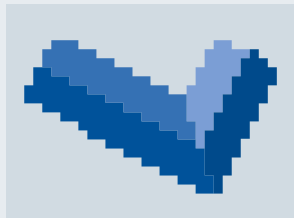
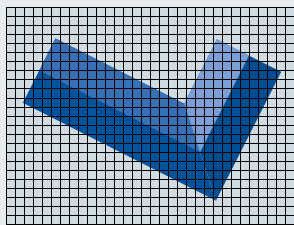
bardzo wysokorozdzielcze (piksel < 1 m) do szczegółowych analiz o dużej dokładności opracowania, dane wywiadowcze

Wizualizacja obiektu w różnej rozdzielczości (zobrazowanie wysokorozdzielcze)

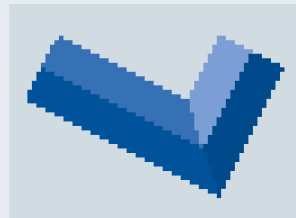
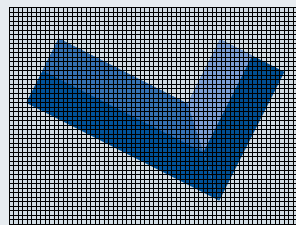
satelita Julin-1, **piksel = 1 m**



Pléiades, **piksel = 0,5 m**



Pléiades Neo, **piksel = 0,3 m**



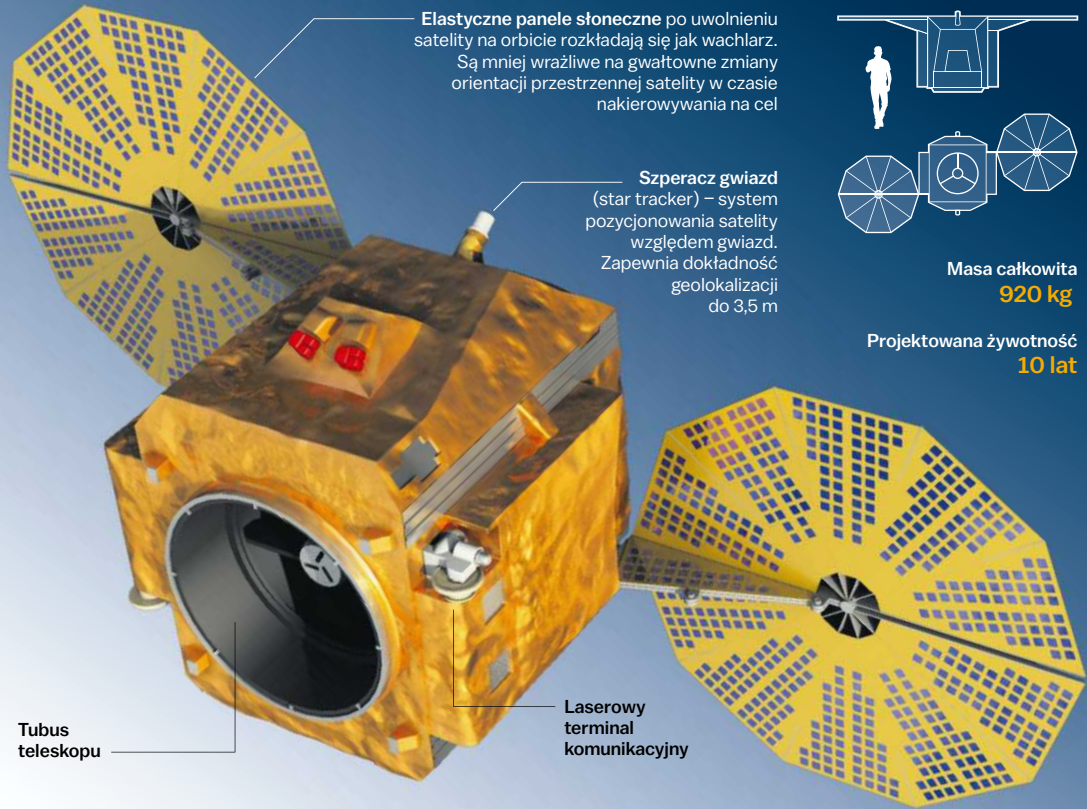
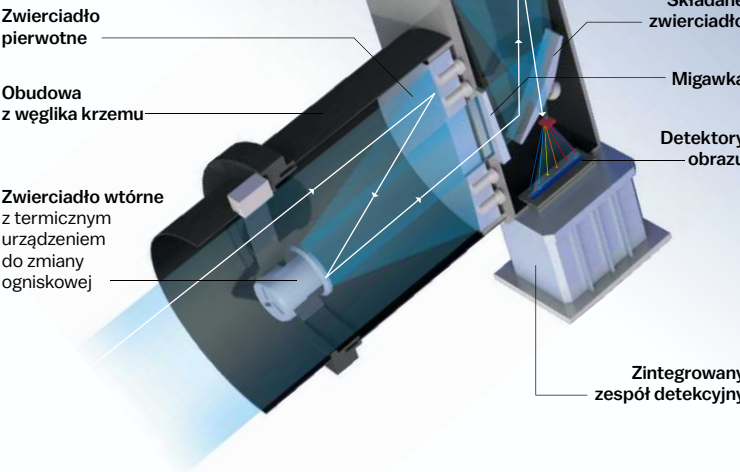
Rozdzielczość widmowa

Satelity Pléiades Neo mają poszerzony w stosunku do swoich poprzedników zakres rejestrowanego promieniowania elektromagnetycznego.

Do analizowanych dotychczas czterech kanałów spektralnych: **niebieskiego, zielonego, czerwonego i granicy podczerwieni** doszły jeszcze dwa skrajne pasma: **ultrafiolet i bliska podczerwień**. Obraz powstały w wyniku rejestrowania promieniowania z pełnego zakresu widma w przedziale 450-800 nm (tzw. **kanał panchromatyczny**) oferuje największą rozdzielczość optyczną (0,3 m). Obrazy rejestrowane w każdym z **6 kanałów spektralnych** mają niższą rozdzielczość (1,2 m). Analizując jasność obiektu w poszczególnych kanałach spektralnych, można łatwiej interpretować jego właściwości, a połączenie danych uzyskanych z kilku kanałów widmowych wnosi dodatkowe informacje na temat analizowanego obiektu.

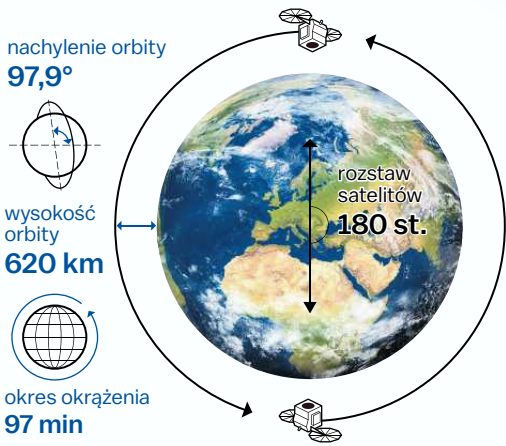
NAOMI – system optyczny satelitów Pléiades Neo

Głównym elementem układu optycznego satelitów Pléiades jest **teleskop typu Korsch**. Charakteryzuje się on szerokim polem widzenia, niską wagą, kompaktowym rozmiarem i dużą stabilnością. W jego skład wchodzi trzy zwierciadła asferyczne oraz dwa zwierciadła składane. Sprzężony jest z wielospektralnymi przetwornikami obrazu TDI i CCD. Układ ten pozwala rejestrować obrazy o wysokiej rozdzielczości przy dużej prędkości satelity.



Orbita

Polska część konstelacji Pléiades Neo będzie się składać z **dwóch satelitów** ustawionych względem siebie pod kątem **180 st.** Podobnie jak pozostałe Pleiady będą się poruszać po **orbicie heliosynchronicznej**, której płaszczyzna znajduje się przez cały rok pod tym samym kątem względem Słońca. Dzięki temu satelita zawsze przelatywał nad danym obszarem **w tym samym czasie miejscowym**. Płaszczyzna orbity jest **bliska płaszczyźnie biegunowej**, a jej niska wysokość pozwala na **dwukrotny przelot satelity w ciągu doby** nad miejscami leżącymi na tej samej szerokości geograficznej.



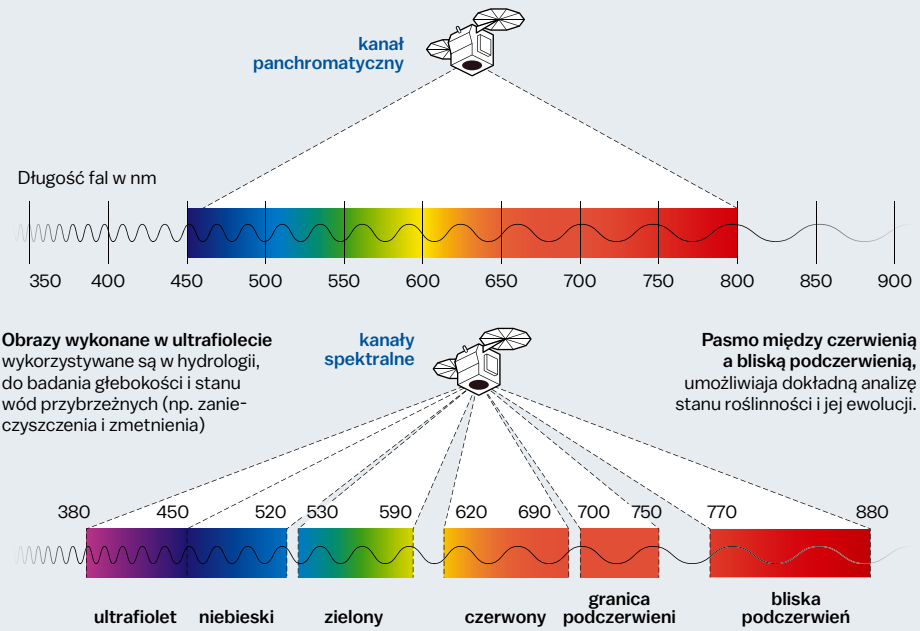
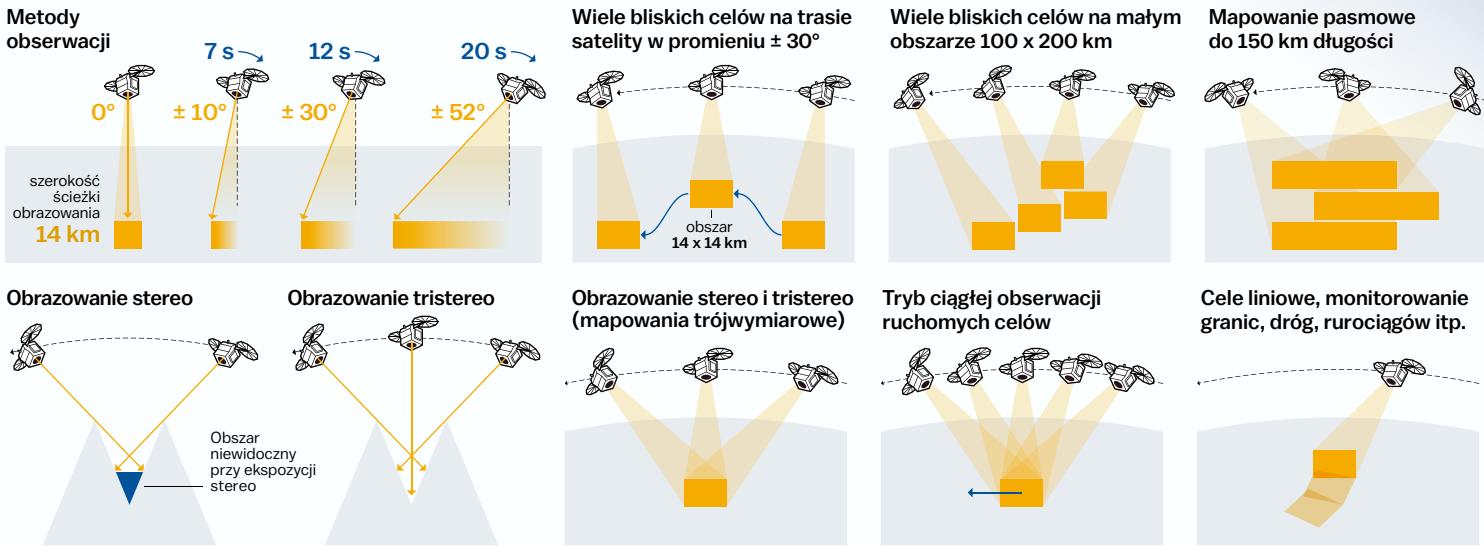
Częstotliwość przelotu

Podczas pełnego przelotu satelity dookoła globu trwającego 97 min Ziemia wykonuje obrót wokół własnej osi, w wyniku czego obraz z satelity tworzy szereg wąskich pasków owijających się spiralnie wokół planety.



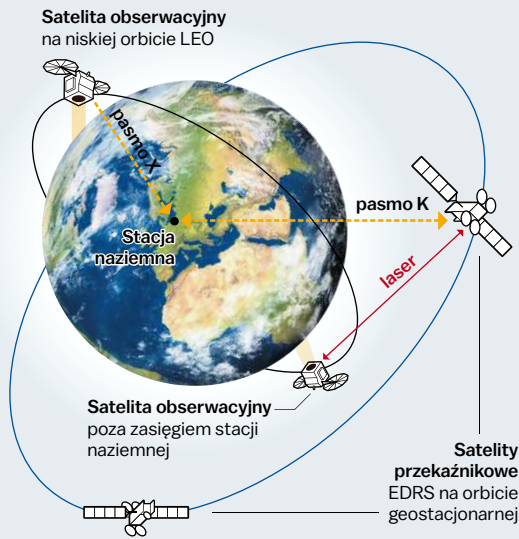
Zwrotność

Zdolność pokrycia obrazowego Pléiades Neo wynika z szerokości ścieżki obrazowania (14 km), jednak równie istotna jest możliwość szybkiej zmiany orientacji przestrzennej i prowadzenie obserwacji pod większym kątem. Aby w krótkim czasie skierować teleskop w dowolnym kierunku, potrzebny jest stabilny statyw. Na orbicie, gdzie nie ma punktu podparcia, funkcję „statywu” pełni platforma satelitarna wyposażona w siłowniki żyroskopowe. Dzięki obniżeniu masy oraz nadaniu satelitom generacji Neo bardziej zwartego kształtu zmniejszono ich bezwładność i osiągnięto znacznie większą zwrotność w porównaniu z satelitami starszej generacji Pléiades.



Błyskawiczna komunikacja

Obrazy wytwarzane przez satelitę po skompresowaniu i zaszyfrowaniu są przesyłane bezpośrednio do stacji naziemnej w paśmie X. Jeśli stacja naziemna jest poza zasięgiem, dane są wysyłane przy pomocy laserowego systemu komunikacji optycznej do satelitów przekaznikowych EDRS znajdujących się na orbicie geostacjonarnej (nad równikiem), które przekierowują je na Ziemię. Za pomocą tej usługi zwanej SpaceDataHighway możliwe jest bezpieczne przesyłanie 40 Tb danych dziennie z szybkością 1,8 Gbit/s w czasie rzeczywistym. Komendy sterujące satelitami są przesyłane za pomocą fal radiowych bezpośrednio z centrum kontroli lub w paśmie Ka również w ramach usługi SpaceDataHighway. Łącza międzysatelitarne umożliwiają przekaz danych na Ziemię w 40 minut.



ŹRÓDŁO: AIRBUS, ESA, SPACE24.PL, WIKIPEDIA, „WPROWADZENIE DO DANYCH SATELITARNYCH” P. WĘŻYK, U. CISŁO-LESICKA

WSI NIESPOKOJNA WSI NIEWESOŁA

Kiedy Kaczyński powiedział o kobietach, które dają w szyję, to wielu wyborców PiS to nie oburzyło

Z **MICHAŁEM KOŁODZIEJCZAKIEM**,
SZEFEM AGROUNII, ROZMAWIA
KRYSTYNA NASZKOWSKA

Co jest dziś największym problemem w Polsce?

– Władza PiS może okazać się większym zagrożeniem niż wszystkie inne. PiS odrywa się od społeczeństwa, zawłaszcza Polskę, zaczyna się fundamentalizować. Naszym zadaniem jest dotrzeć do ludzi, by to niebezpieczeństwo zobaczyli, a nie dyskutować od miesięcy, czy i kto na ilu listach wystartuje. Politycy mówią do polityków oraz do swoich – już przekonanych wyborców – „baniek”, a nie do ludzi w terenie. Tak się nie wygra wyborów.

Co to znaczy, że PiS się fundamentalizuje?

– Kiedy Kaczyński powiedział o tych kobietach, które dają w szyję, to wielu wyborców PiS to nie oburzyło. „Nasz Jarosław wie, że tamci to piją i nie mają dzieci, ale my mamy, a jak nie mamy, to z innych przyczyn, ale nie pijemy”. Takimi wypowiedziami Kaczyński fundamentalizuje elektorat. Zamiarem Kaczyńskiego jest, by ci ludzie przy nim trwali i byli wrogo nastawieni do drugiej strony.

Pan dobrze zna PiS, był pan członkiem tej partii.

– Dziś uważają mnie za śmiertelnego wroga, bo ich codziennie dociskam i podliczam. Będę się upominał o dotrzymanie obietnic, bo opozycji brakuje tu konsekwencji. Ponieważ byłem w PiS, to oni mnie dobrze znają, wiedzą o mnie i mojej rodzinie wszystko. Ale też wiedzą, że ja znam te metody.

Dlaczego pan tam poszedł?

– Chyba w 2014 roku uświadomiłem sobie, że nie mam wpływu na to, co wokół mnie. Wtedy, 500 metrów od mojego domu, postawiono wielki wiatrak, bez konsultacji.

Czegoś się pan obawiał?

– Nie, ale to jest uciążliwe – wielki cień pada na dom od skrzydeł wiatraka, hałasuje. I żeby nie było, świat nie może stać w miejscu, ale te zmiany mają być uczciwe dla ludzi, a nie robione wbrew. Chodziłem w tej sprawie do radnych gminnych i powiatowych i nic nie załatwiłem, a była to inwestycja byłego senatora z PSL. Pomyślałem, że jeśli zostanę radnym, to będę miał wpływ, a wcześniej nie angażowałem się politycznie. Nawiązałem kontakt z Karolem Rajewskim, radnym PiS, i zaproponowałem, bym z jego listy wystartował w wyborach na radnego. Wygrałem. Wtedy wielu ludzi z naszej gminy Błaszki chciało wstąpić do PiS, ale ich nie chciał przyjąć.

Bo?

– Bali się, że tylu członków partii może przejąć władzę w gminie i będą zbyt sa-

modzielni. Trzymali ich jako statystów na spotkania z liderami. Wziąłem od ludzi ok. 50 deklaracji i pojechałem do biura PiS w Łodzi, by ich przyjęli. Załatwiłem, choć nie było prosto, bo Błażej Spychalski, który tam był pełnomocnikiem biura, a potem został rzecznikiem prezydenta, w ogóle nie chciał ze mną gadać. Dziś nikt z tych ludzi nie jest w PiS, odeszli.

A czemu chcieli wstąpić?

– Bo mieli dość Platformy i PSL, a działacze PiS ciągle mówili, że to złodzieje, rozkradają Polskę.

Po trzech latach wyrzucono pana z PiS.

– Uważali, że jestem zbyt niezależny. Najpierw nie dopuścili mnie do głosowania w wyborach powiatowych, pod pretekstem, że źle wypełniłem przelew, którym opłacałem składki. A potem usunęli mnie z partii, bo zwołałem w remizie zebranie rolników – wtedy już źle się działo w rolnictwie. Późnym wieczorem, dzień przed tym zebraniem, zadzwoniła do mnie przewodnicząca koła PiS w gminie i ostrzegła, że jeśli tam pójdę, to mnie wyrzuci, bo takie dostała polecenie. Powiedziałem: proszę bardzo.

Jest pan rolnikiem czy politykiem?

– W załatwianiu spraw publicznych czuję się politykiem, ale nie pokazuję się z rodziną, by ocieplić wizerunek. Mnie nawet złości, kiedy słyszę, jak politycy mówią, że chcą, by ich dzieciom żyło się lepiej. Do polityki nie idzie się, by poprawić los swoich dzieci.

Czyli...

– Chcę by to, co mój ojciec i dziadek wypracowali, nie zostało zniweczone. A dziś boję się, co z tego zostanie za dwa lata, jeśli porządzi PiS.

A z czego pan żyje?

– Z gospodarstwa. Przez polityczną działalność mam mało na to czasu, ale pracują rodzice, brat, moja żona. Uprawiamy 150 hektarów.

Sporo, zwłaszcza że zajmujecie się warzywnictwem.

– Ale też większe nakłady finansowe są w takim specjalistycznym gospodarstwie i wymaga ono więcej pracy niż np. obsianie pszenicą. Żyje z tego wielopokoleniowa rodzina – rodzice, my z żoną i dziećmi, czyli czworo i pięcioro w rodzinie brata.

To własna ziemia czy dzierżawa?

– Głównie własna. Kiedy mój ojciec przejmował ziemię od dziadka w połowie lat 80., mieliśmy 12 ha. Przed wejściem do Unii ojciec miał między 20 a 30 ha, a po 2004 r. systematycznie rodzice dokupywali ziemi. Dla mnie koniec każdego roku kojarzy się zawsze z rozliczaniem i spłatą rat kredytów, jakie rodzice zaciągali na kupno kolejnego kawałka ziemi.

Jaki był rok 2022 dla pana gospodarstwa?

– Kupujemy rocznie 150 ton nawozów. Dwa lata temu za tonę płaciliśmy po 1-1,5 tys. zł, teraz kosztuje to ok. 4 tys. zł. Zamiast ok. 200, trzeba wydać 600 tys. zł – wzrost o 300 proc. A przez decyzję Obajtka, który nie obniżył cen, choć paliwo na świecie staniało, straciliśmy ok. 15 tys. zł. Mamy chłodnię, w której przechowujemy warzywa – jakie rachunki przyjdzie nam zapłacić, dowiemy się wiosną. Już się boję. Kiedyś ludzie na wsi czekali na wiadomości, z trwogą przyjmowano każdy telegram, a dziś czekają z obawą na rachunki. No i uderza w nas to samo, co w ludzi w mieście – inflacja, droższa żywność, bo kapustę mamy swoją, ale generalnie żywność kupujemy w sklepie.

A przychody ze sprzedaży?

– Dramat. Naszym głów-

nym produktem jest kapusta pekińska, którą możemy sprzedać po ok. 90 gr za kilogram, a granica opłacalności uprawy wynosi 1,2 zł za kg. Oczywiście nie wszystko jest tak złe. Na jesieni sprzedaliśmy kilokaset ton ziemniaków – nie przechowywaliśmy ich, by nie zwiększać kosztów, no i udało nam się je uprawiać na starych, tańszych nawozach. W sumie to był bardzo trudny rok. PiS nie reagował na nadchodzące kryzysy, nie pomógł nam.

Przecież wysokie ceny nawozów i paliw to w dużej mierze skutek wojny w Ukrainie i jej konsekwencji. Jak PiS miał temu zaradzić?

– Oddzielmy przyczyny od reakcji na wydarzenia. Otóż PiS w ogóle nie zareagował. Półtora roku temu mówiłem, że trzeba zmagazynować nawozy, uznać je za produkt strategiczny, wstrzymać lub ograniczyć ich eksport, zrobić zapas dla rolników nawet na dwa sezony. Rolnicy dostają dopłaty, więc bez obawy, że nie zapłacą, można było im zaproponować, by odbierali nawozy z możliwością zapłaty po np. trzech miesiącach. Niestety tego nie zrobiono.

Dużo rozmawiam z ludźmi, którzy głosowali na PiS i mają żal do mediów, że się ich przedstawia jako tych, którzy się sprzedali za 500 plus. Ale PiS zdobył głosy wsi także dlatego, że miał program rolny. Podpisali się pod nim późniejsi trzej ministrowie rolnictwa – Krzysztof Jurgiel, Jan Krzysztof Ardanowski i Henryk Kowalczyk. Gdyby został zrealizowany, to żylibyśmy w kraju



odpornym na kryzysy energetyczne – miały być biogazownie, wiatraki, walka z oligopolami, które przejęły handel, miały być pieniądze na rozwój przetwórstwa, zmiana funkcjonowania Ministerstwa Rolnictwa itd. Niczego nie zrobiono, a dano 500 plus.

I po czterech latach wieś znowu na PiS zagłosowała.

– To trzeba pomyśleć, jaka musiała być trauma po trudach transformacji, że wystarczyło dać 500 zł miesięcznie. Kiedy ludzie na wsi widzą Tuska w telewizji, to zaraz wspominają, jak było im ciężko. Sam to pamiętam. Rodzina sześciopokoleniowa, codziennie dojeżdżałem ze wsi do liceum w Toruniu, miałem odliczone na autobus po 5,70 zł w jedną stronę. Do autobusu miałem 2-3 km i wykombinowałem sobie, by przejść jeden przystanek na piechotę, bo zaoszczędzę 40 gr, a za to już mogłem sobie bułkę kupić. Ludzie we wsi mieli poczucie, że ich problemy nikogo na górze nie obchodzą. Znikały połączenia autobusowe, szkoły, świetlice, biblioteki, nie było mowy o wspieraniu choćby takich uczniów jak ja. A tu przyszedł PiS i powiedział: macie. Prosta sprawa.

Wielu dziś wie, że dało się nabrać i rząd dalej próbuje nabierać. Przez ostatnie trzy lata prosił się o spotkanie z rządem i nic, a ostatnio premier zaprosił środowiska rolnicze, a pominął Agrounię. Teraz dopiero, kiedy zbliżają się wybory, nagle ma czas, udaje, że słucha głosów rolników, ale tylko tych wybranych. Potem takie spotkanie odpowiednio nagłośni telewizja, a opozycja PiS nie rozlicza z obietnic. A my to robimy, a do tego autentycznie reprezentujemy wieś i Polskę lokalną.

Jakieś cztery lata temu zaprosił nas minister Ardanowski. Myślał, że skoro zaprasza sam minister, to się napijemy w jego gabinecie kawy i sprawa załatwiona. A my mieliśmy 10 problemów. Przez ponad dwie godziny dyskutowaliśmy o pierwszych trzech punktach i kiedy Ardanowski chciał przejść do czwartego, to zaprotestowałem. Mówię: jak i kiedy zamierza rozwiązać pierwsze trzy. I tak skończyło się spotkanie, następnego już nie było. Bo oni tylko udają, ich taktyka to trzy „P”: przetrwać, przeczekać i przetrzymać.

Bo nawet o największej aferze ludzie po miesiącu zapomną?

– Oczywiście. Rząd nie poradził sobie z ukraińskim zbożem, którego eksport z Ukrainy wymknął się spod kontroli i zamiast być reeksportowany do krajów trzecich, to zalega w naszych magazynach, co rujnuje polskich rolników. I kiedy na spotkaniu z ministrem Kowalczykiem o tym mówiliśmy, odpowiedział: Już wszyscy o tym słyszeli, poszukajcie sobie czegoś nowego!

I ta strategia jest skuteczna, bo żony, partnerki rolników, którzy protestują przeciwko napływowi tego zboża do Polski, mówią, by dali sobie spo-

kój, skoro nie skutkują. I dodają: może oni nie radzą sobie z tym zbożem, ale dali nam 500 plus, a Tusk nic nie dał. Opozycja musi codziennie pilnować żywotnych dla Polaków tematów.

To prawda, że w czasie kampanii prezydenckiej proponował pan Rafałowi Trzaskowskiemu pomoc w zdobyciu poparcia na wsi?

– Tak. Zadzwońmy do posłanki Doroty Niedzieli z PO, z którą mamy kontakt, ona się zajmuje rolnictwem, i powiedziałem, że jesteśmy w stanie pomóc, bo widać, że o wsi nie ma pojęcia. Nawet nie zaproponowano, że Trzaskowski może się z nami spotkać. Jak się skończyło, to wiemy.

Wygrał w miastach, ale przegrał głosami wsi, która gremialnie poparła Andrzeja Dudę. Ale jak pan zamierzał przekonywać do kandydata PO wiejski elektorat?

– Po naszej ofercie Trzaskowski pojechał do sadu, nakręcili filmik, który na wsi wyśmiano, bo widać było, że jest oderwany od problemów rolnictwa. A jeśli tak, to mógłby po prostu to powiedzieć, ale dodać, że ma ludzi przy sobie, którzy się znają na tych problemach i są gwarancją dla wsi. Mamy wiele pomysłów, co zaproponować i jak to wdrożyć w życie.

A co jest najważniejsze do zrobienia?

– Zbudowanie dialogu miasta ze wsią. Bo jedziemy na jednym wózku i jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Wieś się wydłuzi.

Statystyki mówią co innego – liczba mieszkańców na wsiach rośnie w ostatnich latach.

– To fałszywy obraz. Wsie przy dużych miastach są faktycznie oblegane, przybywa nowych mieszkańców, ale stają się elementem aglomeracji miejskiej. Wsie z dala od miast się wyludniają, brakuje połączeń autobusowych, ośrodków zdrowia, szkół, żłobków. Rośnie dysproporcja między terenami wokół miast i położonymi dalej. Jeśli się na to zgodzimy, to doprowadzimy do stepowienia kraju, monokultury rolniczej zarządzanej przez wielkie korporacje itd. Dlatego pieniądze z KPO powinny być dzielone z uwzględnieniem liczby mieszkańców – 40 proc. funduszy dla terenów wiejskich.

Co by pan doradził opozycji?

– Kiedy za rządów PO-PSL wybuchały afery, to PiS uruchamiał wszystkich swoich posłów, by w terenie o tym trąbili. Wyolbrzymiali to i przekładali na język zwykłych ludzi. A teraz co chwila wybucha jakaś afery, ale żadna nie została odpowiednio wykorzystana. Jestem przekonany, że gdyby za rządów Tuska wybuchła taka historia jak z Orlenem, to przed biurami posłów PO staliby od rana działacze PiS z rachunkami za przepłacone paliwo. Ludzie PiS byli głodni władzy i mieli parcie do działania, a Polacy zobaczyli ich społeczne zaangażowanie.

Kim są ludzie popierający Agrounię? To rolnicy przedsiębiorcy?

– Różni. Niedawno na spotkaniu w Prudniku przyszło ponad 200 osób. Większość to właściciele średnich gospodarstw: między 20 a 50 ha, jeden miał 600 ha. To ich najbardziej dotyczy polityka tego rządu.

Ale to mniejszość, bo z tych 1,3 mln, którzy biorą dopłaty, ok. miliona niczego na sprzedaż nie produkuje, to elektorat socjalny, który w zdecydowanej większości popiera PiS. Trudno Agrounii będzie wejść do parlamentu, opierając się na przedsiębiorcach rolnych. Trochę za mało głosów.

Minister z PiS miał w telewizji ściągę, a na jednej napis – „mów, by nie krzyczał”. Prowadząca zwróciła mu uwagę, że przecież nikt nie krzyczy

– Niestety, PiS nauczył ludzi brania pieniędzy. Obniżył i tak już niskie zaufanie do instytucji publicznych i pokazał im, że lepiej żyć, będąc na łasce PiS. Boję się, że w tym roku, by wygrać wybory, ta władza znowu będzie chciała zdobyć poparcie ludzi, rzucając kolejne łaskawe oferty. Na przykład powiedzą tak: wiemy, że trudno się dostać do lekarza, bo przez 25 lat tę służbę zdrowia niszczone i nam się nie udało tego w ciągu ostatnich 7 lat poprawić. Będziemy próbować, a na razie damy wam po 2 tys. zł rocznie na rękę, by sobie prywatnie każdy mógł w razie czego skorzystać z lekarza. To będzie jawne przekupstwo. Ale zadziała.

Proszę nie patrzeć na nas jak na partię rolną, czuję się rzecznikiem spraw, których PiS nie załatwił. Widzę, jak np. supermarket wyciągają ludziom z kieszeni pieniądze, narzucając ceny z kosmosu. Widzę brak dostępnych cenowo mieszkań dla młodych. I to jest nierozwiązany przez trzy dekady problem społeczny. Dostrzegam brak szkolnych gabinetów dentystrycznych dla dzieci i młodzieży, które PiS też obiecywał, i leczymy się w prywatnych gabinetach za ciężkie pieniądze. Widzę brak żłobków w całej Polsce, co uważam za wielki problem, którym trzeba się zająć od razu po wyborach. Nie akceptuję rozbieżności płacowych między mężczyznami a kobietami pracującymi na tych samych stanowiskach.

Mocno rozbudowujemy kontakty z miejskimi politykami i działaczami. W Katowicach dołączył do nas były wice-marszałek województwa świętokrzyskiego czy kilku samorządowców niezwiązanych z rolnictwem. W Krakowie działa z nami wykładowca i doktorant z Akademii Górniczo-Hutniczej. W Warszawie mocno zaangażowana jest Natalia Żyto związana od zawsze z mediami czy Karina Kozłowska, właścicielka gabinetów stomatologicznych. Przedstawianie Agrounii jako grupy tylko i wyłącznie rolników walczących jedynie o wieś to duża pomyłka.

Na naszym pierwszym kongresie w Warszawie był Piotr Ikonowicz, blogerka Maja Staśko, przedstawiciele ruchów miejskich jak Janek Śpiewak oraz ekipa ze związków zawodowych. A nasz program ekonomiczny współtworzy Jan Zygmuntowski, który jest znanym ekonomistą nowego pokolenia.

Atakuje pan od lewa do prawa ludzi i firmy. Minister Marzenę Maląg, wiceministra Janusza Kowalskiego, europoła Patryka Jakiego, senatora Polski 2050 Burego, Orlen, Biedronkę, Grupę Azoty... Ile ma pan procesów?



– W sumie niewiele jak na taką działalność. Grupę Azoty nazwałem złodziejami i to potwórzę. Bardzo mocno wykorzystali sytuację i według mnie zawyżyli ceny nawozów z korzyścią dla siebie. Przecież to wprost przyczyniło się do wzrostu inflacji i drenowania kieszeni wszystkich Polaków. To była kradzież pieniędzy rolników i należy to nazwać po imieniu.

A scenariusze na wybory? Idziecie samodzielnie czy z kimś?

– Idziemy sami, ale nie wykluczamy sojuszy. Jesteśmy gotowi do budowy własnego środowiska, ale to wykuvanie drogi w kamieniu. Jeśli będziemy szanowani przez inne partie i dojdzie do odpowiednich rozmów, to może powstać szeroki blok przeciwko PiS.

Jedna lista?

– Nie, to błąd, co pokazały wybory na Węgrzech. Dwie są bardziej racjonalne.

I wtedy Agrounia z Hołownią i PSL-KP?

– Nie robię teraz takich przymiarek, rozmowy na pewno byłyby trudne.

One będą trudne, bo macie słabą pozycję przetargową. Sondaże nie dają wam szans na samodzielne wejście do Sejmu, dlatego nie chcą z wami rozmawiać.
– Rozmawiają bardzo chętnie, a co do sondaży – zamawiają je też same partie i są publikowane w mediach. Jakiś czas temu jedna z pracowni dawała nam w połowie listopada 0,7 proc., po dwóch tygodniach 0,9, a w styczniu 2 proc. Idziemy w górę. My też robimy swoje badania i one wyglądają bardzo obiecująco, ale nie podam wyników, bo to byłoby PiS na rękę.

Bo?

– Mamy największy potencjał, by przejąć część wyborców PiS, bo jest nam do nich najbliżej. Mówię o środowiskach wiejskich i takich, które coś ze wsią mają wspólnego, oraz wszystkich Polakach, którzy przeszli traumę lat 90. Jesteśmy dla PiS największym zagrożeniem, bo jesteśmy konsekwentni i skuteczni. Przyczyniliśmy się do odsunięcia ze stanowiska już niejednego ministra rolnictwa z PiS.

Jakieś hasło wyborcze?

– Za wcześniej. Dopinamy obecnie program społeczno-gospodarczy, mamy setki postulatów i zdiagnozowanych spraw do pilnego załatwienia. Na przykład wprowadzenie w całej Polsce planów zagospodarowania przestrzennego. To dotyczy nie tylko wsi, ale także miast, gdzie buduje się bloki jeden obok drugiego, gdzie nie ma miejsca na parki, skwery czy place zabaw. Plany powinny być w całej Polsce, a jedna z komórek rządowych powinna stworzyć instytucję, która będzie gminom pomagała te plany zrealizować, by gmina nie mogła powiedzieć, że nie robi planów, bo są za drogie. Polskę trzeba zmieniać od podstaw, a nie od dachu. Kosiniak czy Tusk mówią dużo o konieczności budowania energii odnawialnej na polskiej wsi. A człowiek na wsi nie rozumie, czego chcą, i myśli, że znowu chcą mu coś pod płotem postawić. Obawia się, że biogazownia będzie mu śmierdziała, a wiatrak szumiał. Przecież ludzie na wsi poparli PiS także dlatego, że ten obiecał, że nie będzie wiatraków na wsiach.

Jeśli te wybory wygra obecna opozycja i zacznie bez odpowiednich konsultacji stawiać biogazownie i wiatraki, to PiS tak podburzy ludzi, że nowa władza się nie pozbiera. Powiedzą, że może za ich czasów prąd był drogi, ale oni Polaków szanowali. PiS słuchał ludzi i mówił ich głosem. Bo PiS jest na miarę straumatyzowanego społeczeństwa, któremu można było obiecać i rzucić dwie kadencje. Ale to już przestaje działać, 500+ to już norma i wielu ludzi oczekuje już czegoś więcej.

PSL nie słuchał?

– Nie słuchał. Mieli grupę działaczy, którzy przejmowali władzę w regionach i ro-

PiS obniżył zaufanie do instytucji publicznych i pokazał ludziom, że lepiej żyć, będąc na łasce partii

bili swoją partykularną politykę. Ale ja od dzielam ten starszy PSL od nowego, chcę wierzyć, że Kosiniak-Kamysz nada tej partii nową twarz.

Czyta pan czasem komentarze w internecie na swój temat? „Mąciiciel, pęd do władzy, największy szkodnik polskiej wsi, celebryta...”.

– Jeśli ktokolwiek to pisze, to zapewne ludzie związani z władzą powtarzają te same hasła. Czasem to mi się chce nawet śmiać. Kiedyś występowałem w Polsacie News, obok mnie siedział wiceminister rolnictwa Krzysztof Cieciora. Miał przed sobą karteczki, a tam wielkimi literami było: „Mów, że krzyczę”. I on faktycznie tak mówił, aż prowadząca zwróciła mu uwagę, że przecież wcale nie krzyczę.

Przed jednym z programów telewizyjnych zaapelowałem do znanego mi posła, byśmy się na antenie nie atakowali, tylko merytorycznie rozmawiali. A on mi na to: ale ludzie lubią, jak sobie skaczymy do oczu. I taka jest prawda – media zauważają afery, awantury, a nie spokojną debatę. Zdaję sobie sprawę, że nas zauważono, bo zablokowaliśmy autostradę, spaliliśmy opony na środku Warszawy, tak się przebiłmy do mainstreamu. Tylko tak mogliśmy wyjść z cienia i sprawić, by nasz głos został usłyszany.

Kiedy rozmawialiśmy w 2021 roku i pytałem, czy Agrounia ma struktury, ilu członków, skąd macie finanse na prowadzenie działalności, to pan nie odpowiadał. A dziś?

– Odpowiem. Mamy struktury w każdym województwie, najbardziej rozbudowane są na Lubelszczyźnie, Śląsku, w Wielkopolsce, w Kujawsko-Pomorskiem, Łódzkiem, Świętokrzyskiem. Kluczowym okręgiem wyborczym będzie okręg radomski, bo wokół takich miejsc będzie decydował się wynik wyborów. Kolejne biura otworzymy w Olsztynie, Kielcach, Siedlcach, Sieradzu, Opolu – dzielą nas od tego dni.

A finanse?

– Utrzymujemy się z drobnych datków od sympatyków, pieniądze wydajemy z głową. Na przykład nasz lokal w Warszawie jest w piwnicy – choć odremontowaliśmy go własnym sumptem i teraz jest z klasą, płacimy za niego miastu niewiele ponad tysiąc złotych miesięcznie. Pieniądze są potrzebne, ale nie trzeba milionów, by osiągnąć swój cel.

W tej kampanii zmierzycie się z PiS, który ma ogromne fundusze własne i rządowe obietnice dla ludzi. Bez pieniędzy będzie trochę trudno.

– Nie mówię, że będzie łatwo. Ale po prostu nie mamy dużych pieniędzy i nie mamy

skąd ich wziąć. Nasze finanse są transparentne, fundacja, na bazie której działaliśmy, do rejestracji partii ma wszystko wyliczone w swoim sprawozdaniu.

Nie obawia się pan tego, co spotkało Polskę 2050, której sprawozdanie finansowe zostało odrzucone i posłużyło to politykom PiS i telewizji TVP do ataków na Szymona Hołownię?

– Trzeba być wariatem, by się nie bać w tym kraju. Boję się, kiedy po proteście Agrounii podchodzi do mnie dwóch policjantów, którzy nie pokazują legitymacji, tylko wpychają mnie do samochodu i gdzieś wiozą.

Tak było?

– Dwa miesiące temu w Lublinie, gdzie protestowaliśmy przeciwko niekontrolowanemu napływowi zboża z Ukrainy. Była wtedy ostra interwencja policji. Próbowałem tym tematem zainteresować opozycję, ale wszyscy się boją ruszyć, tylko mówią: Ukraina walczy. Ale nam nie chodzi o to, by nie pomagać Ukrainie, tylko by ktoś zapanował nad tym chaosem – zboże miało tylko przez Polskę przejechać do krajów trzecich, a nie zostawać tu w magazynach, psując polski rynek.

Ale obserwatorzy pana działalności zauważają dziwne postaci kręcące się wokół Agrounii w rodzaju sierot po antyunistycznej, antynatowskiej, komunistyczno-narodowej partii Zmiana czy niszowych prorosyjskich działaczy komunistycznych. Nierzadko mniej lub bardziej – jak przedstawiciele portalu Sputnik – powiązanych z Rosją. Współpracowaliście z organizatorem Marszów Niepodległości Robertem Bąkiewiczem, a na demonstracjach Agrounii bywali narodowiec Robert Winnicki, eksksiądz, narodowy radykał Jacek Międlar i skazany za palenie kukły Żyda Piotr Rybak.

– Kiedy kilka lat temu przyszli do mnie na demonstrację Rybak i Winnicki, to nie miałem pojęcia, co to za ludzie. Od chyba trzech lat nie mam z nimi żadnego kontaktu, ale ciągle w sieci latają nasze wspólne zdjęcia.

A te moje niby prorosyjskie znajomości to są pogłoski rozsiewane i powielane przez ludzi związanych z PiS albo takich, którzy źle życzą opozycji. Kiedy zaczęły się nasilać, sam zgłosiłem się do ABW, by zbadali moje powiązania z Rosjanami. Byłem przesłuchiwany, a na końcu panowie z ABW powiedzieli, że niczego nie znaleźli. Ale kiedy poprosiłem o dokument, który by to potwierdzał, to go nie dostałem. Bo to jest politycznie PiS nie na rękę.

Jakiś czas temu dziennikarka w Radiu ZET pytała mnie o mój handel z Rosją. Ow-

szem, 10 lat temu moja rodzina wysyłała ziemniaki do Rosji. To jest wyciąganie starych historii z zupełnie innej rzeczywistości, by robić złą atmosferę wokół Agrounii. Podobnie w internecie ciągle wypomina mi się wypowiedzi o tym, że musimy handlować z Rosjanami, albo moje wystąpienie w Sejmie o tym, że PiS skłócił nas z Rosją. Tylko że to było w innej rzeczywistości, przed inwazją! A nikt nie mówi, jak bardzo zaangażowaliśmy się w pomoc dla uchodźców z Ukrainy, jak wyszukiwaliśmy dla nich domy w całej Polsce. Żeby było jasno, krótko i zwięźle – jestem całkowicie po stronie Ukrainy.

A moją motywacją bycia w polityce jest stanie po stronie ludzi pracy oraz pilnowanie, by nikt Polakom nie wchodził na głowę. Chciałbym, by ludzie odzyskali na elementarnym poziomie poczucie przewidywalności i zaufania do instytucji publicznych oraz dobra wspólnego, byśmy mogli rozmawiać, debatować bez obrzucania się inwektywami. I by w końcu ucywilizować handel – bo tylko to da gwarancje uczciwych cen dla konsumentów z miast i wsi. A za cztery lata Polska ma być pokryta planami zagospodarowania przestrzennego, ponieważ jeszcze niedawno objętych nimi było tylko 31,4 proc. powierzchni naszego kraju. A to musi być jak najszybciej sto procent – by ten, który chce zamieszkać na wsi, miał pewność, że pod nosem nikt mu chlewni nie postawi. Ale też by ten, który ma już chlewnię, nie obawiał się nowego sąsiada, który będzie go gnębił z powodu brzydkich zapachów z chlewni. Reguły mają być jasne.

PiS ma dwie mocne nogi na te wybory: telewizję publiczną, która cały czas robi antyopozycyjną kampanię, i Kościół, którego przedstawiciele w większości popierają partię Kaczyńskiego. Jak pan, katolik, ocenia rolę Kościoła w naszej polityce?

– Jestem chrześcijaninem, katolikiem, który dba o swoją wiarę, ale szanuję ludzi, którzy mają inne wartości. Nie chciałbym nikomu mówić, jak ma postępować, nie wchodzę ludziom do ich łóżek. Nigdy nie będę politykiem niczych sumień. Agitacja, jaka odbywa się w kościołach, bardzo mi się nie podoba.

W gminie Wróblew niedawno odbyły się jasełka przygotowane przez dzieci. I przyjechali posłowie PiS, to wyglądało, jakby specjalnie dla nich to było zrobione. A po mszy na ambonie wystąpił senator PiS. To się wiernym w lokalnych wspólnotach nie podoba, to się podoba tylko wyznawcom PiS. Na pewno dla mieszkańców wsi ma znaczenie, co powie proboszcz, ludzie mają szacunek do Kościoła. Stoi za nim tradycja, historia, kultura, bez tego nie da się w Polsce z sukcesem robić polityki. Ale przesada zawsze jest niezdrowa. Jeśli chcemy dotrzeć do byłych wyborców PiS, którzy dziś mają wątpliwości, to nie możemy potępiać tych, którzy posłuchają księdza i zagłosują pod jego wskazania. Ale Kościół zrobił duży błąd, dając się sprywatyzować Prawu i Sprawiedliwości.

Sprywatyzować?

– Przecież wiadomo, kto przyznaje fundusze, np. na naprawę kościołów, wiadomo, ile zależy od posła partii rządzącej. Czasem to są bardzo trudne decyzje dla proboszczów. PiS zbudował sobie przełożenie władzy na wiele spraw. I wiele osób ma pretensje do Kościoła, że dał się tak zawłaszczyć. A PiS cynicznie szkodzi Kościołowi, wie, że to się wielu ludziom nie podoba, ale robi to dla własnych celów. I straszy, że kiedy opozycja zdobędzie władzę, to kościoły pozamyka. ●

Usunęli mnie z partii, bo zwołałem w remizie zebranie rolników – niezależnych PiS nie potrzebuje

Owsiak łączy ludzi

I dla prawicy, i dla lewicy jest „zbyt”

Marcin Matczak*



Jest z nami gorzej, niż mogłoby się wydawać. Dzieli nas już nie tylko szkodenie sobie, ale i pomaganie, a hejt staje się odpowiedzią nie tylko na zło, ale i na dobro. Ludzi tak drażni cnota, że muszą ją zmieszać z błotem. Chodzi oczywiście o WOŚP, która w normalnym społeczeństwie powinna być traktowana jak cud. Ponad trzydzieści lat funkcjonuje u nas przedsięwzięcie charytatywne, które bez względu na to, kto rządzi, dostarcza do szpitali według szacunków co piątą sztukę sprzętu ratującego nasze zdrowie i życie. Ale nie. Przecież taka nasza natura, że nawet cuda u nas nie mają prawa się udać.

Tak przynajmniej wynika z gadaniny politycznych ideologów, którzy naprawdę wszystko potrafią spieprzyć. Rozumiem hejt płynący ze strony PiS-u, niezadowolonego ze wszystkiego oprócz samego siebie. To ludzie z tendencjami autorytarnymi, a tacy nienawidzą inicjatyw oddolnych. Dlaczego? Bo są dowodem, że społeczeństwo nie zawsze potrzebuje rządu, może niezależnie myśleć i działać, i że nie jest zdane na jego łaskę. A rząd z tendencjami autorytarnymi chce, by zdane było. By błagało o pomoc, którą dobry premier da, było posłuszne, niezaradne i głupie (vide PiS-owskie pomysły na edukację). Bo im bardziej jest niezaradne i głupie, tym bardziej rząd wydaje się zaradny i mądry.

Autorytarna władza jest narcystyczna. Nienawidzi, gdy ludzie podziwiają kogoś innego, jest zazdrosna o rząd dusz. Dziwne, że w Polsce nie ma jeszcze ustawy, zgodnie z którą szacunek i pomniki należą się wyłącznie osobom o nazwiskach Kaczyński i Morawiecki, a podziw dla kogokolwiek innego jest w najlepszym wypadku nieznaną historią (według podręcznika Roszkowskiego oczywiście), a w najgorszym zdradą. Dlatego PiS nie ustaje w obalaniu niepisowskich autorytetów. Przecież nie może tak być, że ludzie podziwiają Wałęsę, Kapuścińskiego czy Owsiaka. To groźne dla jedności narodu, który ma podziwiać tylko wodza i jego przodków, zmierzając w stronę niedosięgniętego ideału Korei Północnej.

To, że PiS atakuje WOŚP, wynika więc z jego DNA. Bardziej zadziwiające jest to, że podobnie krytykuje WOŚP lewica. Dwie tak, zdawałoby się, odmienne formacje, myślą w tej sprawie jednakowo. Czyż to nie jest frapujące? Może nie – po prostu obie tak samo wierzą w potęgę państwa i słabość jednostki.

Lewica krytykuje WOŚP jako inicjatywę ośmieszającą państwową służbę zdrowia (!). Bo skoro trzeba państwu pomagać, to znaczy, że jest to państwo słabe, „państwo ze zrzutki”. Tym samym, mówi, kształca się błędne myślenie, że to inicjatywy prywatne, nie państwowe, mają odpowiadać za nasze zdrowie. Poza tym Owsiak jest nieprawidłny – tu znowu podobieństwo do krytyki PiS. Dla prawicy zbyt progresywny obyczajowo („róbta, co chceta”), dla lewicy zbyt liberalny gospodarczo: kiedyś powiedział, że polska służba zdrowia po-

trzebuje planu Balcerowicza. Nie wspomnę o lewicowym argumente, że to ludzie, nie sprzęt, ratują życie. Jest jasne przecież, że najlepsze pogotowie ratunkowe docierałoby do pacjenta na piechotę, boso, wyposażone jedynie w słowo pociechy.

Dlatego podobnie jak PiS rolę Orkiestry lewica pomniejsza, a jej inicjatywy upupia. Kluczowym argumentem, pod którym i jedni, i drudzy ochoczo się podpisują, jest teza, że pomoc WOŚP to kropla w oceanie, którym jest miliardowy budżet NFZ. Cóż znaczy te rekordowe 240 milionów złotych Orkiestry w porównaniu ze 140 miliardami (plan na 2023 r.), które wydaje na zdrowie NFZ? „Niech się bawią” – mówią jednym głosem PiS i lewica. „My tu mamy poważną politykę do zrobienia”.

Nie ma chyba bardziej propagandowego i głupszego argumentu. Używający go (PiS, ale także co do zasady doceniający WOŚP Rafał Bakalarczyk w „Krytyce Politycznej”) nie mówią ludziom, że z tych 140 miliardów NFZ wyda 66 nie na sprzęt, ale na finansowanie procedur w szpitalach. Że po 16 miliardów wyda na refundację leków i lekarzy rodzinnych, że sfinansuje programy lekowe i wiele innych działań, które nie mają nic wspólnego z kupowaniem sprzętu. Bo NFZ nie jest właścicielem szpitali. Właścicielem większości są samorządy, zwłaszcza w czasie rządów PiS głodzone finansowo, co zmusiło je do pójścia do TK ze skargą na to, że rząd zadania chętnie na nie przesuwa, a pieniędzy nie daje.

W efekcie, jak wynika z analiz Business Insider, WOŚP finansuje nie promil, ale nawet jedną czwartą sprzętu, który trafia do szpitali. To więcej niż Unia Europejska: jak wynika z raportu NIK, finansowanie sprzętu z funduszy UE wynosiło około 50 milionów rocznie w latach 2007-13, a WOŚP na ten cel zbierała w tym czasie ponad dwa razy więcej. Nawet Ministerstwo Zdrowia nie mówi o promilach, ale w odpowiedzi na mój tweet o 25-procentowym wkładzie WOŚP napisała, że w 2022 r. wydatki ministerstwa na budynki, remonty i sprzęt wyniosły 2 miliardy złotych. To i tak daje WOŚP ponad 10 procent, nie promil udziału. A jak odjąć te remonty i budynki, to na sam sprzęt wyjdzie bez wysiłku 25 procent.

Żeby lepiej to zrozumieć, posłużmy się metaforą. Gdyby NFZ płacił nie za ochronę zdrowia, ale za transport ludzi, do niego jako płatnika zgłaszałiby się usługodawcy z własnymi samochodami. Tak robią szpitale – muszą mieć odpowiedni sprzęt, żeby dostać kontrakt. W naszej metaforze NFZ nie kupowałby więc samochodów, a jedynie płacił za usługę świadczoną przez kierowcę i za paliwo. Na to szłyby miliardy złotych. Oczywiście dla osób, które korzystają z usług transportowych, jakość samochodu jest ważna. Lepszym i nowocześniejszym jeździ się wygodniej i bezpieczniej. Ale w świecie NFZ kontrakt dostanie także ktoś ze sprzętem starszym i gorszym, byleby spełniał wymogi minimalne. Konkluzja jest jasna: da się dojechać do celu nawet przestarzałym czy zdezolowanym autem, ale lepiej jest podróżować do życia wypasionym inkubatorem. Da się ustalić trasę za pomocą starej mapy, bez nawigacji. Lepiej jednak wybrać najlepszy szlak diagnostyczny z pomocą tomografu, który bardziej przypomina Teslę niż Seicento. Po to właśnie gra Orkiestra – cud, na który najwyraźniej nie zasługujemy. ●

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



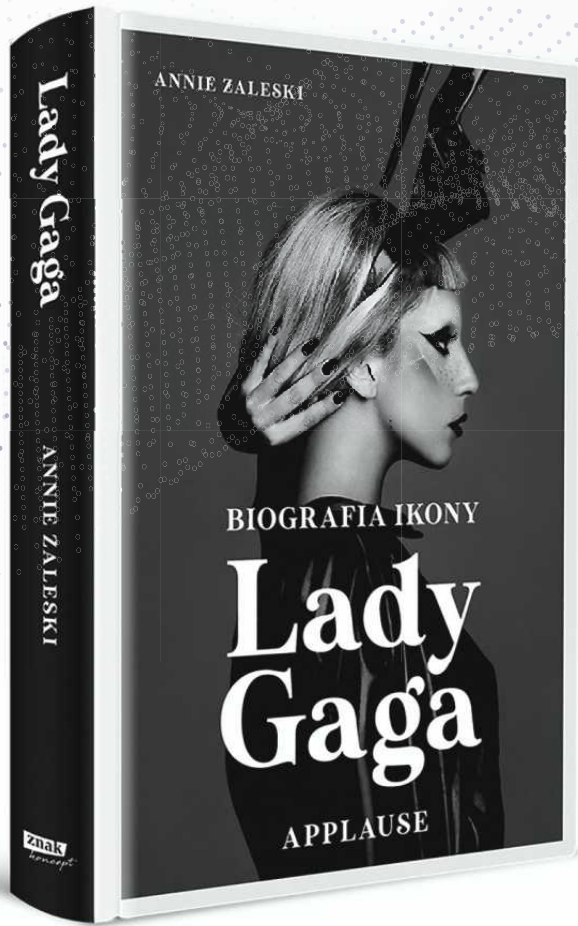
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki Annie Zaleski „Lady Gaga. Applause. Biografia ikony”



Wizerunek Gagi jest szokujący i nierzadko bulwersujący, ale tak naprawdę to szalenie pracowita i wytrwała artystka, która skutecznie realizuje wszystkie swoje wizje i plany. Dzięki jej biografii dowiemy się, kim się inspirowała, jak konsekwentnie budowała swoją legendę i jaką cenę płaci za sukces.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Annie Zaleski „Lady Gaga. Applause. Biografia ikony” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

AZ23LPA

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 4.02.2023 r. do 5.02.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34231784

Informuję, że nie będę starać się o reelekcję i że moja kadencja premierki skończy się nie później niż 7 lutego – ogłosiła pod koniec stycznia, nieco łamiącym się głosem, szefowa rządu Nowej Zelandii Jacinda Ardern. Rozbłyśły flesze, a trzymającym dyktafony dziennikarzom opadły szczęki: jedynym newsem, którego najstarsi parlamentarni wyjadacze spodziewali się po konferencji premierki, była data wyborów parlamentarnych. Zaufanie do Ardern co prawda w ostatnim roku mocno spadło – „gwiezdny pył” z pierwszej kampanii przez pięć i pół roku rządów zdążył się zetrzeć, a nałożone przez nią covidowe restrykcje przez wielu były uważane za zbyt surowe – ale dalej była najpopularniejszą polityczką swojej partii i jej największą, choć bynajmniej nie pewną, szansą na trzecie zwycięstwo. Nie było też żadnych przecieków co do jej

CZWARTY HACZYK

**Lśniąca mityczna Jacinda – latarnia morska dla świata –
potyka się o prawdziwą premierkę**

Katarzyna Wężyk

rastała w małej miejscowości, bardziej znanej z hodowli krów niż politycznych liderów, w liceum dorabiała, sprzedając z okienka rybę z frytkami, a jeszcze w parlamencie okazjonalnie didżejowała na imprezach. Jej rodzice są mormonami, ale Ardern na studiach uznała, że nie może być członkinią religii, która dyskryminuje gejów – w tym jej współlokatorów – i odeszła; dziś jest agnostyczką. Do Partii Pracy wstąpiła w wieku lat 17, po studiach pracowała w biurze nowozelandzkiej premierki Helen Clark oraz brytyjskiego premiera Tony’ego Blaira. Była wolontariuszką w nowojorskiej kuchni dla bezdomnych i szefową Międzynarodowego Związku Młodzieży Socjalistycznej.

W kampanii wyborczej obiecywała walkę z biedą wśród dzieci, liberalizację ustawy aborcyjnej, oczyszczenie rzek i zbudowanie tysięcy domów, na które ludzie będzie stać (Nowa Zelandia zajmuje drugie miejsce na świecie, jeśli chodzi o koszty mieszkań). Per-

• **Premierka**
Jacinda Ardern z wizytą
w Singapurze, maj 2019 r.

FOT. YONG TECK LIM/AP

decyzji ani żadnych skandali, które mogłyby zmusić najbardziej znaną nowozelandzką polityczkę w historii do ustąpienia z urzędu. To dlaczego odchodzi?

Rządzenie krajem, powiedziała Ardern, to przywilej, ale też ogromne wyzwanie. I nie można tego robić, jeśli rządzący nie ma pełnego baku plus rezerwy na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. – Wiem, czego ta praca wymaga, i wiem też, że nie mam już dość paliwa, by odpowiednio ją wykonywać. I to wszystko.

Jacinda Ardern zaistniała, przynajmniej na globalnej scenie, w lipcu 2017 roku, gdy lider Partii Pracy Andrew Little na dwa miesiące przed wyborami nieoczekiwanie oddał stery swojej zastępczyni. Podobno zgodziła się dopiero za siódmym razem; zdążyła też powiedzieć prasie, że jest zajęta remontem domu i zostanie liderką laburzystów tylko wtedy, jeśli całe kierownictwo wpadnie pod autobus. Według oficjalnej wersji dała się prosić tak długo, bo władza

nie była jej ambicją ani celem, a poza tym właśnie zamierzała zwolnić tempo i skupić się na powiększeniu rodziny. Z drugiej strony, patrząc realistycznie, Little oddał Ardern nie tyle koronę, co gorący kartofel, więc nie dziwnego, że się wahała: laburzyści przegrali wybory, i to solidnie, trzy razy z rzędu, i wszystko wskazywało na to, że w podobnym stylu przerzną też i czwarte.

Nowej liderce udało się jednak nie tylko zewrzeć partyjne szeregi, ale i przekonać rodaków i rodaczki – a także media, które rozpiszywały się o jacindamanii – że ma im do zaoferowania coś nowego, świeżego i atrakcyjnego. Laburzyści dostali w kampanii rzecz najcenniejszą – tzw. momentum (impet, rozpęd) – i przez dwa miesiące zyskali aż 19 punktów procentowych poparcia. W wyborach wzięli 37 procent głosów: co prawda mniej niż centroprawicowa Partia Narodowa, ale to Ardern udało się stworzyć koalicję. Mocno egzotyczną, bo centrolewica dogadała się z nacjonalistyczną i populistyczną partią New Zealand First – jej lider

Winston Peters jest taką trochę mniej ekstremalną nowozelandzką wersją Janusza Korwin-Mikkego – i liberalnymi Zielonymi.

We wrześniu 2017 roku 37-letnia Ardern została najmłodszą premierką na świecie, a jednocześnie nową nadzieją globalnej lewicy. Jej anty-Trumpem: progresywną młodą kobietą, która siłą spokoju zwalcza seksizm i samą swoją obecnością na szczytach władzy rzuca wyzwanie patriarchalnym normom. Jej Barackiem Obamą z czasów, gdy uosabiał nadzieję i zmianę, nie ostrożność i centryzm. Jej Justinem Trudeau 2.0: polityczką równie charyzmatyczną, ale bez narcyzmu boskiego Justina oraz jego szkieletów w szafie (w przeciwieństwie do premiera Kanady nie pochodzi z politycznej dynastii i nie ma zdjęć w blackface). „Zrób to dla nas wszystkich”, zagrzewał ją w kampanii ówczesny lider brytyjskiej Partii Pracy Jeremy Corbyn.

Biografię Ardern ma modelową: klasowo słuszną, a jednocześnie wystarczająco cool, by zainteresować młodszych wyborców. Do-

fekcyjnie zgasła radiowego mizogina, który zapytał ją o plany reprodukcyjne, „bo jako jej pracodawca ma prawo je znać”. Odparła, że sama odpowie, bo jako polityczka się na takowe pytania otworzyła, ale w 2017 roku jest niedopuszczalne, żeby pracownice musiały się spowiadać ze swojego prywatnego życia. A niespełna cztery miesiące po wyborach wrzuciła na swojego Instagrama zdjęcie trzech wędkarskich haczyków (jej partner, Clarke Gayford, ma program wędkarski): dwóch dużych i jednego małego, informując jednocześnie rodaków i rodaczki, że w czerwcu powiększy jej się rodzina. Przez następne tygodnie ze stoickim spokojem odpowiadała na pytania o poranne mdłości i godzenie rządu z ciążą: „Jestem ciężarna, nie ubezwłasnowolniona. Jak każdy, kto kiedykolwiek znalazł się w tym stanie, radzę sobie”.

Po poście z haczykami na jacindamanii zapadł cały świat. Premierka! W ciąży! Dopiero druga w historii! W kraju, który pierwszy przyznał kobietom prawa wybor-

cze! „Vogue” wydrukowało pełen zachwy-
tów profil, Stephen Colbert zaprosił do pro-
gramu, a nader pochlebne artykuły w tonie
„czy możecie ją nam pożyczyć?” pojawiły się
w wielu bardzo odległych od Nowej Zelan-
dii mediach. Zirytowani dziennikarze no-
wozelandzkiego portalu Spinoff aż przygo-
towali poradnik, jak napisać profil Ardern
(„I. Upewnij się, że wszyscy wiedzą, gdzie le-
ży Nowa Zelandia. Nie w sensie geograficz-
nym, ale kinowym. Nazwij ją Śródziemiem.
Nie zapomnij napisać, że jest kobietą, któ-
ra jest w ciąży. (...) 3. Koniecznie użyj sło-
wa jacindamania. Dodaj, że jest w ciąży. (...) 9.
Wspomnij o Helen Clark, a potem zrób
sprostowanie, gdy nieuchronnie, ale błędnie
nazwiesz ją pierwszą premierką Nowej Ze-
landii. Ciąża”).

21 czerwca 2018 roku Ardern urodziła
córkę – „witamy w naszej wiosce, malutka”,
napisała na Instagramie – która dostała imię
Neve Te Aroha (Aroha po maorysku ozna-
cza miłość) i jako trzymiesięczne niemow-
lę pojechała z mamą i tatą na sesję ONZ do
Nowego Jorku. Ogarniał ją Gayford, który
zawiesił swoją telewizyjną karierę, by zająć
się dzieckiem. „Jeśli mogę zmienić sposób,
w jaki myślimy o łączeniu macierzyństwa
z karierą, będę zadowolona, że coś osiągnę-
liśmy”, powiedziała premierka, wywołu-
jąc kolejne zachwyty w liberalnych i lewico-
wych kręgach, zwłaszcza tych za granicą.

A kilka miesięcy później białe ekstre-
mista w dwóch meczetach w Christchurch za-
strzelił 51 osób i zranił 49.

Wśród wyzwiań, które wydrenowały
jej bak, premierka wymieniła atak
terrorystyczny, katastrofę natural-
ną i globalną pandemię. Każde z nich byłyby
dramatycznym sprawdzianem przywództ-
wa dla politycznego lidera. Ardern wszyst-
kie trzy testy zdała, i to w stylu radykalnie
różnym od tego, do którego przyzwyczaili
nas politycy płci męskiej, w tym zwłaszcza
ówczesny prezydent USA Donald Trump czy
ówczesny premier Wielkiej Brytanii Boris
Johnson. Zamiast prżenia muskulów, ma-
chania szabelką i dramatycznych, a pustych
gestów dała obywatelom transparentną
komunikację, szybkie i zdecydowane działa-
nie, a przede wszystkim empatię.

Po największej masakrze w nowoze-
landzkiej historii – zamachu w Christ-
church z 15 marca 2019 roku – pojechała na
miejsce zdarzenia i powiedziała po prostu
„Oni są nami”. Oni, czyli imigranci i muzuł-
manie, którzy, jak dodała, zamieszkali w No-
wej Zelandii, bo w tym kraju nie ma miejsca
na nienawiść i rasizm, tylko różnorodność,
uprzejmość i współczucie. „Może i wybrałeś
nas”, powiedziała, zwracając się do pocho-
dzącego z Australii zabójcy, „ale my cię cał-
kowicie odrzucamy”.

Media obiegły zdjęcia premierki w hidża-
bie przytulającej członków rodzin ofiar, ofe-
rującą własne ramię do wypłakania się, płą-
czącej razem z nimi. Emanowała z nich, no
właśnie, empatia, sprawiała wrażenie natu-
ralnych ludzkich gestów w obliczu nie-
wyobrażalnej tragedii, nie występu wyre-
żyserowanego przez sztab pijarowski. „Jej
zachowanie było imponujące, ale też po-
przeczką w polityce jest zawieszona nisko”,
podsumował „Guardian”.

Ardern nie poprzestała jednak na współ-
czuciu i pocieszaniu: sześć dni po zama-
chu ogłosiła, że wprowadzi zakaz posiada-
nia – użytej przez terrorystę – broni półau-
tomatycznej i dużych magazynków. Tydzień
później uchwalił go parlament. Rekordo-
we tempo zaimponowało zwłaszcza ame-
rykańskim liberalom, przyzwyczajonym, że
po każdej z regularnych strzelanin polity-
cy oferują ofiarom wyłącznie „myśli i modli-
twy”, a rodaków przekonują, że najlepszym
remedium na szaleńca z bronią w ręku jest
dobry człowiek z jeszcze większym karabi-
nem. Amerykańska prawica uznała zaś Ar-
dern za totalitarystkę.

Pod koniec 2019 roku Nowa Zelan-
dia przeżyła kolejną żalobę, tym razem po
22 ofiarach wybuchu wulkanu na wyspie
Whakaari. W mediach już zaczęły się poja-
wiać informacje o nowym wirusie w chiń-

skim mieście Wuhan, ale mało kto je re-
gularnie śledził. Trzy miesiące później CO-
VID-19 rozprzestrzenił się po całym świecie,
a kraje w panice zaczęły wprowadzać mniej
lub bardziej surowe procedury mające na
celu zatrzymanie pandemii.

Nowozelandzkie należały do tych najsu-
rowszych. 19 marca premierka ogłosiła, że
zamyka Nową Zelandię dla wszystkich poza
obywatelami i stałymi rezydentami, a sześć
dni później wprowadziła ogólnokrajowy
lockdown. Ardern postawiła na otwartość,
transparentność i znowu, empatię: w co-
dziennych briefingach podkreślała, że w tak
trudnym okresie najważniejsza jest dobroć,
troska i wzajemna pomoc, i mobilizowała
ludzi – „pięciomilionowy zespół” – do zno-
szenia uciążliwych restrykcji dla wspólnego
dobra, a zwłaszcza dla dobra najsłabszych.
Jej „masterclass kryzysowej komunikacji”
docenili rodacy i rodaczki – 9 na 10 popiera-
ło lockdown, a 6 na 10 premierkę – złasz-

wać kapitalizm inwigilacji, albo wszystkie
trzy jednocześnie. Najbardziej przekonani
domagali się nowych procesów norymber-
skich i szubienic dla premierki i jej rządu za
zbrodnie przeciwko ludzkości, konkretnie
lockdowny, szczepienia i odebranie dostępu
do broni szturmowej. Jej spotkania z oby-
watelami były coraz mniej bezpieczne: dwu-
krotnie protestujący gonili za jej samocho-
dem, wykrzykując, że jest nazistką.

W lutym nowozelandzcy antyszczepion-
kowcy – zainspirowani kanadyjskim konwo-
jem, który na kilka tygodni zablokował Ot-
tawę – zajęli grunty pod parlamentem. Oku-
pacja potrwała do marca, a interwencja po-
licji zmieniła się w regularną bitwę: pro-
testujący, skandując „spalić go!”, rozpali-
li przed parlamentem ogniska, a policjanci
odpowiedzieli gazem łzawiącym i gumowy-
mi kulami.

W 2022 roku policja poinformowała, że
przez ostatnie trzy lata liczba gróźb karal-

Nazwała polityka opozycji „aroganckim fiutem”. Przeprosiła go potem, a podpisaną przez oboje transkrypcję obrad wylicytowano na 100 tysięcy dolarów – na leczenie raka prostaty

cza że przez pierwszy rok koronawirus zabił
w Nowej Zelandii tylko 25 osób.

Wybory w 2020 roku partia Ardern wy-
grała w cuglach: było to największe wy-
borcze zwycięstwo od ponad sześciu de-
kad, do tego pozwoliło jej stworzyć rząd bez
konieczności dobierania koalicjantów, co
w nowozelandzkiej polityce też się raczej
nie zdarza.

A potem wyborcy i media zaczęli roz-
liczać premierkę z wyborczych obietnic.
A balon z napisem „Jacinda Ardern” zaczął
coraz bardziej tracić powietrze.

Nie odchodzę, bo to jest ciężka praca.
Gdyby to był powód, zapewne zrezy-
gnowałabym po dwóch miesiącach!
Ochodzę, bo z tak uprzywilejowaną rolę
związana jest odpowiedzialność. Odpowia-
dasz za to, by wiedzieć, kiedy jesteś właściwą
osobą, by przewodzić, ale też kiedy nią nie
jesteś”, deklarowała premierka na konferen-
cji prasowej. Przez ostatni rok coraz więcej
jej rodaków zaczęło uważać, że Ardern
już nią nie jest. Inflacja, niebotyczne ceny
nieruchomości – z zapowiedzianych 100
tysięcy tanich domów rząd Ardern zbudował
raptem kilkaset – ekologiczne regulacje,
które dla rolników były zdecydowanie zbyt
restrykcyjne, a dla aktywistów klimatycz-
nych zgola zbyt małe. Wszystko to wywo-
ływało rosnące niezadowolenie. I spadki
w sondażach.

Międzynarodowa popularność Ardern
też przestała być atutem: rodacy skarżyli się,
że premierka lansuje głównie własną mar-
kę, a Nowa Zelandia, o której czytają w za-
granicznych mediach, niewiele ma wspól-
nego z rzeczywistością. „Łsniąca mityczna
Jacinda – latarnia morska dla świata – poty-
ka się o prawdziwą premierkę, która zma-
ga się z kryzysem klimatycznym, rozpadają-
cą się infrastrukturą, dysfunkcyjnym syste-
mem opieki zdrowotnej i mieszkaniową hi-
perinflacją”, podsumował pisarz Danyl Mc-
Lauchlan.

Przez ostatni rok uaktywnili się też prze-
ciwnicy szczepień. Nowa Zelandia może
i okazała się odporna na COVID-19, ale nie
na covidowe teorie spiskowe. Według czę-
ści z nich Ardern jest agentką Światowe-
go Forum Ekonomicznego, które – w zależ-
ności od tego, który filmik z żółtymi napisami
włączysz na YouTube – ma dążyć do glo-
balnego ekonomicznego tapnięcia, zaprowa-
dzić powszechny marksizm, zainstalo-

nych wobec premierki wzrosła trzykrot-
nie; ośmioro ich autorów odpowiadało za
nie przed sądem. Zmienił się też ich język:
od sugestii przeszedł do bezpośrednich we-
zwań do morderstwa i gwałtu.

Podglebiem nienawiści była też oczywi-
ście stara dobra mizoginia. Bo nawet w tak
równościowym kraju jak Nowa Zelandia
seksizm ma się nieźle w przestrzeni publicz-
nej. Ardern nasluchiwała się pytań o plany re-
produkcyjne i protekcyjnych zachwy-
tów nad „uroczą” szefową rządu, usłysza-
ła, że jest „ładną komunistką” i „ciotką Cin-
dy”, do tego oczywiście jest zbyt niedoświad-
czona, zbyt despotyczna, zbyt emocjonal-
na, no i jak zamierza godzić bycie rodzicem
niemowlęcia z rządzeniem krajem (nie wie-
dzieć czemu, nikt nie zastanawiał się, jak
poradzi sobie będący w podobnej sytuacji
Boris Johnson). Wisienką na torcie było py-
tanie na niedawnej konferencji prasowej,
czy spotyka się z premierką Finlandii San-
ną Marin, bo obie są kobietami w podob-
nym wieku. Nie wytrzymała – z tego, co wie-
my – tylko raz, podczas debaty parlamen-
tarnej: myśląc, że ma wyłączony mikrofon,
nazwała polityka opozycji „aroganckim fiu-
tem”. Przeprosiła go potem, a podpisaną
przez oboje transkrypcja obrad została wy-
licytowana za 100 tysięcy dolarów. Dochód
przeznaczono na fundację zajmującą się ra-
kiem prostaty.

O ile mniej lub bardziej zawoalowany
seksizm w debacie publicznej był zapewne
irytujący, to zawartość niektórych forów in-
ternetowych mogła już przerazić. Disinfor-
mation Project w opublikowanym w sierp-
niu ubiegłego roku raporcie z monitorin-
gu ekstremizmu w sieci zauważa, że po roz-
pędzeniu okupacji parlamentu język rady-
kalnych kanałów na Telegramie zmienił
się z antyszczepionkowego na mizoginic-
zny. „Mizoginia, która nie jest jedynie nie-
nawiścią do kobiet, ale karaniem i próbą
kontrolowania tych, które rzucają wyzwa-
nie męskiej dominacji, jest niezwykle po-
tężnym narzędziem”, przypominają auto-
rzy i autorki. Ardern – szefowa rządu, femi-
nistka i agnostyczka, kobieta, która zamiast
siedzieć z dzieckiem w domu, symbolicz-
nie wykastrowała swojego partnera, który
został głównym opiekunem ich córki – jest
oczywiście głównym celem internetowych
mizoginów. Najczęściej używanym na Tele-
gramie w jej kontekście słowem było „cunt”
– pizda – a najczęściej stosowanym obra-

zem akcesoria czarownicy. A już od czasów
„Malleus Maleficarum” wiemy, że „czarow-
nicy żyć nie pozwolisz”, co zresztą też znaj-
duje odzwierciedlenie w powtarzających
się na radykalnym Telegramie słowach klu-
czach: 14 z 29 śledzonych przez Disinfor-
mation Project było związanych z morder-
stwem lub egzekucją.

Sama Ardern do mizoginicznej nagonki
się nie odniosła. „Wiem, że będzie wiele dys-
kusji na temat tego, jaki był tak zwany praw-
dziwy powód mojego odejścia. Zapewni-
am, że właśnie ten: politycy są ludźmi. Dajemy
wszystko, co możemy, tak długo, jak może-
my, a potem nadchodzi czas, by odejść. Dla
mnie on właśnie nadszedł”.

Kusi, by ująć karierę Ardern w ramy
campbellowskiej Drogi Bohatera (a
raczej, wreszcie, bohaterki): prostej
dziewczyny z prowincji, która usłyszała, że
jest wybrańczynią predysponowaną do rze-

czy wielkich, po pewnych oporach podjęła
quest, pokonała liczne potwory, sprostowała
nadludzkie wyzwaniom, a teraz, mądrzej-
sza o zdobyte doświadczenie, wraca do
domu. Tyle że nie zostaje się najważniejszą
polityczką w państwie, jeśli tak naprawdę
nie pragnie się władzy – nawet jeśli konse-
kwentnie emanuje się empatią, ożywczym
dystansem do siebie i demonstracyjnym
brakiem ego. Jej biografka Madeleine Chap-
man przyznała, że nie podejmuje się odpo-
wiedzieć na pytanie, czy Ardern do władzy
wniosło szczęście i umiejętności komunika-
cyjne, czy raczej jest ona brutalną polityczną
wyjadaczką, która dokładnie wiedziała, jak
wejść na szczyt, zachowując reputację osoby
cieplej i ludzkiej.

Ardern znakomicie się sprawdziła w kry-
zysach: potrafiła szybko podejmować poten-
cjalnie niepopularne i mające ogromne kon-
sekwencje decyzje, i zazwyczaj były to de-
cyzje słuszne. Umiała je też rodakom wyja-
śnić w sposób, który, przynajmniej począt-
kowo, minimalizował opór. Jej metody ko-
munikacji z wyborcami powinni studiować
aspirujący liderzy i liderki: Ardern ominęła
filtr tradycyjnych mediów i perfekcyjnie wy-
korzystała możliwości tych społeczności-
wych. Jej facebookowe relacje na żywo, bez-
pośrednie, naturalne – raz przerwała jej cór-
ka – skracaly dystans i budowały jej popu-
larność.

Ardern odchodzi, ale niepokonana, w sy-
tuacji, gdy sondaże nie dają jej partii wiel-
kich szans na ponowne zwycięstwo. Nowo-
zelandczycy może i są nią zmęczeni, ale na
arenie globalnej jej marka jest wciąż bar-
dzo silna. I taki „Time” już się zastanawia,
czy premierka wybierze ONZ, dużą orga-
nizację humanitarną czy może założy wła-
sną fundację.

Na konferencji prasowej Ardern zapew-
niała, że nie ma żadnych planów poza spę-
dzaniem czasu z rodziną. „Neve, mama nie
może się doczekać, żeby być z tobą, jak za-
czniesz w tym roku szkołę. Clarke, pobierz-
my się wreszcie”.

Chce, dodała, by jej dziedzictwem była
świadomość, że „można być osobą dobrą,
ale silną. Empatyczną, ale decyzyjną. Opty-
mistyczną, ale zorganizowaną. Że można
być swoim własnym typem liderki – takim,
który wie, kiedy odejść”. Na zieleńsze pa-
stwiska? ●

Odyby mieli państwo do wyboru poprawić sobie pamięć lub bez żadnego wysiłku i zastanowienia w pamięci dokonywać nawet najbardziej skomplikowanych obliczeń, to co by państwo wybrali?

A co, jeśli nie trzeba będzie wybierać?

Uniwersalną potrzebę przekraczania granic ludzkich możliwości dobrze oddaje słynna publikacja o znamienym tytule „Mały pomocnik profesora” (Professor’s little helper), która ukazała się na łamach prestiżowego „Nature” w 2007 r.

Barbara Sahakian i Sharon Morein-Zamir z Cambridge wykazały, że ich koledzy ze środowiska akademickiego stosują przepisowywanie na receptę leki, które rzekomo

w USA] albo idziesz na rozmowę o pracę – w sytuacjach, w których musisz wystąpić danego dnia, te leki będą bardzo atrakcyjne – komentowała Barbara Sahakian.

– Pragnienie usprawnienia zdolności poznawczych jest bardzo silne, może silniejsze niż w przypadku urody czy wyczynów sportowych – dodawała badaczka.

Anjan Chatterjee, neurolog z University of Pennsylvania, tak podsumowuje dominujące współcześnie podejście: „Chcemy, aby inteligentni ludzie byli tak produktywni, jak to możliwe, by uczynić życie wszystkich lepszym. Chcemy, aby ludzie osiągnęli maksymalne wyniki, a jeśli oznacza to stosowanie tych leków, to świetnie, powinniśmy mieć swobodę wyboru tego, co chcemy, o ile nie wyrządzamy komuś krzywdy”.

Farmakologia stosowana w celu poprawy wydajności może jed-

Amerykański biofizyk Hugh Herr zaproponował proste kryterium pozwalające odróżnić, kiedy możemy mówić o cyborgu. Jego zdaniem ma to miejsce, kiedy proteza nie tylko odbiera sygnały i na nie reaguje, ale również zwrotnie przesyła je do układu nerwowego.

Od czasu pionierskiego eksperymentu Warwicka dokonał się jednak olbrzymi postęp.

Jak wskazuje prof. Grzegorz Hess, neurofizjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauka pozwala już nawet na sterowanie myślami. – Powiodły się próby zastosowania sygnałów neuronalnych odbieranych za pomocą specjalnych matryc mikroelektrodowych, które pacjentom wszczepiano do obszaru kory ruchowej. Dzięki nim mogą kontrolować ruchy kursora na ekranie monitora, co umożliwia np. pisanie maili czy wiadomości, robie-

hab. Łukasz Kamiński, prof. UJ, badacz technologii wojskowych.

Jak dodaje, neuroprotezy są stosowane w coraz większej liczbie przypadków, obejmują m.in. silny chroniczny ból, zespół Tourette’a, chorobliwą otyłość, zaburzenia kompulsywno-obsesyjne i lekooporną depresję. – Duże nadzieje terapeutyczne wiąże się z wykorzystaniem nieinwazyjnej stymulacji przezczaszkowej w terapii rozmaitych uzależnień, w tym od opioidów. Z kolei neuromodulacja magnetyczna sprawdza się jako dobre uzupełnienie terapii zespołu stresu pourazowego (PTSD) – tłumaczy dr Kamiński.

Oficjalnie w USA nie można przeprowadzać eksperymentów nad usprawnianiem ludzi zdrowych. W przypadku tego typu badań mamy więc do czynienia z grą pozorów, w której pod płaszczykiem rozwoju metod terapeu-

wioralnych w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN: – Tak jak chirurgia rekonstrukcyjna przerodziła się w chirurgię plastyczną, tak techniki neuroprotezyki pewnie będą stosowane nie tylko do leczenia chorób, ale też do ulepszania zdrowego mózgu. Czas pokaże, na ile będzie to możliwe technicznie, bezpieczne, a co najważniejsze – na ile znajdzie akceptację społeczną.

W 2023 r. setki laboratoriów testują już rozmaite technologie.

– Podobnie jak smartfony i internet zmieniły sposób życia 20 lat temu, interfejsy mózg – komputer za 20 lat mogą umożliwić bardziej osobistą i bezpośrednią współpracę pomiędzy mózgiem a technologią, poprawić zdolności sensoryczne, motoryczne i poznawcze, komunikacji i mogą pomóc w lecze-

BIĄŁKO WZMOCNIŁO KRZEMEM

Za kilka lat operacje umożliwiające rozwój funkcji mózgu będą tak powszechne jak dziś operacje plastyczne

Kasper Kalinowski



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

zwiększają koncentrację i uwagę. Ich skuteczność w przypadku osób zdrowych jest niepewna, a każda zgłaszana poprawa jest tymczasowa.

Dwie naukowczynie zapytały czytelników, czy rozważyliby „zwiększenie mocy swojego mózgu” za pomocą leków. „Nature”, zachęcone ogromnym odzewem, przeprowadziło własną ankietę wśród 1400 osób z 60 krajów.

Jeden na pięciu respondentów przyznał, że stosował leki w celach niemedycznych, tylko po to, by zwiększyć skupienie, koncentrację lub pamięć. Co ciekawe, sięganie po substancje nie różniło się znacznie w poszczególnych grupach wiekowych.

Wśród tych, którzy zdecydowali się na stosowanie, najpopularniejszy był metylofenidat – 62 proc., drugi na liście znalazł się modafinil – 44 proc., a 15 proc. osób stwierdziło, że przyjmowało beta-bloker w rodzaju propranololu, co sugeruje stosowanie więcej niż jednej substancji jednocześnie.

– Załóżmy, że przygotowujesz się do SAT [ustandaryzowanego testu dla uczniów szkół średnich

nak przejść do historii. Na horyzoncie pojawiły się już nowe metody, które oferuje neuronauka.

Osobą określaną „pierwszym cyborgiem” jest Kevin Warwick, który ponad dekadę temu podłączył się do komputera przez elektrody wszczepione do nerwu w przedramieniu. Podobny implant został wszczepiony jego żonie; celem było sprawdzenie, czy dwa odrębne systemy nerwowe mogą się komunikować wyłącznie za pomocą elektroniki. Eksperyment się powiódł. – Czulem, jak machała do mnie ręką! – opowiadał Warwick. Później naukowiec korzystał jeszcze z trzeciego, mechanicznego ramienia, a także eksperymentował z szóstym zmysłem – echolokacją.

W rozmowie z „Wyborczą” mówił: „Jeśli przyjmie się bardziej fantastyczną definicję cyborga – że jest nim ktoś, kto dzięki elektronicznym dodatkom może więcej niż przeciętny człowiek, np. zyskuje dodatkowe zmysły albo nowe narzędzia komunikacji – to tak, bronilibym stwierdzenia, że byłem pierwszy”.

nie zakupów itp. Skonstruowano również interfejs pozwalający na precyzyjną kontrolę ruchów ramienia robota.

Obecnie dysponujemy już rozwiązaniami, które kojarzyły się z kartami powieści science fiction. Jak przecież zauważył Arthur C. Clarke, naukowiec i autor „Odysei kosmicznej”: „Każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii”.

Wszystko za sprawą neuronauki – jej zdobycze już odmieniły na lepsze życie wielu chorych. Obecnie naukowcy testują protezy kończyn, które nie tylko reagują na aktywność mózgu, ale również wyzwalają dotyk i wysyłają sygnały do mózgu.

– Od samego początku techniki stymulacji mózgu rozwijano właśnie w celach terapeutycznych, głównie leczenia epilepsji. Od 2002 r. w Stanach Zjednoczonych głęboką stymulację mózgu (z wykorzystaniem wszczepianych elektrod) stosuje się u chorych na parkinsona, by niwelować mimowolne drżenie kończyn – dodaje dr

tycznych prowadzone są prace nad usprawnieniem mózgów ludzi zdrowych.

Dysponujemy całym arsenałem nieinwazyjnych technik, które mogą poprawić funkcjonowanie mózgu. W tym również pamięci.

– Bezinwazyjne metody stymulacji mózgu ludzkiego można obecnie wykorzystać nie tylko w rehabilitacji, lecz także np. w usprawnieniu pamięci. Mniej znana, lecz zyskująca coraz szersze zastosowanie dzięki swojej względnej prostocie jest technika przezczaszkowej stymulacji prądem stałym (tDCS), w której kierując prąd o niewielkim natężeniu (1,5-2 mA) i odpowiednim kierunku przez korę ciemieniową bądź przedczołową, można ułatwić tworzenie asocjacyjnych śladów pamięciowych, a także wzmocnić działanie pamięci roboczej – tłumaczy prof. Grzegorz Hess.

Czy w przyszłości będziemy w stanie np. korygować nastrój czy usprawniać działanie niektórych zmysłów?

Wątpliwości nie ma dr Paweł Boguszewski, neurobiolog i kierownik Pracowni Metod Beha-

niu różnych schorzeń neurologicznych – podkreślał w ubiegłym roku na łamach „Frontiers in Systems Neuroscience” zespół ekspertów kierowany przez Nitisha Singha Jangwana oraz Mamtę Singh z indyjskiego Sardar Bhagwan Singh University.

Mamy już za sobą kilka przełomów: w przeciwieństwie do metod farmakologicznych czy przezczaszkowej stymulacji magnetycznej to inwazyjne techniki, a ich początki wiążą się z prawdziwym poświęceniem w imię nauki.

Neurolog Philip Kennedy, nazywany ojcem cyborgów, postanowił zbadać, jak funkcjonują neurony odpowiedzialne za mowę. Musiał jednak wszczepić implant osobie zupełnie zdrowej. Trudno się dziwić, że na ten eksperyment nie dostał zgody.

Operacji dokonał więc na samym sobie w Belize. Wszczepienie elektrod do kory ruchowej kosztowało go 25 tys. dol. Implant pozwolił mu zebrać dane, które wskazują na grupę 65 neuronów aktywowanych podczas produkowania (lub choćby samego wyobrażania sobie) dźwięków mowy.

Niestety, elektrody zaczęły stwarzać problemy. Lekarz doświadczał ataków padaczki, miał także kłopoty z mówieniem na skutek obrzęku mózgu. Rana na głowie nie chciała się goić, bo użył wyjątkowo dużych elektrod.

Usunięcie elektrod kosztowało go tym razem 94 tys. dol.

Sam Kennedy nie żałował eksperymentu. W jednym z wywiadów wyznał, że jest zadowolony, przez cztery tygodnie zebrał sporo danych, a ich przeanalizowanie zajmie mu dużo czasu.

Świętym Graalem technologii neurocyborgicznych jest interfejs mózg – komputer. To strefa styczności między materią organiczną i syntetyczną – twierdzi dr hab. Łukasz Kamiński.

Nad takim rozwiązaniem pracuje wielu inżynierów w Dolinie Krzemowej, z Elonem Muskem

nie tylko nie dostała jeszcze zgody na eksperyment, ale nie złożyła nawet wszystkich potrzebnych dokumentów do amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA).

Projekt Muska ma być głęboko humanitarny, a w jego oczach stanowi ostatnią deskę ratunku przed rozwojem sztucznej inteligencji. Jego rozumowanie przebiega następująco. Jeśli nie możemy pokonać sztucznej inteligencji, której możliwości zdeklasują ludzkie, pozostaje nam tylko do niej dołączyć. W porównaniu z mocą obliczeniową sztucznej inteligencji ludzki mózg zbyt wolno przetwarza dane.

Musk nie jest osamotniony. Bryan Johnson, przedsiębiorca z Doliny Krzemowej, tworzy firmę o nazwie Kernel. Twierdzi, że Kernel ma na celu zbudowanie nowej klasy „narzędzi neuronowych” w sprzęcie i oprogramowaniu. Takich, które ostatecznie pozwolą

Ponadto obecne technologie pozwalają na bezprzewodowy transfer sygnału neuronalnego, a więc pacjent z implantem nie pozostaje przywiązany do aparatury rejestrującej – uzupełnia prof. Hess.

W przypadku implantów największym wyzwaniem wydaje się glejowacenie mózgu – po 5 latach implant przestaje pełnić swoją funkcję – obrasta tkanką, przez co staje się bezużyteczny.

Jednak pokonanie tej przeszkody wydaje się tylko kwestią czasu – na MIT opracowano implant wykonany z przewodzącego polimeru, a pozostałe grupy badawcze opracowują implanty pokryte cienką biokompatybilną powłoką.

– Na styku tkanki i implantu zawsze zachodzą procesy, którymi nasze ciało chce się zabezpieczyć przed ingerencją. Ale opracowuje się biokompatybilne materiały, które mają być jak najbar-

cą stentu wprowadzanego przez naczynia krwionośne do wybranego fragmentu kory mózgowej, w którego wnętrzu umieszczono końcówki mikroelektrod rejestrujących sygnały neuronalne.

Obecnie najbardziej obiecujące są implanty do głębokiej stymulacji mózgu (DBS). Niedawno ukazała się publikacja opisująca efekt zastosowania DBS u pacjentki cierpiącej na silną, lekooporną depresję, na którą nawet nie pomogła terapia elektrowstrząsami – nadal stosowana, niezwykle skuteczna metoda. U pacjentki zastosowano urządzenie, które wykrywa charakterystyczny wzorzec pracy jej mózgu, który pojawiał się przed epizodami depresyjnymi, i tylko wtedy stymulował odpowiednie obszary, blokując symptomy. To pokazuje, jak elastyczna może to być metoda i że dzięki miniaturyzacji elektroniki i zastosowaniu sztucznej inteligencji możemy personalizować terapię – tłumaczy dr Paweł Boguszewski.

Nie powinno dziwić, że takie odkrycia naukowe szybko zostały skomercjalizowane.

– Jestem bardzo sceptyczny do tego rodzaju rozwiązań, dopóki nie wykażą skuteczności w licznych, kontrolowanych badaniach klinicznych popartych systematycznym przeglądem badań. Depresja jest bardzo różnorodnym zaburzeniem, jej łagodniejsze formy są podatne na efekt placebo i w tym można upatrywać skuteczności tego rodzaju domowych urządzeń – podkreśla ekspert.

Całkiem zaawansowane są też prace i eksperymenty nad bionicznym okiem, które przywracałoby namiastkę widzenia osobom niewidomym. Powstał już prototyp neuroprotezy nosa, która na wzór implantu ślimakowego przesyła odebrane przez elektroniczne czujniki zapachu bodźce do kory węchowej mózgu. To wielka nadzieja dla pacjentów, którzy utracili powonienie – zauważa dr hab. Łukasz Kamiński.

Jego zdaniem dzięki neuroinżynierii ludzie będą mogli odbierać i rozumieć bodźce fal magnetycznych spoza naszego biologicznego spektrum. Widzenie w ultrafiolecie lub podczerwieni oraz w ciemnościach, słyszenie infradźwięków i ultradźwięków, odczuwanie pola magnetycznego czy substytucja sensoryczna, np. czucie kolorów lub widzenie dźwięków. Nasz plastyczny mózg potrafi się przeinstalować i odpowiednio dostroić.

Przyszłość wydaje się należeć do podłączania mózgu do syntetycznych sensorów i obdarzania człowieka nowymi zmysłami. W 2019 r. złożony z wybitnych naukowców panel ekspertów Pentagonu stwierdził, że do połowy tego wieku oko i ucho cyborga dojrzą na tyle, że będą mogli być w nie wyposażani żołnierze.

– Nad rozwojem militarnych interfejsów neuronalnych pracuje amerykańska Agencja ds. Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych (DARPA). W 2015 r. przeprowadzono eksperyment z udziałem sparaliżowanej pacjentki, do której kory ruchowej wszczepiono uprzednio neuroprotezę z 96 elektrodami. Dzięki niej mogła poruszać robotycznym ramieniem. Następnie podłączono ją do symulatora lotów, w którym

udało jej się latać myśliwcem F-35. Dwa lata później inny pacjent zdołał myślokierować trzema pojazdami równocześnie – dodaje dr hab. Łukasz Kamiński.

Modifikowanie mózgu wiąże się ze zbyt dużymi zyskami, aby prace pozostały w murach uniwersytetów. Badania gigantów biznesu służą wyłącznie zyskom i, w przeciwieństwie do publikacji naukowych, nie mamy wglądu w ich przebieg. Podobnie jak w przypadku prac prowadzonych przez sektor obronny. To tylko jedno z wielu zagrożeń.

– O ile jeszcze do niedawna było regułą, że postępy prac badawczych nad budową i zastosowaniem interfejsów mózgu – komputer publikowano w recenzowanych czasopismach naukowych, o tyle obecnie badania prowadzone są coraz częściej niejawnie, a ich rezultaty ogłasza się w trakcie publicznych wystąpień bądź w postaci spektakularnych materiałów wideo. Ta tematyka wyraźnie jest przejmowana przez firmy komercyjne – zauważa prof. Grzegorz Hess.

Mózg to również siedziba osobowości, świadomości i tego, kim jesteśmy. – Korzyści, jakie płyną z rozwoju tego rodzaju technik, są ogromne. Zagrożenia wydają mi się mocno wyolbrzymione – jeżeli ktoś się obawia, że tego rodzaju techniki będą służyć do kontroli ludzi, to już obecnie wiemy, że są dużo tańsze i skuteczniejsze metody, takie jak kontrola informacji w mediach społecznościowych i środkach masowego przekazu – uspokaja dr Paweł Boguszewski.

Być może ryzyko wiąże się z zastosowaniem sztucznej inteligencji oraz kwestiami etycznymi. Szczególnie jeśli chodzi o zastosowanie militarne.

– Najpoważniejsze ryzyko wiąże się ze sprzęgniętymi z algorytmami sztucznej inteligencji interfejsami wyposażonymi w funkcję stymulowania mózgu. To systemy zamkniętej pętli – skanują i monitorują aktywność neuronalną i gdy tylko wykryją zapowiedź nieprawidłowych wzorców świadczących np. o zbliżającym się pogorszeniu nastroju, depresji, spadku koncentracji, osłabieniu zdolności zapamiętywania, automatycznie aktywują elektrody, które optymalizują pobudzą prądem odpowiedni obszar mózgu – mówi dr hab. Łukasz Kamiński.

Algorytmy zintegrowane z neuroprotezami przejmują wówczas częściowo kontrolę nad człowiekiem: zapobiegają spadkowi jego wydajności, jeszcze zanim osoba zda sobie z tego sprawę. Rozgrywa się to poza świadomością. Rzuca to nie tylko gigantyczne wyzwania idej człowieczeństwa, autonomii i wolnej woli, ale także odpowiedzialności.

– Jeśli bowiem decyzja, którą podejmę, i jej konsekwencje, nie są w pełni „moje”, ponieważ mój stan kognitywny i emocjonalny został zmieniony przez zintegrowany ze mną interfejs, to czy mogę zostać pociągnięty do odpowiedzialności za szkodliwe skutki moich czynów? Jeśli zoptymalizowany w ten sposób dowódca wyda rozkaz, w wyniku którego dojdzie do złamania prawa humanitarnego, to czy poniesie pełną odpowiedzialność? A jeśli nie on, to kto? Przecież nie algorytm... – podsumowuje dr hab. Kamiński. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu „Jutronauci”, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi się zmienić szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

dzień naturalne dla tkanek, ale z zachowaniem funkcjonalności – wyjaśnia dr Paweł Boguszewski. – Doskonali się metody implantacji, tak by nie uszkadzać mózgu. Co więcej, dzięki zastosowaniu technologii inżynierii genetycznej jesteśmy już w stanie zastąpić metalowe elektrody za pomocą światła – optogenetyka już wykazała swoją skuteczność, pozwalając w eksperymentalnych terapiach przywracać częściowo wzrok po uszkodzeniach siatkówki.

– Innym problemem jest kwestia inwazyjności implantowania matrycy mikroelektrodowej do mózgu, co wiąże się z koniecznością wykonania zabiegu neurochirurgicznego polegającego na wykonaniu otworu w czaszce i przebiciu się przez opony mózgowe. Obecność implantu często wywołuje uraz i reakcję zapalną tkanki nerwowej, co – pomijając inne objawy – wiąże się z zablokowaniem możliwości odbioru sygnału z komórek nerwowych – wskazuje prof. Hess. – Interesującą alternatywą wydają się zakończone sukcesem próby rejestracji aktywności sygnałów neuronalnych za pomo-

mózgowi robić rzeczy, których nigdy wcześniej nie robił.

Spełnienie wizji Doliny Krzemowej wciąż jednak napotyka liczne ograniczenia.

Zasadniczym problemem są ograniczenia techniczne związane z koniecznością równoczesnego odbioru aktywności możliwie jak największej liczby komórek nerwowych, a następnie przesłania tych sygnałów do komputera i ich analizy w czasie rzeczywistym tak, aby sygnał mógł zostać wykorzystany do sterowania urządzeniami zewnętrznymi. Pierwsze działające interfejsy mózgu – komputer wykorzystywały matryce zbudowane ze 100 mikroelektrod, a sygnały były przesyłane do aparatury rejestrującej za pomocą wiązki kabli – podkreśla prof. Grzegorz Hess.

Postęp jest jednak niezwykle dynamiczny. – Ostatnie doniesienia mówią o działających matrycach zbudowanych z tysiąca, a nawet dwóch tysięcy mikroelektrod, co pozwala na znacznie dokładniejszy i niosący więcej informacji zapis aktywności kory mózgowej.

FOT. GETTY IMAGES



Do kory ruchowej sparaliżowanej pacjentki wszczepiono neuroprotezę z 96 elektrodami. Dzięki niej mogła poruszać robotycznym ramieniem. Następnie podłączono ją do symulatora lotów, w którym udało jej się latać myśliwcem F-35

i jego projektem Neuralink na czele. W sterylnych laboratoriach opracowywany jest interfejs mózg – maszyna – technologia. W grudniu Musk zapowiedział, że w ciągu pół roku zachipuje ludzki mózg, łącząc go z komputerem. Chip miałby zostać wszczepiony pacjentom z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Podobne obietnice składał jednak rok temu, a także dwa i trzy lata temu. Jego firma

STASYS EIDRIGEVIČIUS W ZACHĘCIE

LOS
LUDZIKA

Sny i lęki bywają upiorne, jak na miniaturce przedstawiającej człowieczka kroczącego po równoważni, którą jest krawędź żyłki.

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI



• Wyspa, pastel, papier, 1991 FOT. ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI

• Zając, węgiel, pastel, 1988

FOT. ZACHĘTA
NARODOWA GALERIA
SZTUKI



• Stasys
Eidrigevičius

FOT. IGNACY
EIDRIGEVIČIUS

Dopiero może w tej chwili, wchodząc na wystawę około stu dzieł podzielonych na kilka obszarów, uzmysławiamy sobie, jak obszerne kawał naszej wyobraźni zawdzięczamy Stasysowi.

ZDANIE BREŻNIEWA

Wystawa w Zachęcie jest fragmentaryczną prezentacją 50-lecia pracy twórczej Stasysa Eidrigevičiusa, który urodził się w 1949 roku w Litwie, w Miediniskiai niedaleko Poniewieża, a od 43 lat mieszka głównie w Polsce. Kiedy chodząc z nim po wystawie, pytam ze świadomą, prowokacyjną prostodusznością, czy czuje się Litwinem, czy Polakiem, odpowiada, że raz jednym, raz drugim, a najczęściej jednym i drugim, a przede wszystkim ponadgranicznym artystą. A kiedy po pierwszych wyjazdach z Litwy, m.in. na Biennale Ekslibrisu do Malborka, wyjeżdżał z rodziną do Polski, wyruszał po prostu w świat. Po wolność wypowiadzi i życia.

„W radzieckiej Litwie – mówi – o wolność było trudno. Kiedy odbywałem służbę wojskową w Armii Czerwonej, w czymś w rodzaju oddziału kultury i propagandy, ja, artysta po wileńskiej Akademii Sztuk Pięknych, wypełniałem rozkazy, by namalować ładnie jakieś zdanie Lenina, Marksa czy Breżniewa. Żeby nie zwariować, po kryjomu malowałem własne rzeczy, o których nikt nie mógł wiedzieć, bo by mi je zabrano, a ja sam bym trafił pod sąd. Malowałem więc miniatury, na najmniejszej dostępnej płaszczyźnie – na pagonach od starych żołnierskich mundurów”.

SNY I LĘKI

Publiczna, zawodowa już twórczość Stasysa zaczęła się więc od miniatur. Po pagonach przyszła kolej na ekslibrisy, te – jak kiedyś sam je określił artysta – „plakaty dla pojedynczego odbiorcy”, które zostały dostrzeżone na pierwszych wystawach w Polsce, i niewielkie pastelowe i akwarelowe „obrazki” czy „plakiety”. Małeńkie, barwne, ma-

ją w sobie pieczęć Stasysowej oryginalności: tę brawurowo prowadzoną opowieść, którą łatwo by było nazwać surrealistyczną, a która na jakichś indywidualnych, baśniowo-dziecięcych zasadach powstaje na zapleczu widzianej i domysłnej historii, zawierając mądrość rzeczywistości rozgrywającej się pomiędzy widzeniem, snem, litewską tradycją a artystyczną brawurą malarza.

Myślę, że to właśnie jest źródłem zadziwienia, w jakie wprawia sztuka Stasysa: samoistna, symboliczna (czyli niewytłumaczalna słowami) wyobraźnia, za którą nadaje sprawcza wirtuozeria. Zadziwia to, co pomyślane, i to, co narysowane. Niepowtarzalne sceny i geniusz ich przedstawiania.

Wielopostaciowa i wielobarwna siła tych zagadkowych, jątrzących opowieści i twarzy, które Stasys maluje dziesiątkami, setkami, drążąc w człowieku jak w zastanej, przyrodzonej masce, wita zwiedzających na początku wystawy, w pierwszej sali, gdzie na małych plaketkach śledzimy sny, które snują się w wyobraźni, a w cyklu portretów (masek), próbujemy

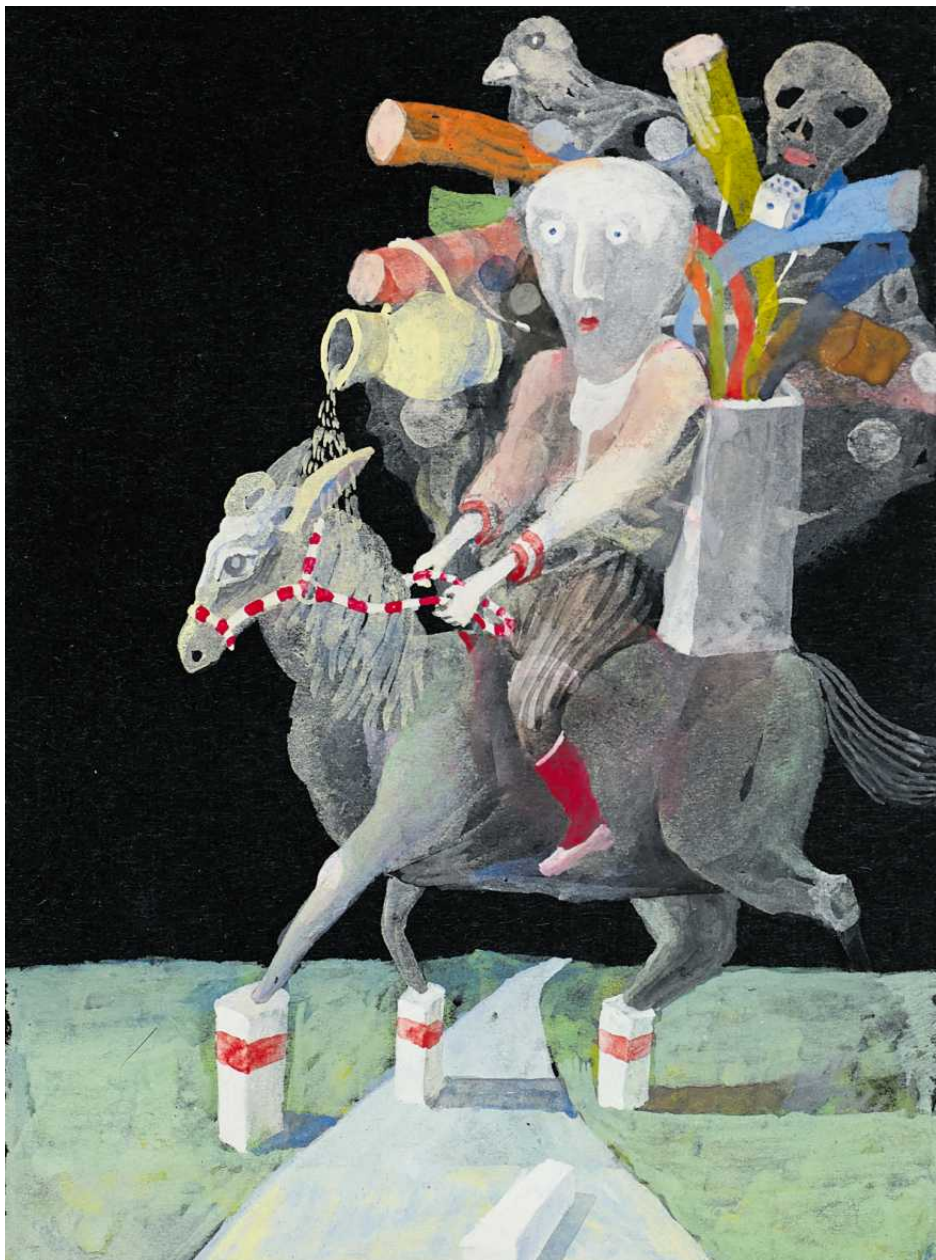
zglebić różnorodnego, wciąż tego samego człowieka, który patrzy nieprzerwanie jednakowym wzrokiem dziecka o oczach zaokrąglonych z wyleknienia i zdumienia. Z niepewności, jak świat przyjmie jego nieobliczalnie ukrytą twarz i tożsamość. Sny i lęki bywają upiorne, jak na miniaturce przedstawiającej człowieczka kroczącego po równoważni, którą jest krawędź żyłki, a niepokojąca mroczność jest cechą wielu przedstawień artysty. Była też w przeszłości wyróżnikiem wielu ilustracji Stasysa, stawiających pytanie o ich odpowiedność dla wrażliwości dziecka.

PIESEK

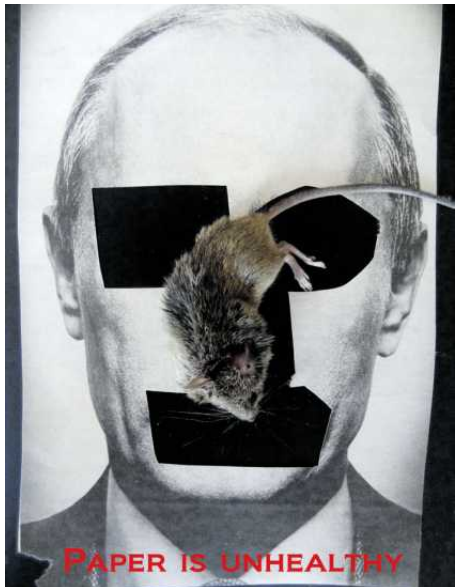
Nie jest ta cieniasta aura niektórych prac artysty nieuzasadniona. Stasys opowiadał mi kiedyś o swoim samotnym, biednym dzieciństwie na litewskiej wsi. Między innymi o tym, że jako chłopczyk chciał mieć przyjaciela, więc prosił rodziców o pieska. Eidrigevičiusów nie było stać na taki luksus, kupowali więc synkowi do zaprzyjaź-



• **Monolog, fotografia, 2001** FOT. ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI



• **Podróżny, tempera, 1975** FOT. ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI



• **Paper is unhealthy, digital print, 2014** FOT. ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI



• **Flaga, instalacja, 1990** FOT. ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI



• **Air, maska z paper mache, 2003** FOT. ZACHĘTA NARODOWA GALERIA SZTUKI

nienia świnkę, która po jakimś czasie była zabijana na mięso.

Nie da się pokazać w trzech wielkich salach wszystkich dziedzin twórczości Stasy Eidgevičiusa, wśród których są przecież plakaty i ilustracje (artysta jest uważany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli obu gatunków na świecie), fotografie, scenografie i działania teatralne, instalacje, rzeźby, maski otulone w korzenie wykarczowanych drzewek („Smutki”), kolaże, rysunki prasowe, wiersze... W mądrej, czulej, ale też racjonalnej i przejrzystej prezentacji, która jest dziełem kuratorskim Ignacego Eidgevičiusa, syna artysty, w drugiej sali umieszczone są gatunki pośrednie i osobne. Między innymi słynna, dramatyczna lub (zależy od lektury) propozycyjna scena zszywania polskiej flagi rozszczepionej na taśmę białą i taśmę czerwoną czy pomnik pinokiewskiego dziecka, które wpatruje się w chmury (dziwnie podobny do Pałacu Kultury). Nos Pinokia wydaje się stworzony przez Carlo Collodiego specjalnie dla Stasy – tak wiele nieoczywistych, znaczących zastosowań znaj-

duje dla niego artysta w plakatach, ilustracjach, fotografiach czy w scenografii teatralnej.

LUDZIK NA LITWIE

Trzecia, najmniejsza sala, nasączona wątkowym światłem, tłumaczy tytuł wystawy – „!Reakcje”. Jest w niej antywojenny tryptyk z wykreowaną makabrycznie maską Putina, diabłem i trupa czaszką. Jest w niej przedstawienie dwóch wież nowojorskich z witruiarisko, może chrystusowo, rozpiętym między nimi człowiekiem, wpadającym do studni ziemi, tragicznej rozpadliny, która 11 września 2001 roku pogrzebała tysiące ludzi. Czyż instalacja ta nie mogłaby stać się w Nowym Jorku lub gdziekolwiek indziej jako upamiętnienie tamtej zbrodni i jej ofiar? Jest wreszcie w ostatniej sali poruszająca fotografia poświęcona więźniom obozu w Terezie – dwóch nagich mężczyzn w niemożliwym uścisku, leżących na dwupiętrowej strukturze przypominającej obozowe łóż-

ko. Przejmujące przeniesienie fascynacji męskim ciałem, której Stasy uległ w bardzo dojrzałym już wieku, na współprzeżywanie z cierpiącymi i wstydliwą pieśczęcią ginących.

Ludzik Stasy z dawnych rysunków alegorycznych w „Polityce”, z ekslibrisów, plakatów, masek, kiedy częściej obecny w przestrzeni publicznej niż teraz, jeszcze kilkanaście lat temu prawie wszechobecny na słupach i ścianach, był jednym z motywów, które najsilniej ukształtowały nasze imaginarium. Z czasem artysta uwolnił go z tradycyjnych formatów i poddał eksperymentom, także teatralnym. Litwa odzyskuje dziś i tego ludzika, i Stasyowskie eksperymenty z własną wrażliwością, wizyjnością, manualną brawurą, stawiając dla jego sztuki w Poniewiezu osobne centrum sztuki, muzeum Stasy. Stasy również, jak sam przyznaje, odzyskuje z biegiem lat swoją Litwę i litewskość. Mówi to z perspektywy artysty niemal kultowego w wielu krajach (Japonia, Włochy...), który rozbudowuje swoją sztukę nieokreślonych sensów o przedstawienia protestu, buntu,

bardziej bezpośrednio przemawiających form i znaczeń.

Co do mnie, od lat najważniejszym przeżyciem, jakie zawdzięcza Stasyowi, jest wydana w Japonii książka „Crescent moon” – na wskroś metaforyczne, poetyckie metamorfozy księżyca – naszego przyjaciela, uczestnika ludzkiego i zwierzęcego losu. Wśród ilustracji tej książki, która domaga się polskiego wydania, jest przedstawienie staruszki, która szuka w nim własnego portretu z czasu, kiedy była młoda i piękna; osamotnionej panny młodej, której księżyc służy jako wieszak dla wydrwionego welonu; dymu z wiejskiego komina, który nie chce ulecieć na zawsze, więc wtula policzek w wewnętrzną stronę globu zwanego nieprecyzyjnie srebrnym. Tych przedstawień nie znajdziemy teraz w Zachęcie, podobnie jak wielu, których trzeba sobie po prostu poszukać i znaleźć. ●

Stasy Eidgevičius: !Reakcje. Narodowa Galeria Sztuki Zachęta, pl. Małachowskiego 3, wystawa czynna do 11 kwietnia 2023, od wtorku do niedzieli 12-20

I yć w Rosji jest ciężko i podle. Taka jest prawda”. Stwierdził to Aleksander Hercen, 1812-70, filozof, pisarz. Mówił o swojej wciąż feudalnej epoce i wiedział, że tak w jego kraju było od wieków. Wiele się później zmieniło, lecz zacofany system polityczny, społeczny i gospodarczy w dużym stopniu odtwarza zasady i mechanizmy feudalizmu z czasu Hercena i wcześniejszych.

„Rosja to bez wątpienia kraj szczególnie, jak to lubią podkreślać kremlowski ideolodzy, jednak trudno zauważyć choćby jedną sferę, w której taka odrębność (...) odróżniała go na korzyść od pozostałych narodów. (...) Rosja w całej swej rozciągłości była, a i pozostaje dzisiaj peryferiami rozwiniętego świata”.

Tak pisze ekonomista i politolog Władisław Inozimcew w książce „Nienowoczesny kraj”. Wyszła ona na kilka miesięcy przed 24 lutego 2022 r.

Od tego momentu każdy kolejny miesiąc tej wojny udowadnia wszechstronne zacofanie Rosji, która to, co nowe, przyjmowała z zewnątrz i z opóźnieniem, bo nie tak chciała nowego, jak bardzo nie chciała tracić starego.

Stalinowskie piatiletki, pięcioletnie plany gospodarcze, miały skończyć z wielowiekowym zacofaniem. Przemysł powstał, zacofanie zostało. To chroniczne zapóźnienie cywilizacyjne, za które bita Rosja biła i bije innych. Za to, że im się udawało, a jej nie. Teraz się odgrywa na Ukrainie, która się wyrwa z sowieckiego i rosyjskiego zacofania.

Inozimcew: wszystko „formuje obraz Rosji jako jedynego imperium w świecie, ob-raz swego rodzaju dinozaura, który rządzeniem losu dożył czasów, gdy wszyscy przedstawiciele podobnych gatunków już dawno wymarli”. Dlaczego? Przecież nie tak było od samego początku. W książce Inozimcewa nie ma omówienia wieków mongolsko-tatarskiego zniewolenia, przez wielu uważanego za przyczynę zacofania Rosji.

Jej historia nie zaczynała się źle. Ruś Kijowska, z której wywodzą się Rosja, Ukraina i Białoruś, nie była zacofana, kiedy mongolscy chanowie podbili ją w XIII wieku. Już od IX wieku był to wielki, bogaty kraj, przejmujący cywilizację z Bizancjum. W porównaniu z tym, czym tysiąc lat temu była na tle Europy Ruś, obecna Rosja Putina wypada na naszym kontynencie fatalnie.

Ruś Kijowska znalazła się w strasznym imperium. Zostawiło ono Rosji system brutalnej władzy i nawyk podbojów, czyli „zbierania ziemi ruskiej”, którą w pewnym okresie była Alaska i przedmieścia dzisiejszego San Francisco. A całkiem niedawno faktyczne władztwo Moskwy sięgało Łaby.

Federacji Rosyjskiej to zbieranie właśnie się przestało udawać.

Rosja to przede wszystkim państwo. Nie tyle kraj, ziemia, ludzie, lecz właśnie państwo, władza, unikalna polityczna nadbudowa. Jego istnienie w rosyjskim wykonaniu służyło i służy do uzasadnienia prawa władzy do gnębienia i wykorzystywania ludności i dysponowania posiadanymi zasobami. Nie w imieniu i nie dla dobra ludzi, lecz w imieniu i dla dobra państwa.

Tej zasady – pisze Inozimcew – nigdy nie wolno było podważać, a „obronę państwa przedstawiano jako najwyższą wartość we wszystkich epokach – nawet wtedy, gdy wszelka logika wskazywała, że władza zasłużyła na to, by ją obalić, a reżim – by go zdemontować”.

Gosudarstwo, państwo, staje się bytem sakralnym, ale mającym bardzo konkretne interesy i to niekoniecznie sformalizowane, bo tak poręczniej je realizować. Przykład jeszcze z XVII wieku. Car Aleksiej zarządził, by go nie nachodzono z prośbami i skargami, kiedy się udaje na nabożeństwo. A jeśli ktoś ten zakaz naruszy, czeka go kara.



Adam Michnik poleca

Z KIM GRANICZY ROSJA? Z KIM ZECHCE

W porównaniu z tym, czym tysiąc lat temu była Ruś na tle Europy, Rosja Putina wypada fatalnie.

Ernest Skalski

Było to w epoce, w której Europa miała rozbudowane systemy prawne. Przestrzegane lepiej czy gorzej, lecz były. Miała je także Ruś Kijowska. Państwo moskiewskie i rosyjskie, we wszystkich jego wcieleniach, odbiegało od cywilizowanych standardów, traktując jak wrogów własnych poddanych i wrogo zewnętrzny świat.

Barszczina, pańszczyzna, dominowała w gospodarce surowcowej, polegającej na zajmowaniu i eksploatowaniu nowych terenów i ich zasobów oraz na zmuszaniu ludności do wyczerpującej pracy. A praca tradycyjnie ceniona jest w Rosji niż niż zasoby i często traktowano ją jako darmową.

Podstawą siły roboczej był wówczas muzyk, dusza, chłop, stopniowo zniewalany przez barina, feudalnego właściciela ziemi, na której poddany mieszkał. Od właściciela małego mająteczku do cara.

W feudalnej Europie chłopcy byli glebae adscripti, przypisani do ziemi, będącej własnością feudała. Stawali się jego poddany- mi z tego tytułu i byli zobowiązani do różnorodnych świadczeń, niekoniecznie pańszczyzny. Majątkami handlowano, dziedziczono je lub darowano, razem z poddanymi. W Rosji handlowano chłopami.

Nie było targów, na których każdy mógł kupować ludzi. Coś w tym jednak musiało być, że poddanych nazywano „duszami”. Państwo miało komórkę pilnującą, by w majątkach nie dochodziło do zabójstw i aktów sadyzmu, bo wychodziły na jaw takie ekscesy. Nie tyle szło przy tym o dobro chłopów, ile o strach przed buntami.



■ Kazań, rok 2005, przygotowania do obchodów 1000-lecia miasta

FOT. SERGEY PONOMAREV/AP

W polskich królewskich chłopi byli traktowani lepiej niż u dziedziców. W Rosji chłopom cara, który był największym latyfundystą, było gorzej. Puszkina pisał o Petersburgu, że lubi ten twór Piotra I, a Mickiewicz przypomniał w „Dziadach”, że w mokradła, na których powstała stolica, car wbił sto tysięcy pali i tyłuż chłopów.

● ● ●

Piotr I surowo pilnował przestrzegania swojego prawa. Szlachcic, jeśli go państwo potrzebowało, przez całe życie zobowiązany był służyć państwu, w wojsku lub na urzędzie. Po Piotrze szlachta załatwiała sobie u kolejnych monarchów skracanie tego okresu. A Katarzyna II całkowicie zniosła obowiązek służby, wyrażając przy tym nadzieję, że szlachcic będzie się jednak poczuwał do obowiązku wobec państwa.

Poczuwano się różnie. Jedni wybierali na stałe karierę wojskową czy cywilną. Na ogół wypadało być oficerem przez jakiś czas i nie awansując na wyższe stopnie, osiąść w swoim majątku, utrzymując się wyłącznie z pracy poddanych. Powstały warunki dla istnienia warstwy żyjącej wyłącznie z pracy chłopów.

Minęły dwa wieki po Piotrze, gdy zaczął rządzić Lenin. „Kto nie pracuje, ten nie je” – to była jego zasada, wzięta z „Listu do Te-saloniczan” św. Pawła.

Carska Rosja wyróżniała się w świecie paszportami zagranicznymi. A w ZSRR zaczęło się wprowadzanie paszportów, które były po prostu dowodami osobistymi. Pierwsi dostali je mieszkańcy Moskwy i Leningradu, potem stolice republik związkowych itd.

Studiując w ZSRR (1952-57, rok w Rostowie nad Donem, cztery lata w Moskwie), zorientowałem się, że ta kolejka została zatrzymana, zanim doszła do mieszkańców wsi. Wieśniak mógł wyjeżdżać tylko ze sprawką, zaświadczeniem miejscowej władzy, że mieszkający tu i tu udaje się tam i tam, na taki i taki czas, w takiej i takiej sprawie. Bez paszportu i zaświadczenia było się włóczyć, którego nigdzie nie meldowano i odpowiednio traktowano. Teraz to bomż (bez określonego miejsca zamieszkania).

Widziałem, jak na moskiewskiej ulicy milicjant zatrzymał biedną wieśniaczkę – „wsiowych” poznawało się po ubraniu – z małym dzieckiem. Puścił ją, bo zebrał się tłumek przechodniów, którzy coraz groźniej się tego domagali, mówiąc, że przecież wiadomo, jak jest w kolchozach.

Jak jest w kolchozach, widziałem, nie tylko w tych pokazowych, do których wożono wycieczki. Wędrując na nartach po lasach otaczających Moskwę, trafiało się na kolchozowe wioski. Wyrąbane polany, na których stały niewielkie, prymitywne chałupy, a w nich kobiety, dzieci i starcy. To była norma, mężczyzn w sile wieku w kolchozach brakowało.

Abdurachman Awtorchanow, politolog, wyjaśnił, że nawet kosztem głodu w kraju Stalin nie mógł tolerować chłopów samodzielnych przedsiębiorców, bo wszyscy musieli pracować tylko dla państwa. W rezultacie do końca ZSRR większość żywności, poza zbożem, pochodziła z działek przyzagrodowych na wsi i z działek pracowniczych, które przysługiwały każdemu. Katastrofa elektrowni atomowej w Czarnoby-

lu, w roku 1986, nastąpiła, gdy najważniejszy specjalista zajęty był na swojej działce z kartoflami. Jeszcze w roku 1995, gdy rozmawiałem z Anatolijem Sobczakiem, me-mrem Petersburga, dowiedziałem się, że tak jest zajęty, że coś tam z ogórkami na jego działce musiał robić ojciec czy teść.

Po odsiadce w łagrach każdy dostawał paszport, z zaznaczeniem, gdzie mu nie wolno mieszkać lub gdzie musi mieszkać, i były to miejsca, w których znajdował się obóz, z którego wyszedł. Po wojsku dostawało się normalny paszport, lecz zamieszkanie w miastach, przede wszystkim w Moskwie i Leningradzie, ale i w innych, uniemożliwiały przepisy meldunkowe, a do kolchozów nikt o zdrowych zmysłach nie wracał. Władza potrzebowała tych mężczyzn w przemyśle i na budowach. W usługach prawie wyłącznie pracowały kobiety. Było to niewiele lat po wojnie, po której zabrakło 26,2 mln ludzi, przy czym zginęło więcej mężczyzn, potrzebnych do cięższych prac.

W ten sposób XX-wieczną pańszczyznę regulowano w skali całego państwa.

● ● ●

Zek, skrót od zaključzonnyj, pozbawiony wolności. Z byłem zekiem jechałem kiedyś pociągami Moskwa – Warszawa. Już po polskiej stronie opowiedział, że w łagrze pracował przy wyrębie lasu na północy. Wyżywienie było głodowe, a dzienne normy wyśrubowane. Nieliczni, którzy je wykonywali, dostawali pirożek. Grudka farszu mięsnego w cieście. Ci przodownicy pracy przeważnie nie przeżywali dłużej niż trzy miesiące.



Rosji udało się rzecz niewiarygodna: połączenie nowych technologii Zachodu ze skrajnie prymitywną społeczną i polityczną organizacją własnego społeczeństwa

W latach 30. na budowę Bielowo-Morkanału, Morze Białe – Morze Bałtyckie, wożono ograniczone wycieczki i pisarzy, by dali świadectwo temu, że praca uszlachetnia i socjalizuje przestępców. Do Warkuty, Magadanu i innych skupisk łagrów, w których siedziały miliony, nie sprowadzano wycieczek.

Oślawiony przez Aleksandra Sołżenicyna i Anne Applebaum GUŁAG (główny zarząd obozów) był częścią gospodarki, otrzymywał zadania w ramach planów pięcioletnich. W III Rzeszy na tych zasadach powstał i funkcjonował zarząd gospodarczy SS, zarządzający obozami pracy.

Sowieccy więźniowie, już po wojnie, pracowali m.in. na wielkich budowach komunizmu. Były to wielkie zapory i wielkie sztuczne morza, zajmujące i marnujące ogromne tereny. Budowane na Woldze doprowadziły do zmniejszenia Morza Kaspijskiego. Gigantyczne marnotrawstwo i dewastacja przyrody.

Z tego, że praca więźniów to nieopłacalny interes, doskonale sobie zdawał sprawę Ławrentij Pawłowicz Beria, szef sowieckiego aparatu terroru. Gdy już Stalina nie było, przeprowadził wiosną 1953 r. amnestię i większość zeków znalazła się na wolności. Zwalnianych przepuszczano przez więzienie w Rostowie nad Donem, gdzie studiowałem w roku akademickim 1952/53.

Obserwowaliśmy wychodzące duże grupy mężczyzn, z zapadniętymi i zarośniętymi twarzami. Mieli na sobie, mimo upału, wyszmelcowane i poszarpane waciaki. Pod pachami lub na plecach węzłki z dobytkiem. Nie byli to bynajmniej „cierpiący za prawdę”, ulubione postacie w dawnym rosyjskim folklorze. Odessa – Mama – i Ro-

stów – Papa – uchodziły za centra przestępczości. W trakcie amnestii w Rostowie niebezpiecznie stało się nawet w dzień. I wtedy po raz pierwszy usłyszałem, jak ludzie otwarcie i głośno psioczą na władzę. Za amnestię.

● ● ●

Inoziemce zauważa, że Rosji udawało się przejąć wiele osiągnięć technologicznych, które w zachodniej części Europy zniszczyły feudalno-absolutystyczne porządki: Rosji „udało się rzecz niewiarygodna, połączenie nowych technologii Zachodu ze skrajnie prymitywną społeczną i polityczną organizacją własnego społeczeństwa”. I Rosja pozostała na peryferiach cywilizacji. Nigdy z niej nie wychodziły nowe technologiczne czy społeczne impulsy. Tylko polityka industrializacji w ZSRR – twierdzi – okazała się udana, i to jedynie częściowo. Ale to, że gospodarka stała się duża, nie oznacza, że przestała być zacofana.

System sowiecki był początkowo zdolny do ilościowego skoku i wzrostu, rabunkowo sięgając po dobra naturalne i pracę poddanych, po kredyty i pomoc latwowier-nego Zachodu. Powstał organizm duży, tępy i nieruchawy. Dlatego nie tworzył nowych idei, trendów w kulturze i czegokolwiek ważnego w technologii.

Żaden z istotnych wynalazków minionego wieku nie powstał w istniejącym przez ponad 70 lat „przodującym ustroju”. Nie mogło być inaczej, gdyż monopol władzy i kontrola myśli ograniczały aktywność i innowacyjność. Gdy studiowałem w ZSRR (przypominam: 1952-57), cybernetyka i genetyka były burżuazyjnymi łże-naukami. Mendel był skreślony, a sławą cieszył się szarlatan Trofim Łysenko. Socjologii i politologii w ogóle nie było. Partia i tak wiedziała wszystko najlepiej.

Konsekwencją były zła organizacja i niska wydajność pracy, wysoka energochłonność i materiałochłonność, niekonkurencyjny eksport i żenująca zależność od importu, biurokratyczne zarządzanie i fałszywe statystyki. Stąd notorycznie zbyt mała podaż produktów, przeważnie przestarzałych i złej jakości.

System padł ostatecznie, gdy Kreml, już za Gorbaczowa zrozumiał, że przegrywa nawet w wyścigu zbrojeń, na jedynym i najważniejszym dlań polu, na którym przez dłuższy czas zagrażał Zachodowi i światu. Moskwa nie znalazła odpowiedzi na bombę N czy projekt gwiazdnych wojen prezydenta Reagana. Naruszało to polityczną wiarygodność ZSRR jako mocarstwa nuklearnego. A już wojna w Libanie w 1982 r. pokazała, że nawet radziecka broń konwencjonalna znacznie ustępuje amerykańskiej.

● ● ●

„Pokazucha” to słowo, którego nie trzeba tłumaczyć. Ważną gałęzią sowieckiej gospodarki była statystyka, co błyskotliwie opisał Alain Besançon, były komunista, wiedzący, za co krytykować komunizm.

Związek Sowiecki – pisał – produkuje pięć rodzajów stali: taką, jak trzeba, taką, która nie trzyma parametrów, ale się jej używa, tak wybrakowaną, że do niczego się nie nadaje, lecz także jest używana, tak wybrakowaną, że już nie daje się do czegośkolwiek, i piąty rodzaj, istniejący jedynie w sprawozdaniach. Japonia produkuje tylko ten pierwszy rodzaj stali, ale to ZSRR występuje jako największy producent stali na świecie.

Nie pamiętam, kto z Rosjan miał wynaleźć maszynę parową wcześniej niż Watt. Bracia Czerepanow mieli wynaleźć kolej żelazną przed Stephensonem. Niejaki Popow – radio przed Marconim. Rosyjskie pierwszeństwo nie uwzględniało tego, że w cywilizacji ważny jest dopiero wynalazek, który się staje jej istotną częścią. I to po różnych eksperymentach, na których się w Rosji kończyło. Gospodarka z tego nie mogła skorzystać. A skoro w tej konkurencji Rosjanie nie bardzo mają się czym pochwalić, poza kałasznikowem, to dumą ich napawa to, co mają wielkiego i czego mają dużo.

Uważają, że ich atutem dającym szczególne uprawnienia jest największe terytorium na świecie. 17,1 mln km kw. Boli ich, że Federacja Rosyjska jest mniejsza, niż był ZSRR z 22,4 mln km kw., zajmujący jedną szóstą lądów świata i zamieszkany w 1991 r. przez 293 mln ludzi. Teraz obszar FR to tylko 12,5 proc. powierzchni ładu, z wyłączeniem Antarktydy, ale prawdopodobnie najbogatszy w zasoby naturalne.

FR na swym terytorium posiada około jednej trzeciej światowych złóż ropy, gazu ziemnego i soli potasowych, do 30 proc. – złota i diamentów, 25 proc. – żelaza, kobaltu i niklu, do 15 proc. – cynku, po 11-12 proc. – ropy naftowej i węgla. Do tego 20 proc. zalesionych terenów świata i także 20 proc. słodkiej wody całego globu.

Mieszkańców ma Federacja 143,4 mln i do tego ich stale ubywa. Rosjan jest mało: stanowią 44,9 proc. populacji Amerykanów; 29,1 proc. ogólnej liczby Europejczyków i tylko 10,6 proc. ogólnej liczby Chińczyków. Udział Rosjan w ludności świata wynosi 1,93 proc., a za caratu, w roku 1913, wynosił 5,2 proc.

Na jednego mieszkańca FR przypada zatem od kilku do kilkudziesięciu razy więcej cennych zasobów niż na statystycznego mieszkańca globu. To bez wątpienia kolosalne bogactwo, którym Rosja się chlubi. Jednak nie przynosi ono dobrobytu, ale stanowi obciążenie. Bo ważne jest, co się z takim bogactwem robi.

Terytorium to kiedyś były aktywa, a teraz mieszkańców Federacji nie starcza, by je zagospodarować. Na ogromnych terenach Dalekiego Wschodu i Syberii wyręczają ich w tym Chińczycy. O tym pokojowym przemowianiu, które Moskwa przemilcza, bo nie może się mu przeciwstawić, decyduje liczebność Chińczyków i ich ekonomiczna, na razie tylko, siła.

Zapasy surowców ciągle wydają się w Rosji nie do wyczerpania, a strategia rozwoju polegająca nie na ich eksploatacji, lecz na nowoczesnej industrializacji i gospodarce wiedzy, nie kalkuluje się. I to od wieków.

Wielkie Księstwo Moskiewskie, carstwo i imperium rosyjskie nie eksportowało wyrobów rzemiosła. Sprzedawało futra. Poza tym skóry, len, воск i miód, smołę czy drewno. W XX wieku sięgnięto dodatkowo po złoża kopalne. Wpierw była to głównie ropa.

Związek Sowiecki włączał już do eksportu również inne produkty. Były w Polsce samochody, łodówki, zegarki i fotoaparaty „Made in Soviet Union”. A Federacja Rosyjska coraz bardziej przechodzi do gospodarki surowcowej. Udział ropy i gazu w ogólnym eksporcie z 36,9 proc. w 1989 r. zwiększył się do 66,3 proc. w 2014 r. Możliwe teraz sankcje ten eksport trochę zmniejszą, a na pewno czynią go mniej dochodowym. Zapewnia on 1/3 część dochodów budżetowych.

Po rozwiązaniu ZSRR gospodarka zaczęła się prywatyzować. Zdecydowanym zwolennikiem gospodarki rynkowej był ekonomista Jegor Gajdar, którego Jelcyń mianował szefem rządu. Na przyjęciu w ambasadzie rosyjskiej, z Leonem Bójką, kolegą redakcyjnym i byłym naszym korespondentem w Moskwie, poprosiliśmy go o rozmowę dla „Wyborczej”. Chętnie się zgodził, ale rozmawiać mieliśmy w Moskwie. Leon niespodziewanie zmarł. Gdy przyjechałem do Moskwy, Gajdar był już dyrektorem jakiegoś instytutu, który chyba dla niego wymyślono. Jelcyń przestraszył się swoich paladynów, którzy przestraszyli się prawdziwego rynku.

Stalin też ich się bał, lecz im nie ustępował. Mordował ich jak Iwan IV Groźny. Wybrańcom wódz stwarzał luksusowe warunki. Dopóki mu nie podpadli. Po XX zjeździe partii [1956] mieli tak samo dobrze, jeśli nie lepiej. A kiedy ich wyrzucano z kierownictwa, trafiali na niższe stanowiska i przyzwoitą emeryturę. Dopiero Federacja Rosyjska dopuściła prywatne bogacenie się, z czego się energicznie korzysta.

Jak zawsze w Rosji, państwo musi być górą. Prywatny biznes wciąż jeszcze istnieje, ale jego obszar się zmniejsza. Według szacunków podawanych przez Inoziemcewa sektor rynkowy w latach 90. wytwarzał 70-75 proc. PKB. W latach 2015 i 2016, a więc przed napisaniem jego książki, tyle wytwarzał już sektor państwowy.

Putin w pierwszej kolejności podporządkował sobie oligarchów. Mogli się bogacić, dopóki byli posłuszni. Michail Chodorkowski, który chciał swoje zasoby wykorzystywać do niezależnej działalności politycznej, spędził dziesięć lat, 2003-13, w łagrze.

Nie po czynu bieriesz – Nie wedle rangi bierzesz. Taki zarzut stawiano funkcjonariuszom caratu i chyba nadal jest aktualny. Dlatego musiał zaszokować pułkownika z MSW, niejaki Zacharczenko, w którego mieszkaniu znaleziono ok. 8,5 mld rubli, czyli 132 mln dol.! Widać, że uchwalona przez Dumę ustawa o zniesieniu odpowiedzialności za posiadanie nieudokumentowanego majątku wyznacza jakąś niepisaną normę. Mieści się w niej tworzenie instytucji i podejmowanie przedsięwzięć gospodarczych tylko po to, by znalazły się tam synekury dla wybranych. Coś takiego jak byśmy widzieli w... Polsce ostatnich lat.

**W 2016 roku w Rosji
zbudowano 2,4 tysięcy
kilometrów nowych dróg
za 10,2 mld dol. USA.
W Ameryce za 4,12 mld dol.
prawie 8 tysięcy**

Norma korupcji nie dotyczy Putina. Jego, szacowany na setki miliardów, majątek w świecie i udokumentowany przez Nawalnego państwowy do użytku prezydenta czyni go jednym z najbogatszych na globie. W Rosji korupcja ma obejmować 25 do 48 proc. PKB.

Inoziemcew zwraca uwagę na bezpośredni udział i kontrolę państwa nad szczególnie ważnymi sektorami gospodarki, łącznie z dużymi przedsiębiorstwami: „Polityczna elita dokonuje podboju społeczeństwa i podporządkowuje je swoim interesom – niekiedy zideologizowanym, prawie zawsze kleptokratycznym”.

Nie oszczędza tej elity. Rosja składa 0,4 proc. ogólnoswiatowej liczby wniosków patentowych – 43 razy mniej od Chin. Gospodarka obchodzi się bez tych wynalazków, a elita nie uczy się tego, co trudne i potrzebne. Zdumiała mnie informacja o MGU, Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym, który ma już 40 wydziałów, w tym większość humanistycznych. Gdy kończyłem tę uczelnię w 1957 r., wydziałów było, jak pamiętam, 12. Szczęśliwie humanistycznych i tyleż przyrodniczych i nauk ścisłych. Co ta elita osiąga w gospodarce? Energochłonność PKB w Rosji 2,34 razy przewyższa dziś poziom amerykański; 3,04 – francuski. W 2016 r. w Rosji zbudowano 2,4 tys. kilometrów nowych dróg, co kosztowało 10,2 mld dol. USA, w których za 4,12 mld dol. udało się zbudować 7,9 tys. km dróg. „Zacofanie i lekceważenie jakości skłania do produkcji byle czego i za wszelką cenę”.

Jurij Afanasjew, wybitny historyk i jeden z ojców rosyjskiej demokracji, w okresie Gorbaczow – Jelcyń uważał, że Rosja ma tylko ludność. Jura był moim kolegą z roku, na Wydziale Historii MGU, i początkowo mówił mi to prywatnie i przy kielichu. Nie podczas spotkań w Moskwie, lecz u mnie w domu. Przed śmiercią, zmarł w roku 2015, już o tym pisał.

Znał Europę i rozumiał, co wynika z tego, że Rosja nie przeszła przez odrodzenie i oświecenie. Dlatego do Rosjan nie docho-

dzi, że Zachód przeszedł przemianę, która ich ominęła. Zatem jest jakościowo inny, a nie tylko wyciągnął lepszy los. I to kosztem Rosji, którą zły los tylko krzywdził, a która obroniła Europę przed Mongołami i Turkami oraz w II wojnie światowej.

Od wieków nikt Rosji już nie podbijał, to ona podbijała innych, lecz jej naród zalicza siebie do licznej gromady skrzywdzonych narodów Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej. Oni też „wstają z kolan”, choć wciąż są na kolanach przed swoim państwem i mogliby czuć się narodem podbitym.

Władza większości Rosjan zawsze imponowała. W ZSRR władzę sowiecką reprezentowała sklepowa rugająca klientów. W hotelach utrapieniem była etażnaja (od „etaż” – piętro), pilnująca, by w pokoju nie znalazł się ktoś, kto tam nie mieszkał.

Tak było na wszystkich szczeblach państwa przesiąkniętego władzą, co pomagało utrzymywać cały system. Każdy, kto otrzymał część władzy, kierował ją w dół, na zależnych od siebie. O zwierzchność można było najwyżej prosić. Indywidualnie. Jeśli zbiorowo, to był już bunt.

To by uzasadniało pogląd Afanasjewa, że w Rosji nie ma społeczeństwa, a jest tylko ludność.

Inoziemcew zauważa postęp, który Rosja osiągnęła w porównaniu ze Związkiem Sowieckim w sferze swobód osobistych. Do momentu, w którym wejdą one w konflikt z interesami państwa.

Rosja porzuciła tylko jedną zasadę: drobiazgową reglamentację życia prywatnego i otworzyła granice. A najlepsze, czego można oczekiwać od władzy, to nieingerowanie w życie osobiste, co jednak może mieć miejsce i miewa.

Książka opisuje stan sprzed zeszłorocznej inwazji na Ukrainę. W miarę trwania wojny swobody są coraz bardziej ograniczane.

Różnica między Rosją a postkomunistycznymi krajami Europy Środkowej – zdaniem Inoziemcewa – polega na tym, że o ile w tych ostatnich polityczne wolności zostały brutalnie odebrane po II wojnie, o tyle w Rosji obywatele nie mieli ich nigdy. Poszerzenie swobody osobistej postrzegają nie jako naturalne przywrócenie czegoś pierwotnie istniejącego, lecz znaczne osiągnięcie społeczne.

Myślenie Rosjan jest patriotyczne, dopóki znajdują się w Rosji. Mieszkając za granicą, co najwyżej starają się ściągnąć do siebie rodzinę i tylko jej pomagają. Niewiele planuje powrót do kraju. Nie reprezentują jego interesów, nie inwestują w nim,

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Anna Świrszczyńska*

Niech liczą trupy

*Ci co wydali pierwszy rozkaz do walki
niech policzą teraz nasze trupy.
Niech pójdą przez ulice
których nie ma
przez miasto
którego nie ma
niech liczą przez tygodnie przez miesiące
niech liczą aż do śmierci
nasze trupy.*

***Anna Świrszczyńska** - 1909-84, poetka, dramatopisarka. Autorka m.in. zbiorów „Szczęśliwa jak psi ogon”, „Cierpienie i radość”, „Jestem baba”. Wiersz, który publikujemy, pochodzi z tomu „Budowałam barykadę”, poświęconego powstaniu warszawskiemu, w którym była sanitariuszką. Utwór za: Bartosz Małczyński, „Wierszem zbawić ludzkość. Poezja Anny Świrszczyńskiej”, Instytut Literatury, Kraków 2020.

nie propagują go. Tym różnią się od Chińczyków czy Ukraińców. Nie ma odpowiednika czegoś takiego jak Polonia.

Odrębny problem to Rosjanie z wcześniejszych republik ZSRR. Zawsze się czuli, że w Ukrainie, w Estonii i Kirgizji są w swoim państwie, u siebie. Teraz są poza granicami Rosji. Inoziemcew pisze, że są jej V kolumną, co dotyczy na pewno Estonii i Łotwy. Czy może dotyczyło. Od 24 lutego zeszłego roku ci Rosjanie cieszą się, że nie są w Rosji.

„Groźna Rosja” to tytuł jednej z książek Afanasjewa. Przed śmiercią dostrzegł, że Putin przystąpił do tradycyjnego zbierania ziemi ruskiej. Stało się nim zajmowanie takich „ruskich” krajów jak – gruzińskie – Południowa Osetia i Abchazja oraz moldawskie Nadniednistrze. Clou to wojna z Ukrainą, która w 2022 r. tylko się wzmogła, po ośmiu latach trwania. Ukraina to projekt, a Ukraińcy to bracia odłączeni, których Rosjanie mordują, aby zechcieli powrócić do Macierzy.

Rosja, przez wieki poszerzając granice, była jednocześnie i metropolią, i swoją kolonią, a przede wszystkim obozem wojskowym. W ostatnich latach rośnie militarystyka kraju i generałowie stają się coraz ważniejsi w polityce. Znowu, jak za zimnej wojny, powstał mit drugiej armii świata. Jeśli jeszcze nie może zwyciężyć, to dlatego, że walczy z Ameryką, NATO, całym Zachodem. Ale ma i szykuje swoją wunderwaffe i jeszcze pokaże!

Ale mało kto wierzy w tę potęgę. Armia nie ma umiejętności potrzebnych we współczesnej wojnie i jakoś nie stara się ich uczyć. Stosuje starą taktykę zarzucania pola walki trupami. Wojsko rosyjskie po staremu morduje i porywa ludzi, grabi i niszczy co może. Na odległość, mając do tego narzędzia.

Tego, co dzieje się na tej wojnie, opisywać nie trzeba. ●

Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn

Władisław Inoziemcew, **„Nienowoczesny kraj. Rosja w świecie XXI wieku”**, przekład Katarzyna Chimiak, Wyd. Agora, Warszawa 2021



Nadzieja na planecie Piołun

Może zginiemy, kto wie. Ale ogórki zostaną.

Jeśli przyjdą po nie, będą musieli przejść po naszych trupach i nasze ogórki staną im w gardle

Próchniak*

Zapraszamy na spotkanie z **Oksaną Zabuzko** w Centrum Premier Czerska 8/10 wtorek, **14 lutego, godzina 19.00** Spotkanie będzie poświęcone najnowszej książce autorki **„Najdłuższa podróż”** wydanej właśnie przez Wydawnictwo Agora.



Dla przyjaciół pod ostrzałem

1

Dziwna książka. Przenikliwa, mądra, uwodząca, napisana z pazurem, a zarazem irytująco pewna siebie, niemal belferska. Jest gorąca i zadziorna, podszta gniewem, wyostrzona w sądach, ale jest w niej też oddech, finezja, wewnętrzna wolność. Ma w sobie kolczastą hardość, jej gorzki posmak. I łagodność – niedzisiejszą, poruszającą.

2

Te wprawiające w konfuzję napięcia i zgrzyty nie powinny może dziwić, skoro „Planeta Piołun” Oksany Zabuzko to zbiór esejów. Esej ma swoje prawa. Jest próbą. I wystawia na próbę. Eseistyczna książka powinna uwodzić i irytować. Powinna być odważna i precyzyjna – jak chirurgiczne cięcie. A jednak nie dają mi spokoju ani jej zadry wchodzące pod skórę, ani ten „leпки ciężar żalu i bezradności”, który otrzeźwia, ale też przygniata i dławi.

3

Nie słodzę zanedo, bo prawdziwej literaturze należy się poważne traktowanie. Zresztą „Planeta Piołun” nie potrzebuje słodzenia. Jest świetną książką – również przez ten posmak piołunowej goryczy, który towarzyszy lekturze. Snuta przez Zabuzko opowieść – o ocalonej duszy Ukrainy w jej „wojnie stuletniej z Imperium Zła” – jest świadoma swoich racji, podporządkowana mocnym tezom, spójna w wymowie i zarazem meandryczna, zaplątana w niekończące się zdania, pełne pączkujących wtrąceń, nawiasowych dopowiedzeń i rozbudowanych przypisów.

Te piętrowe konstrukcje, misterne i chybotliwe, potrafią zirytować, ale ujawniają też kunszt prawdziwie literacki, a prawdziwa literatura zasługuje, żeby być z nią, jak pisze Zabuzko, „nerw przy nerwie”.

4

Jednym z odsłoniętych nerwów tej eseistyki jest jej stosunek do rosyjskiej kultury. Czy rzeczywiście jest ona w swojej masie protekcyjnie wyniosła i imperialna jak sama Rosja? Czy naprawdę rosyjscy artyści niemal w czambuł byli i są trubadurami imperium?

Chyba tak nie jest, choć też wyczuwam „przepelniony żółcią ton całego masywu rosyjskiej kultury” i nie mam wątpliwości, że rosyjscy twórcy potrafili i potrafią wspierać nie tylko imperialne idee Rosji, ale też jej zbrodnie. Skoro jednak mamy rozmawiać poważnie, to wyznam, że świetny esej o Brodskim wydaje mi się zbyt mocno podszty urazą. Jest celny w wielu rozpoznaniach, ale – mam wrażenie – nie w swojej wymowie, zwłaszcza jeśli jej sedno usłyszeć w takich zdaniach:

„Brodski przejdzie niestety do historii już nie jako poeta (...), lecz jako ideolog polityczny, i to dość toksycznego gatunku: to on właśnie stał się de facto pierwszym, na długo przed Putinem, rzecznikiem nowej geopolitycznej doktryny Kremla – zjednoczonego przez język rosyjski (...) wszechświatowego »imperium bez granic«, innymi słowy russkiego mira”.

To samo dotyczy eseju finałowego „Planety Piołun”, który poruszył mnie najmocniej. Sprowadzenie siły rosyjskiej literatury do poczucia, że stoją za nią czołgi, a jej etyki do zapobiegliwego dbania o poziom nakładów książek na rosyjskojęzycznym rynku to chwyt umiarkowanie przekonujący. W tych publicystycznych grepsach widzę skazę, która spłyca i unieruchamia myśl, powierza ją gotowym tezom, choć być może takiej skazy nie da się uniknąć, kiedy słowem się walczy i gdy jest to walka o życie.

5

Tak, nieraz trzeba iść na ostro. Zwłaszcza jeśli ktoś truje za Russia Today, że morderca to „druga strona konfliktu”, która „ma prawo do własnego punktu widzenia” itd. Rosja nie od dzisiaj próbuje zamordować Ukrainę. Metodycznie znęca się nad nią. Stara się wyrwać jej serce. I robi to również poprzez „ukazywanie wydarzeń z rosyjskiego punktu widzenia”. Trzeba to widzieć jasno – w całej grozie toksycznego kłamstwa, które osiada na wszystkim jak radioaktywny pył.

Dlatego tak ważne jest, żeby nasze słowa dążyły do prawdy, żeby była w nich godność, wewnętrzna wolność, niezgoda na prawo silniejszego. Tylko dzięki takim słowom jesteśmy w stanie przetrwać. I nie ulec „przed chmurą nasłanych na nas obcych słów o odwróconych znaczeniach, zgnilych i obłudnych”.

Może właśnie tak trzeba czytać to, co biorę za skazy „Planety Piołun”. Może jej wyostrzony kontur jest ceną za prawdę słów, która jest w tej książce również prawdą gniewu. Również – bo jest to też prawda kobiecego głosu. I miłości.

6

Eseistyczna proza Zabuzko jest „liryczno-monologowa, wewnętrzna, fabularnie nielinearna, cała w chytrych splotach skojarzeniowych rozgałęzień”. To antypodery wyostrzonych tez, podkreconej temperatury. I właśnie w tych splotach i rozgałęzieniach na wskroś kobiecej dykcji Zabuzko potrafi tak opowiedzieć gniew, że bierze się go za swój. I nie tylko gniew. Iskrzącej w tych zdaniach miłości też trudno się oprzeć.

7

Ta miłość dotyka ziemi. Pamięta, że łączy ją więź „ze wszystkim, co żyje na planecie”, którą powoli w swojej bezdusznej głupocie zmieniamy w planetę Piołun. W takim spojrzeniu na świat kluczowy jest noszony w oczach – i w sercu – obraz ziemi dzieciństwa, Ukrainy.

Ten ukraiński pejzaż jest dla Zabuzko sensualnie konkretny, namacalny, ale jest też pejzażem duchowym. W esejach tworzących książkę ważną rolę gra wrażliwość na obraz, na wibrację, z których utkane są przedstawienia filmowe i malarskie. Warto te eseje czytać, mając w oczach filmy Oleksandra Dowżenki i obrazy Kateryny Biłokur. W ich asyście mocniej wybrzmiewa fundamentalne dla książki wyczucie, że sztuka wydobywa na jaw i chroni duchową tkankę istnienia. Odsłania inną realność. Jest formą życia duchowego, które daje oparcie materialnej egzystencji, doświadczeniom ciała, trwaniu w uścisku apokaliptycznej grozy.

Sprowadzenie siły rosyjskiej literatury do poczucia, że stoją za nią czołgi, spłyca i unieruchamia myśl, powierza ją gotowym tezom

Jedną z figur tej grozy pozostaje Czarnobyl. Wobec tamtej katastrofy „dusza stanęła naga i bezbronna”. To wtedy zawaliły się kulisy i znany nam świat zaczął wypadać z roli. Doświadczenie Czarnobyla okazało się „początkiem ukraińskiej niepodległości”, bo wiązał się z nim „pierwszy, gorzki, radioaktywny haust wolności”, który również ukraińską literaturę wyprowadził „w przestrzeń wolnego języka”.

Życie w strefie reaktora – w tchnieniu radiacji, z płucami pełnymi skażonego powietrza – stawiało w prawdzie, nicowało wyuczone odpowiedzi. Pokazywało naocznie, kim jesteśmy jako ludzie. I czym jest nasz świat. Można się było tego uczyć choćby od martwych pszczoł – zabijanych przez radioaktywne promieniowanie.

Zabuzko pisze: „wstydziałam się przed nimi”. I dodaje: „Jak w ogóle wygląda świat z perspektywy pszczoły albo biedronki? Albo jaskółki czy jabłoni – co one czują, dlaczego nic o tym nie wiem?”. Krok dalej otwierała się perspektywa na „duchowy wymiar widzialnego świata”. I świadomość, że bez odnalezienia w sobie tego duchowego nurtu nie jesteśmy w stanie sprostać istnieniu. Mówić własnym głosem. Strzec swojego miejsca na ziemi – miejsca „radości przeżytej razem” i wspólnych spraw „wartych tego, żeby ich bronić”. W ten sposób być u siebie. I zarazem widzieć jasno to wszystko, co potrafi „wywrócić cały zwykły porządek rzeczy przerażającą, groźną podszewką do wierzchu”. Jak w micie, jak w ludowej opowieści o nagrobnej kalinie i wystruganej z niej fujarcie.

„W polu siłowym stylu i sposobu myślenia” Zabuzko wirują te same drobiny życia duchowego, które biegają w naszą stronę ścieżkami mitu: „wizjonerskie rajskie sady w złotych i niebieskim świetle księżycy”, „ukruszony odlamek czyjejś rozbitej historii”, „głuchy jęk dotąd niemego i w swojej niemocie groźnego i niepewnego świata”, z którym stoimy „twarzą w twarz – jak niegdyś Adam z nowo stworzonym światem”.

Tak pracuje pole siłowe literatury. Także wobec wojny. I jeśli rzeczywiście literatura „jest zawsze o przyszłości”, bo „przyszłość jest w pewnym sensie nieustannie z nami tu i teraz” jako „ukryta, »przygaszona«, część te-razniejszości”, to za ślad tej przyszłości biorę jedno z końcowych zdań „Planety Piołun” – rodzaj przesłania i credo: „Jako nadzieja dla całej ludzkości: my wygramy tę wojnę”.

8

Zaczynałem ten szkic z przecuciem, że zabrnę w paradoksy, zakiwam się. Nie zawieszam wątpliwości na kołku. Wciąż sądzę, że „Planeta Piołun” ma w sobie rysę pęknięcia – publicystyczną, nazbyt łatwą, ufundowaną na niepokojąco słusznych tezach. Sięgam jednak do finałowego eseju i czytuję o „pozakładanych na pozycjach ukraińskich wojsk zagonkach i ogródkach”, po których widać – jak na dłoni – czyja to ziemia.

Właśnie tak. Na linii frontu – w szczerym stepie przeoranym przez moździerz – rosną sadzone ukraińską ręką „nieśmiertelne, przez wieki ciągnące się melony i ogóreczki na żołnierskich grządkach”. Proste i prawdziwe. Na wskroś ukraińskie. Zabawnie ironiczne i z nutą patosu.

Ta nuta mnie bierze. I przekonuje mnie ta grządka ogórków między okopami. Ma w sobie coś z literackiego konceptu, ale jest w niej też luz żartu i zapobiegliwy konkret życia wrastającego w ziemię. I konkret prostej miłości do własnej ziemi. Odważnej, cierpliwej, płaconej życiem.

9

Więc furda ukłucia irytacji, dąsy i paradoksy. Może zginiemy, kto wie. Ale ogórki zostaną. Jeśli przyjdą po nie, będą musieli przejść po naszych trupach i nasze ogórki staną im w gardle. A jeśli to my przyjdziemy po nich, to będzie czym zakąsić. ●

***Paweł Próchniak** – ur. w 1966 r., historyk literatury, krytyk. Były przewodniczący jury nagrody Nike. Tytuł: „Wyborcza”.

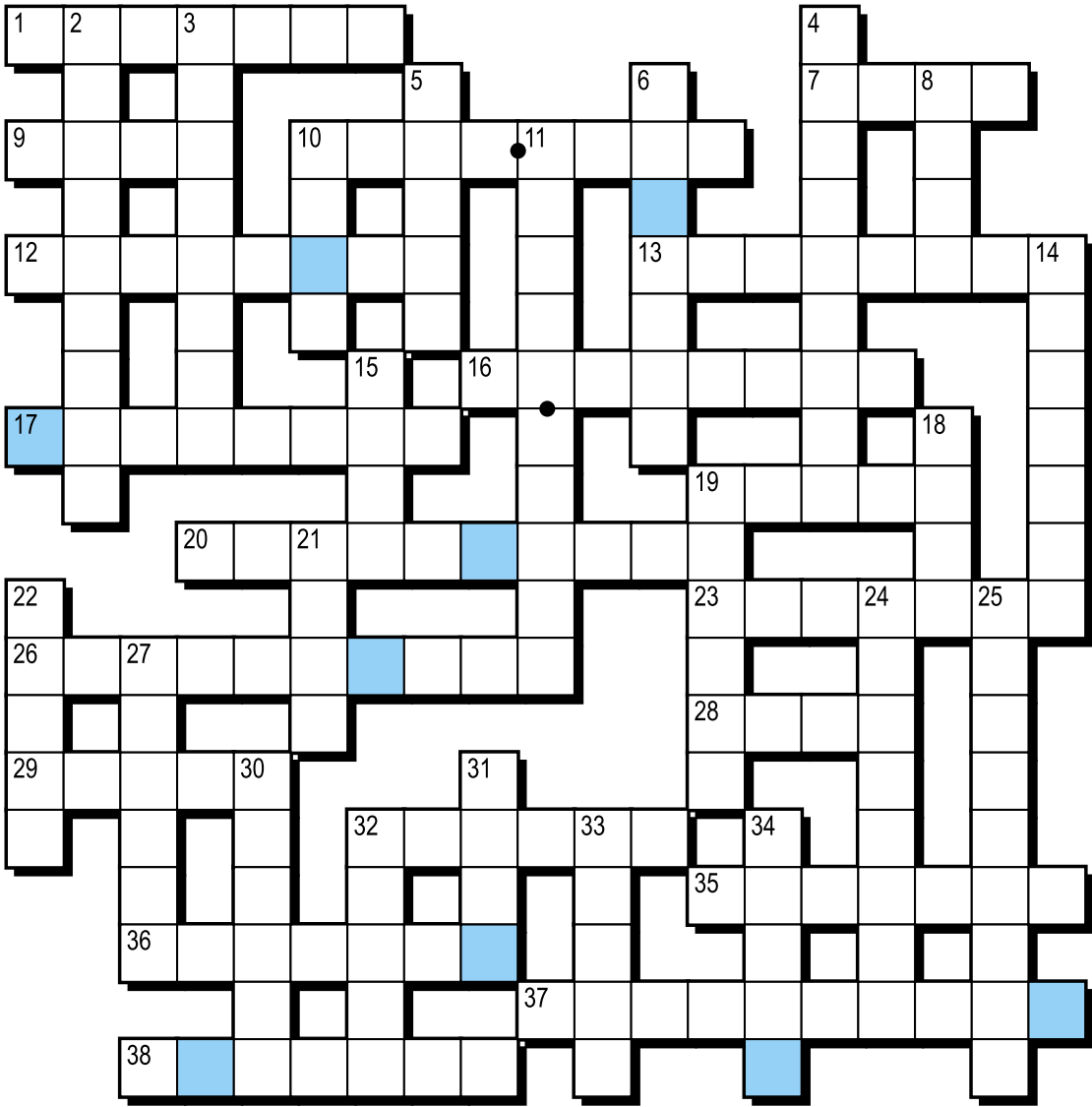
Oksana Zabuzko – ur. w 1960 r., pisarka, poetka, eseistka, z wykształcenia filozofka. W Polsce ukazały się jej powieści **„Badania terenowe nad ukraińskim seksem”** – teraz wznowione, w nowej oprawie – i **„Muzeum porzucenych sekretów”** oraz zbiór wywiadów **„Ukraiński palimpsest. Rozmowy Oksany Zabuzko z Izą Chruślińską”**. Niedawno nakładem Agory ukazała się książka eseistyczna **„Planeta Piołun”**. Do kupienia w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl.





4 lutego 2004 roku niejaki Mark Zuckerberg, wspiera-
ny przez grupę studentów, stworzył internetowy ser-
wis społecznościowy Facebook. Jako że Zuckerberg
uczył się na Harvardzie, jego dzieło przeznaczone
było początkowo przede wszystkim dla studentów tej uczel-
ni. Zarejestrowani użytkownicy mogli wrzucać tam zdjęcia,
wiadomości, a także szukać swoich szkolnych znajomych.
W ciągu niespełna 20 lat Facebook stał się najpopular-
niejszym serwisem społecznościowym i trzecią najpopular-
niejszą stroną w globalnym internecie, po Google'u i YouTu-
bie. Miesięcznie ma ok. 2,8 mld aktywnych użytkowników,
którzy w ciągu tych trzydziestu dni wrzucają do serwisu
ok. 350 mln zdjęć.
To tu powstał przycisk „lubię to!” (kciuk wyciągnięty
w górę), skąd wzięło się określenie „lajkować” i „lajk” – au-
torem posta, który zebrał największą w historii liczbę polu-
bień, jest Australijczyk Nick Vujicic, mówca motywacyjny
i kaznodzieja, który urodził się z rzadkim schorzeniem, ame-
lią, które polega na całkowitym wrodzonym braku kończyn.
Z okazji 19., okrągłej rocznicy uruchomienia Facebooka
zapraszamy Państwa do „Weekendówki” poświęconej so-
cial mediom. Co ciekawe, media społecznościowe mają swój
dzień, i to światowy nawet, przypadający na 30 czerwca, ale
raz, że pod koniec czerwca to się myśli o wakacjach, a nie
o mediach społecznościowych (choć obie instytucje rzecz ja-
sna się ze sobą łączą), a dwa – na sobotę 1 lipca zaplanowali-
śmy już coś innego w „Weekendówce”.
A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Krystiana
Buczka, wydawcę social mediów w Wyborcza.pl i człowieka,
który tematyką dzisiejszej „Weekendówki” interesuje się nie
tylko z zawodowych względów.
A zatem, jeśli lajkujecie naszą krzyżówkę, zapraszamy
serdecznie do zabawy. W końcu my też tworzymy „weeken-
dówkową” społeczność. ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 37 z 28.01:

Poziomo:

3) wsparcie 7) fundacja 9) Jerzy
Owsiak 12) światelko do nieba
14) dzieci 16) wielkie siema!
18) pomoc 22) rekord 24) aukcje
25) akcja 28) gole 29) noworodki
30) Voo Voo 31) sprawca
32) znak

Pionowo:

1) niedziele 2) wolontariusze
4) sztabowiec 5) scena
6) szpitale 8) Adamowicz 10) siły
11) ronda 13) kwesta 15) choroby
17) sepsa 19) hojność
20) Festival 21) okulary
23) Darłowo 26) kropla 27) pokaz
28) gest

HASŁO: WIELKIE SERCE

SOCIAL MEDIA

Hasła Krystiana Buczka
oznaczono inicjałami (K.B.).
Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

1) „The Social...”, film o hi-
storii powstania Facebooka
7) w młodym pokoleniu
najpopularniejsze z papie-
żem (K.B.)
9) ... nienawiści,
czyli hejtowanie
10) krąży po internecie jako
niesprawdzona bądź celowo
zmanipulowana informacja
(K.B.)
12) „Lajki” zespołu Coma
(„Gdy pomyślałem, że mnie
zechcesz, to polubiłem cię
na Fejsie...”)

13) publikuje filmiki
w serwisie ze stylizowaną
nutką w logo
16) dziecko Marka
Zuckerberga
17) aplikacja społeczno-
ściowa do nagrywania
filmów, które trwają
do 10 sekund (w sekwencji
do 1 minuty) i znikają
po 24 godzinach (K.B.)
19) komunikator
internetowy firmy
Microsoft
20) wpisy pod zdjęciami
na Facebooku
23) wszechobecna nie tylko
w social mediach
26) ulubione określenie
mediów na użytkownika
internetu (K.B.)
28) imię postaci
z określenia 8 pionowo
29) ... w górę (lubię to)

32) może być viralowy.
Oglądasz go na YouTube,
TikToku czy Facebooku
(K.B.)
35) firma złożona z kilku
spółek potężnych
kapitałowo
36) oznaczasz („tagujesz”)
nim wpisy w social mediach,
żeby ktoś zainteresowany
tematem mógł je odnaleźć
(K.B.)
37) działa w social mediach
i ma liczne grono obser-
watorów
38) uniwersytet, na którym
rączkował Facebook

Pionowo:

2) wesołe ikonki xD :-)
3) komunikator internetowy
ze słuchaweczką w logo
4) zastąpiły telefony
komórkowe, wyróżnia je

multimedialność i możli-
wość instalowania aplikacji,
jak na komputerze (K.B.)
5) dotykowy – w tablecie
6) serwis społecznościowy
dla ćwierkających
8) nazwisko właściciela ser-
wisu z określenia 6 pionowo
10) śledzą profile
społecznościowe idoli
11) polski serwis społecz-
nościowy, wystartował
w 2006 r.
14) ... na Facebooku,
widoczna przez 24 godziny
15) ... osobowe, chronione
RODO
18) nowa nazwa właściciela
Facebooka i Instagrama,
która nawiązuje do projektu
firmy związanego z virtual-
ną rzeczywistością (K.B.)
19) komputer w relacji
z klientem (np. ... FTP)

21) zestaw opcji do wyboru
22) ksywki internautów
24) serwis społecznościo-
wy oparty na kontaktach
zawodowych
25) aplikacja powiązana
z Facebookiem, do obsługi
wiadomości
27) platforma medialna
przeznaczona m.in. do
transmitowania gier kompu-
terowych i e-sportu
30) strzałka wędrująca po
ekranie
31) dziennik internauty
32) profilowa (np. na
Facebooku) i polski serwis
społecznościowy urucho-
miony w 2001 roku (K.B.)
33) komputerowe obra-
zeczki
34) ... dyskusyjne, miejsce
wymiany poglądów

Leszek Rydz

Byle do **Weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

**KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ**

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play